

**KOBIETA
W PAŃSTWIE PIS**

**JAK JEŹDZISZ,
POLAKU**

**BLUŹNIERSTWO
JASNOGÓRSKIE**

**NETFLIX I MITY
Z JASKINI KOŚCI**

Kraków 30 lipca 2023 nr 31 (3864)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

**Sztuka
życia
według
księdza
Bonieckiego**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480307

SEMINARIA DOKTO- RANC- KIE

Zapraszamy osoby zainteresowane rozwojem naukowym oraz uzyskaniem stopnia doktora na **seminaria doktoranckie**:

- › **Nauki o komunikacji społecznej i mediach**
- › **Nauki medyczne**
- › **Ekonomia i finanse**

WSliZ posiada uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora oraz doktora habilitowanego w wyżej wymienionych dyscyplinach.

Szczegóły na wsiz.edu.pl/doktoranckie

Zapraszamy również na **studia podyplomowe** stacjonarne i online z zakresu:

- › **MBA**
- › **Zarządzanie**
- › **Informatyka**
- › **Ochrona zdrowia**
- › **Administracja**

Pełna oferta na podyplomowe.wsiz.pl



**WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA**
z siedzibą w Rzeszowie

Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania z siedzibą w Rzeszowie to jedna z największych niepublicznych uczelni w południowo-wschodniej Polsce, doceniana w międzynarodowych rankingach (m.in. U-Multirank, GreenMetric). Oferta edukacyjna obejmuje 16 kierunków i ścieżek kształcenia w języku polskim oraz angielskim. W ramach WSliZ funkcjonują cztery Kolegia: Medyczne, Zarządzania, Informatyki Stosowanej oraz Mediów i Komunikacji Społecznej. WSliZ to uczelnia wielokulturowa, studiuje tu blisko 1400 studentów z ponad 50 krajów świata.

KS. ADAM

Boniecki: *Taniec jasnogórski*

POJECHALIŚMY TAM PO MATURZE. NIE W GRUPIE, nie z przytupem. Pojechaliśmy z bratem na Jasną Górę z całkiem prywatną pielgrzymką dziękczynną, że zdaliśmy. To było oczywiste i nie wymagało komentarza. Po prostu pojechaliśmy. Tyle już lat, a pamiętam. Byliśmy w tłumie pielgrzymów, na pewno – też pamiętam – było wzruszenie w chwili odsłonięcia obrazu przy dźwięku trąb, na pewno była msza św. w niemiłosiernym tłoku. Pamiętam także to, że będąc pierwszy raz na Jasnej Górze, czułem się tam jak w miejscu swoim.



Wiele lat później pytałem tam o zwyczaj, który w naszej rodzinie był czymś oczywistym i ważnym: do siódmego roku życia każde dziecko ubierano wyłącznie w kolory biały i niebieski. Było wiadomo, że jest to w naszej rodzinie praktyka stara i że wywodzi się z Jasnej Góry. Kiedy po latach pytałem o to zakonników na Jasnej Górze, okazało się, że nic o takiej (nabożnej) praktyce nie wiedzieli. Może – myślałem – był to tak stary zwyczaj, że nawet u źródeł o nim zapomniano? W naszej rodzinie obowiązywał również w czasach okupacji. Ja, mój brat i siostra do siódmego roku życia nosiliśmy więc ubrania w kolorach maryjnych. A siódme urodziny, jedyne obchodzone u nas uroczyscie, wiązały się z czerwonym (!) ubraniem. Nigdy potem tego czerwonego stroju nie wkładaliśmy. Na Jasnej Górze zapytani zakonnicy wzruszali ramionami i twierdzili, że czegoś takiego nie było i nie ma. Nie spierałem się, ale swoje wiedziałem i swoje siedmioletnie właśnie dlatego dobrze pamiętam.

Na Jasnej Górze byłem potem wiele razy. Z kilkorgiem studentów szedłem piechotą z Krakowa na Jasną Górę – jeszcze pielgrzymki krakowskiej nie było – na końcu roku akademickiego, nocując po drodze u ludzi, często w stodołach. Ważniejsza była sama wędrówka niż pobyt w sanktuarium. Wspaniałe pielgrzymowanie. Jeździliśmy na Jasną Górę z redakcją „Tygodnika” wielokrotnie. Raz był z nami arcybiskup (a może już kardynał?) Wojtyła. Po mszy ruszyliśmy za nim, a on zawiązał

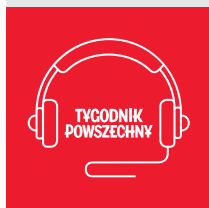
sutanę, klęknął i na kolanach obszedł ołtarz z obrazem Matki Boskiej. Chyba nikt z nas nie poszedł za nim.

Podczas pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski pojechaliśmy na Jasną Górę. Reguły bezpieczeństwa były dość dziwne. Papież celebrował mszę na wałach, a myśmy przez cały czas siedzieli zamknięci w jakiejś sali. Spotkanie naszej grupy odbyło się po mszy, w której nie mogliśmy uczestniczyć.

Pomijając wielkie uroczystości, Jasna Góra jest miejscem pięknym i otwartym dla wszystkich. Stała się także ulubionym miejscem wielkich pielgrzymek Radia Maryja, a w ostatnich latach ulubionym miejscem dla władz PiS-u. Nie chciałbym przypisywać jakiegś wyjątkowej stronniczości gospodarzom, faktem jest jednak, że właśnie te środowiska ze szczególną predylekcją gromadzą się tam na swoje wielkie zgromadzenia. Zgromadzenia odbywają się raz lub dwa razy w roku, ale ich rozgłos medialny przesłania innych ludzi i inne jasnogórskie wydarzenia. Wygłaszane tam przez polityków przemówienia są przedwyborczą propagandą. Jeszcze do tego dodano tańce i śpiewy. Można tańcem uczestniczyć w mszy św., tutaj jednak nie można było oprzeć się poczuciu, że nie wyraża się nim oddech dusz pobożnych, tylko przymus manifestowania politycznej siły. Ale słowa, które tam padły, i tak przykryły to wszystko.

Jest nas wielu, którzy nie chcą, by miejsca sakralne, a zwłaszcza sanktuarium o takim znaczeniu dla narodu jak Jasna Góra, były terenem politycznej demagogii. Bardzo potrzebne dziś, na pewno nie mniej niż kiedyś, jest takie miejsce, w które wchodzi się bez politycznej demagogii i w ciszy rozmawia się z Bogiem także o sprawach politycznych. Z Bogiem i w ciszy rozmawia się inaczej niż na placach publicznych. Jasna Góra jest przestrzenią uciszenia, hałas, który nas ogłusza, niech tam zamilknie.

© P



O czerwonym ubraniu, które nosił raz w życiu, i o tym, że urodziny są pogańskie ■ O głupocie samozadowolenia i o dojrzewaniu po siedemdziesiątce ■ O pozytykach z ludzi, którzy nas nie lubią, i zachwycie ludźmi, którzy mają dla nas czas ■ O satysfakcji z przodków i dystansie do pochodzenia ■ O wartości wylewu i sile wieku – o tym wszystkim opowiada Katarzynie Kubisiowskiej książkę Adam Boniecki w specjalnym urodzinowym odcinku Podkastu Tygodnika Powszechnego.

Weź, słuchaj

na powszech.net/boniecki89 oraz w Spotify i innych serwisach z podkastami



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

TEMAT TYGODNIKA

12 Jazda polska

BARTOSZ JÓZEFIAK:

To nadmierna prędkość pozostaje głównym zagrożeniem na drogach. A walczy się z nią znacznie trudniej niż z alkoholem. Większość z nas wciąż usprawiedliwia piratów.

40 Nowe życie chrześcijaństwa
ROZMOWAZ CHANTAL DELSOL,
FILOZOFKĄ:

Za upadkiem świata chrześcijańskiego idzie wdrożenie zasad Ewangelii – walka z pedofilią, priorytet osoby nad instytucjami, odrzucenie nienawiści.



54 Moskiewski gambit

MAREK RABIJ:

Rosja zerwała porozumienie zbożowe, dzięki któremu ukraińskie produkty rolne mogły opuszczać kraj przez Morze Czarne. Dlaczego?

66 Mity z jaskini
kości

ŁUKASZ KWIATEK:

Rzadko się zdarza, żeby film Netfliksa był w centrum sporu o istotę człowieczeństwa. Jego bohater, odkrywca Homo naledi, ogłasza przewrót w myśleniu o ewolucji, łamiąc reguły nauki. Ale może mieć rację.



72 Raperzy na rowery

ROZMOWA Z ŁUKASZEM
ROSTKOWSKIM

(L.U.C-IEM), MUZYKIEM: Przez wiele lat tak dużo pracowałem, że nie byłem nawet w stanie wydawać pieniędzy. Nie było kiedy, tylko koncert za koncertem. Teraz myślę raczej o barierkach dla dziecka, zupełnie inna skala.



86 Wawel

od kuchni
ROZMOWAZ BARTKIEM
KIEŻUNEM,
ANTROPOLOGIEMKULTURY:
Piwo pili
wszyscy.

Leszek Biały odmówił papieżowi udziału w krucjacie, bo na Wschodzie, gdzie miał się udać, nikt nie warzył piwa.



- 6 Wszystkie błędy w sprawie Joanny**
MAŁGORZATA SOLECKA
- 7-11 Obraz tygodnia**
- 18-19 Czytania / Widzenia**
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA
- **TEMAT TYGODNIKA**
- 12 Jazda polska**
BARTOSZ JÓZEFIAK
- **KRAJ**
- 20 Zawłaszczone wspólnoty**
STEFAN SĘKOWSKI: *Miedzy młotem rządowego centralizmu a kowadłem udzielnym księstwem*
- 24 Strefa stanów niskich**
PIOTR WÓJCIK: *Czy Polska zamieni się w jałową ziemię?*
- 27 Zezowata odyseja**
JERZY DZIEKOŃSKI *o leczeniu zeza*
- **WIARA**
- 40 Nowe życie chrześcijaństwa**
ROZMOWA Z CHANTAL DELSOL
- 44 Polityczne bałwochwalstwo**
TOMASZ P. TERLIKOWSKI: *Żeby poczuć smak Kościoła, trzeba jechać na Jasną Górę*
- 47 Mafia poczekaj**
EDWARD AUGUSTYN: *Dlaczego watykańska komisja ds. mafii nie miała łatwo*
- 48 Na zielonej wyspie zakwitną parafie**
MACIEJ MÜLLER
- **ŚWIAT**
- 50 Tonący w śmieciach**
AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z RIŠCOVEJ I KISZYŃOWA: *W mołdawskiej ekowiosce można uczyć się, jak dbać o środowisko*

GRAZYNA MAKARA



30 Sztuka życia

ROZMOWA Z KSIĘZEM
ADAMEM BONIECKIM:

Jeśli miałbym napisać vademecum staruszka, zacząłbym od tego, że ludzie starsi powinni szczególnie starać się maskować swoją głupotę.

32 Modlitwa
o cnotę czystości

34 Moje życzenia

36 Starość i mądrość

■ FELIETONY ■

49 ZUZANNA RADZIK 65 TOMASZ STAWISZYŃSKI
71 ELIZA KĄCKA 84 OLGA DRENDRA 85 PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: KS. ADAM BONIECKI
ZDJĘCIE: GRAZYNA MAKARA

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

- 54 Moskiewski gambit**
MAREK RABIJ
- 55 Niepokorny Aleś Puszkina**
PIOTR POGORZELSKI: *Kim był białoruski artysta, który zmarł w więzieniu w Grodnie?*
- 56 Blacharze z Safakisu**
PAWEŁ BRAVO: *Tunezja wystąpi w roli europejskiej straży granicznej*
- 57 Inżynier gorszy od małpy**
MARTA DZIEBORSKA: *W Kalifornii trwa bój o przepisy zakazujące dyskryminacji kastowej*
- **HISTORIA**
- 60 Rozmowy z nieobecnyimi**
PATRYCJA BUKALSKA: *Spośród tych powstańców warszawskich, których poznałam, nie żyje już prawie nikt*
- **NAUKA**
- 66 Mity z jaskini kości**
ŁUKASZ KWIATEK
- **KULTURA**
- 72 Raperzy na rowery**
ROZMOWA Z ŁUKASZEM ROSTKOWSKIM (L.U.C-IEM)
- 76 Kobieta z prowincji**
MICHAŁ SOWIŃSKI *o Juli Zeh, niemieckiej pisarce, autorce wydanej u nas książki „Wśród sąsiadów”*
- 78 Nolan, szkieleto i oko**
MICHAŁ WALKIEWICZ
- 82 Różowy nagrobek patriarchatu**
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Barbie”*
- 83 Sprawiedliwi z Podlasia**
LEKTOR *o książce „Jezus umarł w Polsce” Mikołaja Gryńberga*
- **ZMYŚŁY**
- 86 Wawel od kuchni**
ROZMOWA Z BARTKIEM KIEŻUNEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Najlepsze filmy na VoD

Oczy świata zwróciły się na francuskie przedmiścia. Kino pozwala spojrzeć na nie również od wewnątrz, pisze **ANITA PIOTROWSKA**. Sprawdź na tygodnikpowszechny.pl/co-obejrzec-w-weekend

➔ Strona świata

Indyjskie partie opozycyjne zawiązały wyborcze przymierze, by za rok zwyciężyć w wyborach. Czytaj tekst **WOJCIECHA JAGIELSKIEGO** na tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Serwisy specjalne: patrz szerzej

WAKACJE Z „TYGODNIKIEM”

Przygoda jest tutaj

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/WAKACJE

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



WSZYSTKIE BŁĘDY W SPRAWIE JOANNY

Gdzie popełniono błąd, w wyniku którego kobieta potrzebująca psychicznego wsparcia została strauumatyzowana i mogła stracić resztki zaufania nie tylko do państwa, systemu, ale przede wszystkim – profesjonalistów medycznych?

MAŁGORZATA SOLECKA

PERFORMERKA QUEEROWA, LECZĄCA się psychiatrycznie, pijąca alkohol – tak kobietę, której historia z pigułką poronną w tle wzburzyła opinię publiczną, chce przedstawiać część mediów, zwłaszcza tych sprzyjających obecnej władzy. Tylko czy jakiegokolwiek z tych, prawdziwych zresztą, okoliczności mają w tej sprawie znaczenie?

Pani Joanna leczy się psychiatrycznie. To fakt. Będąc w trakcie farmakoterapii zaszła w nieplanowaną ciążę, którą – ze względu na obawy o wpływ leków na płód – zdecydowała się przerwać farmakologicznie na wczesnym etapie (7. tydzień), zażywając tabletkę poronną. To fakt.

Reszta pozostaje nie tyle w sferze domysłów, co interpretacji. Kobieta, jak relacjonuje, „mając gorszy dzień” (już po upływie dobrych kilku dni od zażycia tabletki), dzwoni do psychiatry, szukając pomocy w wyciszeniu stanów lękowych. Nie wiemy, jak przebiegała ta rozmowa. Lekarka (doświadczona specjalistka, z dużym stażem) jest przekonana (przeczy temu zainteresowana), że kobieta jest na granicy próby samobójczej.

Decyduje się zadzwonić pod numer 112 i przekazuje w rozmowie z dyspozytorem, że kobieta sama dokonała aborcji i ma myśli samobójcze. Rusza lawina – w mieszkaniu pani Joanny zjawiają się nie tylko ratownicy,

ale i policja; patrol towarzyszy jej też w dwóch szpitalach, do których trafia (najpierw na SOR, potem na oddział ginekologiczno-położniczy). Policja – sąd uzna to za bezprawne – rekwiruje laptop i telefon. Powód? Jak twierdzi komendant główny policji, to rutynowe postępowanie, gdy w grę wchodzi popełnienie przestępstwa.

Gdzie popełniono błąd, w wyniku którego kobieta w kryzysie psychicznym, a na pewno potrzebująca psychicznego wsparcia, została dodatkowo strauumatyzowana i mogła stracić resztki zaufania nie tylko do państwa, systemu, ale przede wszystkim – profesjonalistów medycznych? W sprawie postępowania policji wypowiedział się już sąd – uznając działania podjęte przy interwencji za niezasadne. Można się spodziewać ciągu dalszego, w tym sprawy o odszkodowanie. Być może nie tylko za to, co spotkało panią Joannę w kwietniu, ale też – choćby – za publikację nagrania rozmowy lekarki z operatorem numeru alarmowego.

Jednak na kluczowe w tej sprawie pytania odpowiedzieć będą musieli m.in. rzecznik praw pacjenta, ale też rzecznik odpowiedzialności zawodowej właściwej izby lekarskiej. Jedno z tych pytań brzmi: czy lekarka, z którą rozmawiała pacjentka, dzwoniąc pod numer 112, powinna ujawnić, że kobieta wykonała aborcję w domu? Lekarka tłumaczy, że nie naruszyła tajemnicy, ponieważ występowało zagrożenie zdrowia i życia pacjentki, i musiała przekazać wszystkie istotne w tej sprawie informacje. To, czy rzeczywistość ograniczyła się do informacji istotnych, być może rozstrzygną biegli – już w tej sprawie pojawiły się różne opinie specjalistów, część twierdzi, że wystarczyło przekazać informację, że potrzebuje pomocy kobieta, u której wcześniej wystąpiło poronienie. Zresztą sama lekarka w rozmowach z dziennikarzami przyznaje, że nie wzięła pod uwagę opresyjnego działania policji. Kolejne pytanie: czy dzwoniąc pod numer 112 musimy mieć z tyłu głowy – jako obywatele, ale też profesjonaliści medyczni – że wszystko co powiemy, może być użyte przeciw nam (lub naszym pacjentom)?

Bo nie ma wątpliwości: gdy w grę wchodzi możliwość zamachu sa-

mośjczego, policja jak najbardziej może towarzyszyć wysłanemu zespołowi ratownictwa medycznego, choćby na wypadek konieczności siłowego otwarcia mieszkania. Tu błędu nie popełniono. Jednak ewidentnie policjanci dowiedzieli się więcej, niż wiedzieć powinni. Gdyby ich obecność ograniczyła się tylko do technicznej asysty, cała sprawa nie nabrałaby takiego rozmiaru.

Konfiskowanie laptopa, telefonu, asystowanie przy badaniu i chęć osobistego przeszukania pacjentki (nie podejrzanej!) – nie da się tych czynności wyjaśnić inaczej niż zamiarem ustalenia, jak kobieta weszła w posiadanie środka poronnego. Bo żyjemy w kraju, w którym kobieta ma prawo taką tabletkę przyjąć i nikt nie może postawić jej z tego tytułu zarzutu, natomiast podmiot, który jej tę tabletkę udostępni (sprzeda), naraża się na odpowiedzialność karną.

Na dziś można zaryzykować twierdzenie, że słowo „aborcja” uruchomiło lawinę zdarzeń, która wymknęła się spod kontroli. W skali mikro, a być może również w skali makro. Prawo i Sprawiedliwość tematu aborcji boi się jak ognia: wewnętrzne sondaże partii już od wielu tygodni (na długo przed nagłośnioną w czerwcu sprawą pacjentki, która zmarła z powodu sepsy w nowotarskim szpitalu, gdzie nie przerwano ciąży mimo ewidentnych wskazań medycznych) pokazują, że w nadchodzących wyborach Zjednoczona Prawica może mieć potężny problem z kobietami.

Gra nie idzie teraz o to, by przekonać kobiety do głosowania na PiS, ale by utrzymać kobiety, szczególnie w wieku 18-45 lat, w domu. By nie poszły do urn. To dlatego politycy PiS potrafią w oczy powiedzieć, że polskie przepisy antyaborcyjne są jednymi z najbardziej liberalnych w Europie (Marek Suski) albo że w każdym szpitalu publicznym ciężarna, której życie lub zdrowie (również psychiczne) jest zagrożone, może liczyć na przeprowadzenie aborcji (Adam Niedzielski). Ewidentne kłamstwa? Oczywiście. Nie ma jednak takiej ceny, której politycy by nie zapłacili, żeby nie spotkać się z Polkami w październiku. Nie, nie 1 października na marszu miliona serc. Przy urnach. ©

ROZMOWA



GRAŻYNA MAKARA

BOGDAN DE BARBARO

jest psychiatrą i psychoterapeutą. Wieloletni pracownik naukowy Katedry Psychiatrii Collegium Medicum UJ.

Słowo-iskra: „aborcja”

MARCIN ŻYŁA: Z czym zostajemy po sprawie Joanny z Krakowa?

BOGDAN DE BARBARO: W tej historii widać, że coraz bardziej kruche jest coś fundamentalnego dla rozumienia świata – odróżnianie prawdy od fałszu. Że wolno bezkarnie kłamać oraz rozsiewać nienawiść z przekonaniem, że to służy jakiemuś dobru.

Mówi Pan o hejcie w kierunku Joanny oraz lekarki.

Hejt teraz rozprzestrzenia się na różne strony.

Media powinny zrobić krok w tył?

Sprawę należy wyjaśnić. Trzeba wskazać, kto popełnił błąd, kto przestępstwo, a kto zaniedbanie. I nie robić tego na skróty bez wnikienia w istotę problemu. W tym mają nam pomóc świadkowie, dziennikarze i eksperci. Natomiast prawem obywateli jest przedrzeć się przez interpretację, szukać prawdy, ale nie fanatycznej. W ten sposób namysł nad skomplikowaną rzeczywistością może nam pomóc w pogłębionym rozumieniu tego świata. Tymczasem pani kuratorka Barbara Nowak oskarża kobietę o morderstwo. To jest dla mnie przykład porażki moralnej, kiedy osoba chcąc bronić wartości chrześcijańskich prowokuje do nienawiści.

Jedno słowo – aborcja – uruchomiło całą lawinę zdarzeń?

Jest dziś w Polsce wiele słów o podwyższonej temperaturze: aborcja, wybory, uchodźcy. Są jak iskra, potrafią wywołać pożar w naszych umysłach, a wtedy łatwo stajemy się ofiarami tego stanu. Słowa mogą stać się zaczynem nienawiści.

Wiem, że to utopia, ale z perspektywy psychoterapeuty należałoby osoby, które są najbardziej włączone w konflikt, zaprosić do rozmowy i wspólnie szukać zrozumienia, co się stało. Popracować nad tym, aby różne wersje wydarzeń zostały nawzajem zrozumiane. Choć, przyznaję, idea empatycznego wglądu ma swoje granice. I trudno jest mi zrozumieć policjanta, który każe robić przysiady i zagląda do odbytu. Wielostronna analiza problemu nie ma nas zwalniać od rozróżniania dobra od zła ani prawdy od kłamstwa. ©©



Krwawy pat – i co dalej?

WOJCIECH PIĘCIAK

TEGO W UKRAIŃSKIEJ ARMII JESZCZE nie było. Owszem, zdarzało się, że za sprawą Facebooka i Telegrama, tych społecznych wentyli bezpieczeństwa, na światło dzienne przebiegały się konflikty, nadużycia, głupota. Jednak to pierwszy taki przypadek: aby podoficer upublicznił raport do dowództwa, w którym przełożonego nazywa „amoralnym degeneratem”.

I to nie byle jaki podoficer: Walery Markus, 30-letni dziś uczestnik walk w Donbasie, potem obieżyświat, z kontami w social mediach – po 24 lutego 2022 r. znów wstępuje do armii. Dostaje misję: wraz z druhem z pola boju, 26-letnim majorem Iwanem Szalamachą, tworzy 47. Brygadę. Organizowana pod patronatem gen. Żałuznego, dostaje najlepszy zachodni sprzęt. I najmłodszego dowódcę w armii: 28-letni Ołeksandr Sak zasłynął już jako zręczny taktik. We trzech (dowódca, zastępca i Markus jako główny sierżant brygady) mają prowadzić ją w szpicy kontrofensywy.

Na początku czerwca brygada atakuje na Zaporozu – i utyka, na minach i pod ogniem artylerii. W sieci krążą plotki o wielkich stratach. 10 lipca Markus publikuje w sieci swój raport: składa dymisję, obwinia szefostwo brygady o niekompetencję,

a Szalamachę nazywa degeneratem. Zerwanej przyjaźni bliżej nie objaśnia. Pewien dziennikarz wojskowy sugeruje, że poszło o dowodzenie powodujące duże ofiary – Markus miał się czuć osobiście odpowiedzialny za żołnierzy, których zwerbował i szkolił.

W realiach wojennej (auto)cenzury nie ma mechanizmów – tych zwykłych dla demokracji w czasie pokoju – które pozwalają zaistnieć w społeczeństwie poglądom innym niż te władz. Aby ułożyć obraz nastrojów, pozostają informacyjne „puzzle” – jak konflikt w 47. Brygadzie (zażegnany tak, że Markusa odwołano). Czy to symptom czegoś więcej? Czy krwawy pat na froncie skutkuje fermentem w armii? W innych „puzzlech” padają nazwiska kolejnych dowódców, którym łatwo ma przychodzić posyłanie ludzi do „maszynki do mięsa”.

Ukraińscy politycy i dowódcy powtarzają mantrę, że „postęp trwa”, ale po dwóch miesiącach widać, że letnia kontrofensywa nie przynosi efektów. Co dalej? Możliwy scenariusz to powrót do wojny na wyczerpanie, z próbami osłabiania przeciwnika. I na froncie, i na zapleczu – np. w atakowanej teraz przez Rosjan Odessie czy na Krymie, gdzie płoną rosyjskie składy amunicji. ©©



Wizja kłęski

MAREK KĘSKRAWIEC

PO JESIENNYCH WYBORACH MOŻEMY ZNALEZĆ się w sytuacji podobnej do tej z 2005 r. Wtedy do sformowania koalicji rządzącej Jarosławowi Kaczyńskiemu potrzebny był (PiS zdobył 155 mandatów) „zgnily kompromis” z Andrzejem Lepperem i Romanem Giertychem. Kompromis, który przetrwał ledwie dwa lata i skończył się porażką wyborczą w 2007 r. Co prawda PiS zdobył wtedy 2 mln więcej głosów, ale równocześnie poparcie dla PO wystrzeliło ponad dwukrotnie w górę.

Pamięć o tamtych wydarzeniach może sprawić, że następny Sejm wcale nie będzie rozwiązaniem dla domagającej się przesilenia sytuacji politycznej, ale jeszcze większym jej zapętlaniem. Bo nawet jeśli PiS wybory wygra, to liczba jego posłów będzie raczej bliższa wynikowi z 2007 r. (166 mandatów) niż obecnej bezwzględnej większości. A to oznacza, że Kaczyński musiałby szukać sojuszu z Konfederacją, co jednak w niedzielę 23 lipca kategorycznie wykluczył. Także Sławomir Mentzen odcina się od takiego scenariusza – stanowiska dla swych ludzi przypłaciłby mocnym spadkiem poparcia w elektoracie, który jest skrajnie przeciwny programom społecznym stanowiącym fundament polityki PiS. Krzysztof Bosak zaś, będąc młodym posłem LPR, obserwował na własne oczy, jak rola przystawki uśmiercała jego ówczesną partię.

Koalicja PiS i Konfederacji jest dziś wątpliwa, a to oznacza, że jeśli Kaczyński nie wymyśli czegoś wyjątkowego, usiądzie w ławach opozycji.

Być może czas się pakować – wizja ta dotarła już do tysięcy działaczy, rozlokowanych od parlamentu, przez spółki państwowe, po najmniejsze urzędy. Bezpieczną przystanią pozostanie na pewno Sejm, więc – jak wyznał mi jeden z polityków partii rządzącej – „ludzie niemal się trują, by trafić na dobre miejsca list”. W środowisku jest nerwowo, starzy znajomi patrzą na siebie podejrzliwie, a zamiast spotykać się z elektoratem, kłócą się, intrygują lub podlizują w centrali.

Jeśli opozycji nie uda się zdobyć 231 miejsc w Sejmie, a dziś wiele na to wskazuje, będzie mogła co najwyżej stworzyć rząd mniejszościowy z nieprzyjaznym prezydentem i Trybunałem Konstytucyjnym w tle. A to oznacza, że do lokali wyborczych wrócimy szybciej, niż myślimy. ©©

Prawosławna katedra Przemienienia Pańskiego w Odessie z przełomu XVIII i XIX w., uszkodzona podczas rosyjskiego nalotu. 23 lipca 2023 r.



SCOTT PETERSON / GETTY IMAGES

NA PUNKTY

BANDYCKA JAMA

„Pamiętajcie o tym ryzy. To dziś największe zagrożenie dla Polski – powiedział Jarosław Kaczyński do wyborców o Donaldzie Tusku. – Niech idzie do swoich Niemiec i tam szkodzi”. Prezes PiS nie omieszczał dodać, że lider PO prezentuje „język polityki, który jest jakimś językiem z jamy bandyckiej, a nie normalnym, kulturalnym językiem”.

ŚWIAT OGRÓW

Mateusz Morawiecki tymczasem porównał Tuska do lorda Farquaada, czarnego bohatera filmu „Shrek”, „który miał taką filozofię, mówił: »niech inni się poświęcają«”. „Gdybyś, Mateuszu, oglądał »Shreka«, wiedziałbyś, że lord Farquaad był mikrego wzrostu ponurym władcą z kompleksami wobec kobiet, a nie liderem opozycji. Ryzykant z ciebie” – odpowiedział szef PO.

SKŁADOWISKO ŚMIECI

W Zielonej Górze spłonęła hala z toksycznymi odpadami, a PiS i PO pograżyły się w sporze, czyja to wina: Tusk mówił o „smrodzie setek bezkarnych nielegalnych składowisk”, a Kaczyński uznał, że „to jest wynik ich rządów”. PiS ma władzę, przypomnijmy, od 2015 r.

POLSKA PIŁKA

Winą „ich rządów” nie jest, jak na razie, zamieszanie w świecie polskiego futbolu, wywołane przez – zdementowaną ostatecznie – plotkę, że trener Fernando Santos po kilku miesiącach współpracy z PZPN postanowił wyjechać do Arabii Saudyjskiej. ©



Koty? Jakie koty?

MARCIN ŻYŁA

LICZBA PRZYPADKÓW PTASIEJ GRYPY wśród kotów domowych zaczęła spadać. Według ostatniego dostępnego przed zamknięciem tego numeru komunikatu Głównego Lekarza Weterynarii (z 17 lipca) „Istotnie zmalała ona w odniesieniu do stanu początkowego”; mniej było także próbek przekazywanych do badań w laboratorium w Puławach.

Epidemiolodzy i lekarze weterynarii pozostają z pytaniami o precedensową skalę ostatnich zachorowań, o ich przyczyny, a także o potencjalnie groźne dla człowieka mutacje wirusa H5N1. To wokół tych tematów ogniskowała się – i nic w tym dziwnego – dyskusja o ptasiej grypie wśród kotów.

Zabrakło czegoś ważnego – zaopiekowania się przez państwo niepokojem opiekunów zwierząt. Regularne komunikaty Głównego Lekarza Weterynarii zawierały tylko liczby badanych przypadków; po pierwszych zaleceniach dotyczących m.in. niewypuszczania kotów na zewnątrz, w kwestii ich ochrony zapadła cisza.

W Polsce żyje ok. 6 mln kotów domowych, z których lekko licząc połowa ma opiekunów; można więc założyć, że na takie wiadomości czekało kilka milionów rodzin. Z braku oficjalnych informacji radzono sobie na własną rękę, szukając nie zawsze rzetelnych i prawie nigdy nie uspokajających informacji w sieci i grupach facebookowych. W odniesieniu do instytucji państwowych pozostało natomiast przykre wyrażenie, że od lęku czy troski ludzi ważniejsze (i jedyne uzasadnione) są obawy o wpływ ptasiej grypy na eksport drobiu. Porażka polityki informacyjnej – a właściwie jej brak – w kwestii zachorowań kotów jest tym bardziej dziwna, że jesteśmy świeżo po lekcji covidu.

Chciałbym państwa empatycznego – takiego, które umie dostrzec, że liczy się nie tylko zdrowie obywateli, ale także ich dobrostan psychiczny. Takiego, które dba o wyniki gospodarcze, ale dostrzega również, że elementem wspólnoty, nad którą Polska rozciąga opiekę, są wszystkie żyjące tu, czujące stworzenia. Także koty. ©



MARCIN ŻYŁA



Kryteria krytyczności

MAREK RABI

ZAKAZ FOTOGRAFOWANIA”. Tabliczki o takiej treści zawisną wkrótce na budynkach i instalacjach w całym kraju. To efekt nowelizacji ustawy o obronie ojczyzny, która pod karą aresztu lub grzywny zakazuje fotografowania, filmowania lub uwieczniania w inny sposób „obiektów szczególnie ważnych dla bezpieczeństwa lub obronności

państwa, obiektów resortu obrony narodowej nieuznanych za obiekty szczególnie ważne dla bezpieczeństwa lub obronności państwa, obiektów infrastruktury krytycznej, jeżeli zostały oznaczone znakiem graficznym wyrażającym ten zakaz”.

Czy to ma sens w dobie satelitów? Ustawodawca przekonuje, że zmian chciała armia,

zaniepokojona brakiem podstaw prawnych dla zakazu lotów cywilnymi dronami nad obiektami wojskowymi. Problemem są także prywatne kamery internetowe, które dotychczas mogły być bezkarnie nakierowane choćby na magazyny wojskowe, dworce kolejowe i węzły przeładunkowe – i być źródłem beczennych informacji o ruchach wojsk.

Ustawodawca nie przewidział jednak dość komicznego efektu ubocznego. Nie każdy obiekt wojskowy i nie każdy terminal przeładunkowy zalicza się do infrastruktury krytycznej. Kryteria decydujące o takiej klasyfikacji wymienia niejawni załącznik do Narodowego Programu Ochrony Infrastruktury Krytycznej. Oznaczenie obiektu tabliczkami z zakazem fotografowania stanowić będzie więc czytelny sygnał, że właśnie tu państwo polskie ulokowało ważne dla siebie zasoby, więc warto się tej okolicy przyjrzeć. ©



MARIA MORATTI / GETTY IMAGES

Literaci do algorytmów

KSIAŻKI ■ Zaczęło się od wiewiórki Sammy, bohaterki poradnika „The Wise Little Squirrel: A Tale of Saving and Investing”. Brett Schickler napisał go i zilustrował przy pomocy algorytmów AI w kilka godzin. E-book trafił na platformę Amazon. Dzisiaj internetowy gigant chwali się, że ma w sprzedaży kilkaset pozycji, których autorem jest ChatGPT.

18 lipca 2023 r. Amerykańska Gildia Autorów wystosowała list do firm zajmujących się rozwojem sztucznej inteligencji. Twórcy zwracają uwagę, że utwory powstałe przy użyciu AI czerpią z literackich zasobów. Algorytmy na ich podstawie uczą się budować teksty w konkretnym stylu – ich „kreatywność” ściśle zależy od treści, które wcześniej przetworzą. I choć miliony chronionych prawem autorskim książek i artykułów stanowi podstawę systemów AI, autorzy nie otrzymują żadnego wynagrodzenia. Gildia proponuje stworzenie przepisów, na podstawie których organizacje zbiorowego zarządzania prawami autorskimi udzielałyby licencji w imieniu autorów i ustalałyby honoraria.

Według raportu przygotowanego przez stowarzyszenie, w ciągu ostatniej dekady dochody pisarzy w Stanach Zjednoczonych spadły aż o 40 proc. Pojawienie się sztucznej inteligencji może sprawić, że spadek będzie się pogłębiał, co zmusi ich do zmiany zawodu. Dotyczyć to może głównie autorów z grup społecznych, które nie mają dostatecznie szerokiej reprezentacji. „Kiedy pisarze muszą porzucić swój zawód, jest to poważny problem nie tylko dla nich. Powstanie mniej dobrych książek, a przecież wolna, demokratyczna kultura zależy od zdrowego, zróżnicowanego ekosystemu, w którym wszystkie głosy są słyszane” – mówi Mary Rasenberger, szefowa Amerykańskiej Gildii Autorów.

List podpisało już ponad 10 tys. pisarzy i ich zwolenników. Na liście sygnatariuszy znalazły się m.in. takie nazwiska jak Dan Brown czy Margaret Atwood (na zdjęciu).

© JACEK TARAN

Polska obrona przed zieloną energią

OZE ■ Lato zaskoczyło energetyków – tak można opisać wysiłki przedstawicieli branży, zmierzające do ograniczenia rosnącego udziału źródeł odnawialnych w produkcji energii. Nie czas jednak na sarkazm. Polskie Towarzystwo Przesyłu i Rozdziału Energii Elektrycznej w oficjalnym stanowisku domaga się zmian w prawie, które pozwolą operatorom sieci odmawiać przyłączenia każdej instalacji fotowoltaicznej lub wiatrowej, ewentualnie – zmusić klientów do zmniejszenia jej mocy. Dziś prawo energetyczne zobowiązuje ich do podłączenia odnawialnego źródła energii, o ile jego moc nie przekracza 50 kW.

„W sytuacji przeciążeń linii spowodowanych pracą mikroinstalacji, OSD [operatorzy systemu dystrybucyjnego – przyp. red.] powinni mieć prawną możliwość odmowy przyłączenia mikroinstalacji lub zmniejszenia jej mocy, w celu zapewnienia bezpieczeństwa zdrowia i życia innych odbiorców, a także bezpieczeństwa pracy sieci i urządzeń do nich przyłączonych”, czytamy w stanowisku PTPiREE.

Rzekome „przeciążenia” to w rzeczywistości efekt uzależnienia pol-

skiej energetyki od węgla, która latem – kiedy fotowoltaika dostarcza mnóstwo taniego prądu – nie może z czysto technologicznych powodów zmniejszyć odpowiednio produkcji energii w elektrowniach węglowych. W efekcie w systemie powstaje groźna nadwyżka, którą Polska musi wyeksportować – o ile sąsiednie kraje mogą ją przyjąć.

Chętni do montowania instalacji OZE coraz częściej spotykają się z odmową przyłączenia do sieci. Z danych Ministerstwa Klimatu wynika, że w tym roku stanowcze „nie” słyszy ok. 60–70 proc. wnioskujących o przyłączenie instalacji o mocy powyżej 50 kW. A na horyzoncie widać już kolejne utrudnienia. Przyjęte niedawno przez Sejm nowelizacje prawa energetycznego i ustawy o odnawialnych źródłach energii przewidują, że operator mógłby żądać ograniczenia pracy lub odłączać instalacje o mocy większej niż 10 kW, gdy w systemie będzie za dużo prądu. Ustawa o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym, która czeka już tylko na podpis prezydenta, zakłada z kolei, że fotowoltaiki nie będzie można stawiać na gruntach rolnych klasy I-III oraz gruntach leśnych, a także na użytkach rolnych klasy IV – jeśli takiej inwestycji nie będzie zawierał miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego. W praktyce oznacza to wyłączenie dla takich instalacji około 50–60 proc. powierzchni Polski.

© MAREK RABIJ



KRZYSZTOF KANIEWSKI / REPORTER

Farma fotowoltaiczna w Krzewinie. Czerwiec 2023 r.

Czy Franciszek oswoi smoka

WATYKAN ■ Papież zatwierdził decyzję chińskiego rządu o mianowaniu Josepha Shena Bina na biskupa Szanghaju. Pekin ogłosił ją na początku kwietnia, bez uzgodnienia z Watykanem. To szósty przypadek złamania zawartego w 2018 r. porozumienia, drugi po jego ubiegłorocznym odnowieniu. Treść umowy jest tajna, ale z wywiadu kard. Pietra Parolina, w którym tłumaczy papieską decyzję, wynika, że jej najważniejszym punktem miał być właśnie konsensus w sprawie nominacji biskupich. Przeciwnicy paktoowania z komunistami triumfują. Przepowiadali, że strona chińska nie dotrzyma słowa, a porozumienie wykorzysta do podporządkowania sobie „Kościoła podziemnego”. Podpisanie umowy uznali za policzek dla biskupów i księży prześladowanych od 70 lat za wierność Rzymowi.

Tyle że właśnie troską o ich los Franciszek tłumaczy starania o zbliżenie z Pekinem. Podejmuje je od samego początku: jedną z pierwszych jego depeesz były gratulacje dla Xi Jinpinga, wybrane-



COMMUNITA SANT'EGIDIO / ARCHIWUM

go na prezydenta Chin dzień po zakończeniu konklawe w marcu 2013 r. Odpowiedź na nią była z kolei pierwszym oficjalnym kontaktem chińskiego przywódcy z głową Kościoła katolickiego od zerwania stosunków w 1951 r.

Gestów dobrej woli było więcej. Pekin zaczął mówić o Franciszku cieplej niż o jego poprzednikach, których troskę o chińskich katolików uznawał

JOSEPH SHEN BIN, przewodniczący prorządowego Patriotycznego Stowarzyszenia Katolików Chińskich, od 2010 r. biskup Haimen, w kwietniu 2023 r. objął diecezję szanghajską.

za ingerencję w swoje wewnętrzne sprawy. Co prawda żaden z papieży, od Piusa XII począwszy, nigdy nie nazwał państwowego Kościoła w Chinach schizmatycznym, nawet gdy rządowi biskupi wyswięcili następców bez zgody Watykanu, a władze obsadzały nimi diecezje, które same tworzyły – jednak Franciszek poszedł o krok dalej, zamieniając milczącą zgodę na tajne porozumienie i zatwierdzając niekanoniczne decyzje.

Można to uznać za upokorzenie i podporządkowanie się rządowi w Pekinie. Najwyraźniej papież gotów jest płacić tę cenę za zachowanie łączności chińskich katolików z Rzymem, poprawę ich warunków życia w komunistycznym państwie, a być może też realizację swego (i poprzedników) największego marzenia – podróży do Chin, wzorem XVI-wiecznego jezuickiego misjonarza Matteo Ricciego, który został mandarynem, by głosić Ewangelię (przełożoną na chiński język i konfucjański system myślenia). A przede wszystkim za to, by – jak tłumaczy kard. Parolin, parafrazując św. Pawła – „Chrystus mógł być Chińczykiem dla Chińczyków”.

© © EDWARD AUGUSTYN

Ze sjesty już nikt się nie śmieje

UPAŁY ■ Szef największego stowarzyszenia zrzeszającego lekarzy w Niemczech apeluje o wprowadzenie sjesty w gorące dni. „Przy takich temperaturach powinniśmy korzystać z doświadczeń południowych krajów” – powiedział Johannes Niessen. Nie jest odosobniony – popołudniową przerwę w pracy postulują w wielu krajach związki zawodowe, a już wprowadzają niektóre firmy. Niessena poparł też Karl Lauterbach, niemiecki minister zdrowia, ale zaznaczył, że to kwestia umowy między pracodawcą a pracownikami.

Sjesta kojarzy nam się z Hiszpanią, ale jej uzasadnienie nie ma związku wyłącz-

nie z upałami. Tradycja *jornada partida* (hisp. podzielony dzień pracy) przetrwała czasy dyktatury generała Franco, gdy wielu musiało pracować w dwóch miejscach, by związać koniec z końcem. Do dziś w wielu hiszpańskich miastach wczesnym popołudniem zamykają się sklepy i biura, a ulice pustoszeją. Sjesta była przez lata wyśmiewana jako element negatywnego stereotypu „leniwego Hiszpana”, a w dobie kryzysu finansowego z 2010 r. władze próbowały nawet skończyć z tym zwyczajem.

Dzisiaj Europa raczej zastanawia się, czy nie warto się od Hiszpanów uczyć. Fale upałów mają coraz większy wpływ na nasze życie. W zeszłym roku spowodowały ponad 60 tys. „nadmiarowych” zgonów w Europie. Pracownicy są też wtedy mniej efektywni, a alternatywą (tylko dla prac biurowych) jest klimatyzacja, którą dziś zakłada się nawet w Wielkiej

Brytanii i Norwegii. Ta z kolei kosztuje i coraz mocniej pogłębia efekt cieplarniany. W Polsce nie obowiązują żadne twarde normy dotyczące pracy w upale (poza obowiązkiem zapewnienia pracownikom wody). Reszta zależy od dobrej woli pracodawców. W upalne dni nawet drobne zmiany mogą znaczyć bardzo wiele: choćby rezygnacja z formalnego ubioru czy właśnie dłuższa przerwa podczas najgorętszych godzin.

© © KRZYSZTOF STORY



Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TP”
co tydzień goszczą

w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Stuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

JAZDA POLSKA

To nadmierna prędkość pozostaje
głównym zagrożeniem na drogach.
A walczy się z nią znacznie trudniej niż z alkoholem.
Większość z nas wciąż usprawiedliwia piratów.

BARTOSZ JÓZEFIAK

OTO, CO WIEMY: O TRZECIEJ W NOCY z 14 na 15 lipca żółte renault megane z czwórką młodych mężczyzn w środku mknęło w Krakowie ulicą Armii Krajowej i Alejami Trzech Wieszczów. Patryk P., kierowca, nieprzesadnie przejmował się bezpieczeństwem. Na jednym z nagrań widać, jak przejeżdża kolejne skrzyżowania na czerwonym świetle i wyprzedza na podwójnej ciągłej. W końcu zbliża się do remontowanego mostu Dębnickiego, po którym auta w tym kierunku poruszają się tylko jednym pasem.

Tu kierowca traci panowanie nad pojazdem. Samochód uderza w słup sygnalizacji świetlnej i lampę uliczną, dachuje, zjeżdża po schodach na bulwar, gdzie zderza się z betonowym murem.

Patryk, Aleksander, Michał oraz Marcin nie przeżyli. Ich śmierć rozgrzała media w całym kraju. Czytając newsy, miałem uczucie *déjà vu*. Na ten wypadek złożyło się wiele przyczyn, które świetnie obrazują wszystko to, co najgorsze na polskich drogach.

Obrzęd przejścia

Zarówno kierowca, jak i pasażerowie mieli od 20 do 24 lat. W Polsce kierowcy w wieku 18-24 lat odpowiadają za 15 proc. wypadków śmiertelnych. To najgorszy wynik spośród wszystkich grup wieko-

wych. Mężczyźni w tym wieku są również najbardziej agresywnymi kierowcami.

W naszym kraju większość młodych ludzi robi prawo jazdy natychmiast, gdy tylko skończy 18 lat. „Zdanie prawka” stało się rytuałem wejścia w dorosłość. Zostajesz pełnoprawnym członkiem społeczeństwa dopiero, kiedy jesteś w stanie wszędzie sam dojechać.

Trochę trudno się dziwić: pracując nad książką „Wszyscy tak jeżdżą” odwiedziłem sporo wsi i miast, gdzie bez samochodu nie masz po prostu życia. Co czwarte sołectwo w Polsce jest pozbawione połączenia z miejscowością gminną – z wyjątkiem autobusów szkolnych. Ale nie tylko dzieci ze wsi i mniejszych miast są skazane na samochody. Wykluczenie komunikacyjne zaczyna się tuż za rogatkami Wrocławia, Krakowa czy Łodzi. Bogatsi Polacy wyprawiają się pod miasto w pogoni za rodzimą wersją amerykańskiego snu, który oznacza dom z ogródkiem na przedmieściach. Życie w takiej sielskiej okolicy ma jedną wadę – stajesz się przywiązany do samochodu.

Mniej zamożne rodziny z centrów miast wyrzucają z kolei galopujące ceny nieruchomości. Zostają skazane na deweloperskie osiedla pobudowane bez ładu i składu pośrodku pól. Tam również ze



świecą szukać publicznej komunikacji. Polski wkład w światową urbanistykę – tzw. osiedla łanowe – to zarazem idealne generatory korków.

Weźmy np. Warszawę: spoza granic stolicy do centrum miasta codziennie wjeżdża pół miliona kierowców. W innych dużych miastach nie jest dużo lepiej. Nie brakuje kierowców, którzy za pomocą samochodu budują swój status społeczny. Wielu wybiera samochód pomimo dobrej oferty komunikacji publicznej.

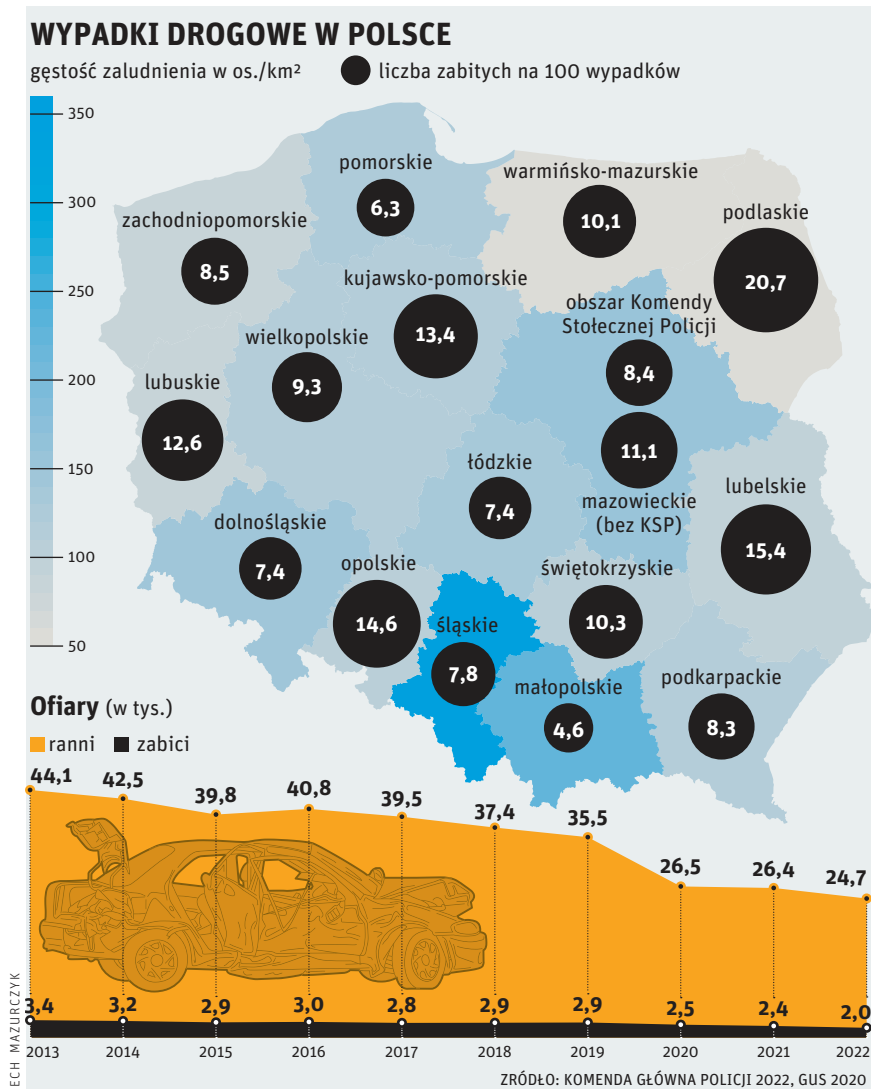
Polacy pokochali własne cztery koła. Dobro w PRL niedostępne stało się dla nas symbolem dostatku i wolności. „Wraz z wejściem do Unii Europejskiej spełnił się motoryzacyjny sen polskiej klasy średniej” – pisze Marta Żakowska w książce „Autoholizm”. Rodzice sami wypychają dzieci na kursy prawa jazdy, bo nie chcą już wszędzie ich wozić. Tyle tylko, że masowo wpuszczając osiemnastolatków do samochodów prosimy się o kłopoty – bo to nie jest wiek, w którym podejmuje się najbardziej odpowiedzialne decyzje.

Policja nie reaguje

Na remontowanym moście Dębnickim ustawiono znak z ograniczeniem prędkości do 40 kilometrów na godzinę. Śledczy ustalili, że Patryk P. jechał co najmniej trzykrotnie szybciej. Media udostępniły film wrzucony na jego profil na Instagramie w dniu wypadku. Wnętrze żółtego renault, jeden z pasażerów filmuje jazdę. W tle słysząc śmiechy i pomruki podziwu, ktoś mówi: „Dobra już, k..., starczy”.

Patryk i jego pasażerowie mieszkali pod Wieliczką. Dziennikarze ustalili, że w okolicy byli znani jako fani motoryzacji, brali udział w zlotach właścicieli szybkich wozów.

Takie spotkania, zwane spotami, odbywają się w każdym dużym polskim mieście i w wielu mniejszych. W książce opisuje to środowisko na przykładzie Łodzi i Jeleniej Góry. Właściciele szybkich samochodów w wieku 18-30 lat zjeżdżają się na parking pod galerią handlową. Zaglądają pod maski, oglądają podświetlane podwozia, chromowane felgi, obniżone zawieszenia. Dzielą się na dwa typy: pierwsza grupa to bogata młodzież, która swoje mustangi i porsche zawdzięcza zamożnym rodzicom. Drugą grupę stanowią chłopaki, którzy starsze modele



→ bmw i audi nielegalnie przerabiają po garażach i warsztatach. Na spotach wszyscy się chwala – jeden z uczestników jeździł 160 kilometrów na godzinę po centrum miasta, drugi uciekał policji.

Po części „oficjalnej” wszyscy przenoszą się na miejsce nielegalnych wyścigów. Lokalizację znają z tajnego kanału na Telegramie. Czy trudno zdobyć tam dostęp? Mnie zajęło to pięć minut, ale policji znacznie dłużej, bo spokojnie ścigaliśmy się przez kilka godzin, zanim na horyzoncie pojawił się radiowóz.

Czasem takie wyścigi kończą się tragicznie – jak przed paroma laty w Jeleniej Górze, gdzie jadący seatem Łukasz potrafił dwie osoby na pasach. Siła uderzenia urwała jednej z ofiar kończyny. Sprawca po swoim mieście mknął, mając na liczniku 130 kilometrów na godzinę. Jego

dziewczyna przekonywała w internecie, że to zwykły wypadek, który mógł się zdarzyć każdemu.

Młodzi, z kiepską samooceną

Uczestników nielegalnych wyścigów przebadła Jacqueline Bächli-Biétry, psycholożka z Zurychu. Odkryła, że ścigają się młodzi mężczyźni o kiepskich życiowych perspektywach, do tego z problemami z samooceną. Wierzą, że prawo drogowe ich nie dotyczy, bo jeżdżą lepiej od innych. Wyłącza się im zdolność krytycznego myślenia.

Dla części młodych kierowców uwielbienie prędkości wiąże się z budową społecznej pozycji. Znajomym imponują szybką i nieodpowiedzialną jazdą. Rajdowe popisy na ulicach to dla nich zastrzyk adrenaliny, podobny do uprawia-

nia ekstremalnych sportów – tyle tylko, że jazda czterystukonną starą „beemką” to jednak tańsze hobby.

W Polsce sądy do niedawna trakowały piratów łagodnie. Zdarzało się, że sprawca śmiertelnego wypadku w ogóle nie szedł do więzienia. Linia orzecznicza na szczęście się zmienia. Sprawca wypadku w Jeleniej Górze trafi za kratki na osiem lat. To w Polsce maksymalny wymiar kary.

Dziennikarze ustalili, że matka kierowcy z krakowskiego wypadku to Sylwia Peretti, gwiazda *reality show* „Królowe życia”. Celebrytka w jednym z wywiadów opowiadała: „Mój młody ma jedną dużą wadę: zamiast jechać na tor się wybawić, to niestety śmiga po mieście, jak ja kiedyś. I to jest zajeżdżenie głupie, bo mi prawko zabrali przy 98 punktach”.

Wypowiedź szokuje, choć właściwie nie powinna. Osoby ze świecznika mają w Polsce przeświadczenie, że prawo o ruchu drogowym dotyczy ludu, ale na pewno nie ich. Michał Żewłakow, Piotr Najstüb, Kamil Durczok, Piotr Kraśko, Krzysztof Hołowczyc, Donald Tusk, Antoni Macierewicz, Jacek Kurski, Jerzy Stuhr, Beata Kozidrak – to niekompletna lista celebrytów przekonanych, że niebezpieczna jazda to nic nadzwyczajnego.

Krakowski wypadek nie jest anomalią, tylko ekstremalnym przykładem szerszego zjawiska – chodzi o usprawiedliwianie niebezpiecznej jazdy, najlepiej wyrażone w powiedzeniu: „jeżdżę szybko, ale bezpiecznie”.

Szybko, czyli niebezpiecznie

Kierowca w rozpędzonym aucie odbiera znacznie więcej bodźców, zawęża się jego pole widzenia, skraca czas reakcji, za to zwiększa się energia kinetyczna ewentualnego uderzenia. Niektórzy lubią powtarzać, że mogą jeździć szybciej, bo mają lepsze samochody, ale jak na razie hamulec wciąż wciska człowiek z krwi i kości. Miliony ludzi każdego dnia dyskutują więc z biologią i fizyką.

85 proc. polskich kierowców przekracza prędkość nawet przed przejściem dla pieszych. Szybkość to główna przyczyna wypadków śmiertelnych. Jeszcze do niedawna chowaliśmy ponad 2 tys. ofiar wypadków rocznie. Ze śmiertelnością rzędu 59 osób na milion mieszkańców trafialiśmy na koniec europejskich

rankingów bezpieczeństwa. Złą passę udało się przełamać w 2022 r. dzięki dwóm zmianom w prawie – podwyższeniu taryfikatora mandatów i zwiększeniu uprawnień pieszych na pasach. Dzięki temu liczba ofiar spadła poniżej dwóch tysięcy.

Jeździmy nie tylko szybko, ale i agresywnie. 80 proc. polskich kierowców średnio raz w tygodniu obserwuje agresywne zachowania na drogach. Co trzeci przyznaje, że sam jest sprawcą agresji. Najczęściej skarżymy się na osłepianie światłami, niebezpieczne zmiany pasa ruchu, agresywne wyprzedzanie, jazdę „na oponie”.

Dziennik „Fakt” podaje, że sprawca krakowskiego wypadku miał we krwi 2,3 promila alkoholu. To zapewne skiekuje dyskusję na sprawdzone tory: ach, jechał pijany! Wszystko jasne, przecież nietrzeźwi to największe zagrożenie na drogach, prawda?

To nieprawda. Pijani kierowcy odpowiadają raptem za 7 proc. wypadków. Politycy i media lubią skupiać się na tej grupie, bo to wygodny cel. W ten sposób wykrzywia się faktyczny obraz. Dzisiaj społeczne przyzwolenie na jazdę pod wpływem znacznie spadło. To prędkość pozostaje głównym zagrożeniem na drogach. A z tą znacznie trudniej walczyć.

Większość osób wciąż bagatelizuje problem i usprawiedliwia piratów drogowych. Bo przecież „wszyscy tak jeżdżą”.

Od umów śmieciowych do prędkości

Polski pirat drogowy to zazwyczaj mężczyzna (kobiety odpowiadają tylko za jedną czwartą wypadków). Jak już pisałem, młodszy kierowcy mają większą tendencję do ryzyka, ale niewiele ustępują im starsi koledzy, w wieku 25-40 lat. Ci pędzą z innych powodów. Część od reagowuje za kółkiem stres i napięcie w życiu codziennym. Większość po prostu się spieszy. To najczęstsza wymówka, jaką słyszą policjanci albo psychologowie transportu, do których trafiają kierowcy z odebraniem za punkty prawem jazdy.

Dariusz z poznańskiej drogówki opowiadał mi o kierowcy, który popłakał się, kiedy karano go za jazdę powyżej stu kilometrów na godzinę w terenie zabudowanym. Szef kazał mu przejechać 150 kilometrów w godzinę. Po prostu musiał zdążyć.

Podobnych historii słyszałem mnóstwo – od menadżerów i przedstawicieli handlowych, którzy trasę z Łodzi do Gdańska potrafili zrobić w dwie godziny. Spieszą się, bo chcą na weekend zjechać do domu, bo szef ich gania, bo mają poumawiane spotkania.

Polacy to naród bardzo zapracowany. Przepracowujemy najwięcej godzin w Europie, mamy też ogromny odsetek umów śmieciowych. Kierowcy zatrudnieni na prowizjach spieszą się podwójnie, bo są nastawieni na wynik, jak najlepszą sprzedaż, jak największą liczbę odbytych spotkań. Osobną grupą są kierowcy dostawczych busów, kurierzy i rozwoziciele paczek. Ci spieszą się, bo korporacje kurierskie wynajmują ich na fikcyjnym samozatrudnieniu. Płacone mają od dostarczonej paczki. Jeśli się nie wyrobią, będą pracować do wieczora. Nie obowiązują ich urlopy ani zwolnienia lekarskie. Jeździłem z takimi kierowcami jako kurier InPost. Przed świętami kursowali po paczkomatach po kilkanaście godzin dziennie. Firma wymagała od nas ciągłego pośpiechu. Nie mieliśmy czasu skorzystać z toalety.

Badania pokazują, że 41 proc. z nas prowadzi auto pomimo wielkiego zmęczenia. To rekord Europy.



ANDRZEJ SZKOCKI / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Tak to robią w innych krajach

NIEMCY | Świeżo upieczony kierowca jest „na widelcu” przez dwa lata.

Jedno poważne wykroczenie – i powtarza kurs na prawo jazdy. Po trzech wykroczeniach trafia do terapeuty. Agresywni kierowcy również są kierowani na terapię. Nie wrócą na drogi, dopóki nie opanują impulsywności.

LITWA | Rząd wprowadził prostą zasadę: za każdy kilometr powyżej limitu kierowca zapłaci od 6 do 8 euro. Za zaostrzeniem przepisów poszła prewencja. Na jezdniach masowo zaczęły pojawiać się odcinkowe pomiary prędkości, a policjanci ruszyli na

drogi w nowym taborze nieoznakowanych radio-wozów.

SZWECJA | Europejski lider w bezpieczeństwie na drogach oprócz ograniczania prędkości przebudowuje drogi w standardzie 2+1 (na przemian jeden pas w jednym kierunku, dwa pasy w drugim), co ułatwia bezkolizyjne wyprzedzanie. Skrzyżowania zamieniane są w ronda, w dzielnicach mieszkaniowych montuje się progi zwalniające i wprowadza strefę „Tempo 30”. Przeciwnie pasy ruchu są oddzielane stalowymi linami, dzięki czemu nie da się wyprzedzać na linii ciągłej.

SZWAJCARIA | Przekroczenie prędkości naraża kierowców nie tylko na mandat i utratę prawa jazdy na dwa lata, ale nawet czteroletnie więzienie. Szwajcarzy ograniczają też dozwoloną prędkość. Poza obszarem zabudowanym legalnie pojedziemy tu najszybciej z osiemdziesiątką na liczniku, w strefach mieszkalnych zwolnimy do trzydziestu.

Badania pokazują, że zredukowanie średniej prędkości na drogach tylko o 10 proc. zmniejszy liczbę ciężkich wypadków prawie o jedną trzecią. Niezbędne jest też więcej fotoradarów. W Polsce te urządzenia pilnują bezpieczeństwa raptem w 464 miejscach, do tego można dodać 34 odcinkowe pomiary prędkości. Daje nam to 1,6 urządzenia na tysiąc kilometrów kwadratowych. Dla Belgii ten współczynnik wynosi 37, dla Francji 4, dla Niemiec – 10. Wniosek? Fotoradarów powinno być w Polsce co najmniej trzy razy więcej. © BJ



Co się zmieniło na drogach

SAMOCZODY | Równo 40 lat temu wprowadzono obowiązek zapinania pasów bezpieczeństwa, który najpierw dotyczył tylko osób na przednich siedzeniach. Już kilka lat później pasy stały się obowiązkowe dla wszystkich pasażerów. Od 1999 r. małe dzieci muszą podróżować w specjalnych fotelikach, a od 2007 r. jeździmy na światłach mijania cały rok. Stopniowo zaostrzane były też kryteria obowiązkowych badań technicznych, choć wielu ekspertów uważa, że nadal są zbyt słabe.

KIEROWCY | Od 1997 r. kierowcy nie mogą podczas jazdy korzystać z telefonów (chyba że używają zestawów głośnomówiących). Na obszarach zabu-

dowanych obowiązywało wtedy ograniczenie do 60 km/h, stopniowo potem zmniejszane do 50 km/h. Zdaniem policji ta redukcja jest jedną z najbardziej istotnych zmian na polskich drogach. Inną jest wprowadzenie tachografów, które zwiększyły bezpieczeństwo pracy kierowców tirów. Dopiero w 2019 r. w kodeksie drogowym oficjalnie pojawiły się: jazda na suwak i korytarz życia. Najnowszą zmianą jest wprowadzony w tym miesiącu zakaz wyprzedzania dla ciężarówek na autostradach i drogach szybkiego ruchu, które mają dwa pasy ruchu w jednym kierunku.

PIESI I ROWERZYŚCI

W 2011 r. zaczęła obowiązywać tzw. ustawa rowerowa, która dała cyklistom pierwszeństwo na przejazdach i pozwoliła mijać stojące w korku samochody. Od dwóch lat pieszy zbliżający się do pasów ma pierwszeństwo przed pojazdami. Nie może jednak przechodzić przez ulicę wpatrzony w telefon.

KARY

| System punktów karnych obowiązuje od 30 lat. Kilukrotnie był zaostrzany, ale wysokość samych mandatów podnoszono jedynie za ciężkie przestępstwa, zwłaszcza za jazdę pod wpływem alkoholu. Kary za prędkość ani drgnęły aż do zeszłego roku. Teraz są dotkliwe – recydywa może kosztować nawet 5 tys. zł.

POLICJANCI | Jeszcze dekadę temu stułotowy banknot wetknięty w dowód rejestracyjny był normą. Zwalczenie przekupstwa było najważniejszą zmianą w drogówce. W minionym roku ze wszystkich policjantów, którym postawiono zarzuty korupcyjne, drogowcy stanowili tylko 8 proc.

© P K S

nie ręce: no tak, są ofiary, nawet tysiące rocznie, ale nic się z tym nie da zrobić. Taka jest cena wolności. Dokładnie takie argumenty słyszałem z ust osób sprzeciwiających się ograniczeniom prędkości w Polsce.

Najbardziej agresywni kierowcy narzucają styl jazdy całej reszcie. Psychologowie ustalili, że dostosowujemy się do tego, jak jeżdżą inni – a nie do znaków i ograniczeń. Jeśli wszyscy przekraczają prędkość, to i my nie chcemy odstawać od reszty. Tak wygląda „społeczne uczenie się”. Tak samo, jak uczymy się mówić „dzień dobry” i „do widzenia”, tak samo uczymy się jazdy na drogach.

W dyskusji o prędkości uderza społeczny darwinizm, który kierowcę sytuuje na szczycie drabiny stworzenia. Cała reszta – pasażerowie komunikacji publicznej, piesi, rowerzyści – powinni pokornie zejść mu z drogi.

Wątek pieszych pojawia się zresztą także w krakowskim wypadku. Na nagraniu z monitoringu widać postać, która próbuje przekroczyć drogę w niedozwolonym miejscu, a widząc pędzącego renault gwałtownie się cofa. Internauci i część komentatorów (np. kierowca rajdowy Krzysztof Hołowczyc czy były inspektor policji Marek Konkolewski) szybko zawyrokowali, że odpowiedzialność za zdarzenie ponosi przechodzień, który wytrącił kierowcę z równowagi.

Szczegóły ustalają śledczy, ale ten trop w dyskusji jest znamieny. Bo przecież nawet jeśli pieszy w jakiś sposób przyczynił się do wypadku, to na pewno kierowca pędzący przez miasto 120 kilometrów na godzinę nie jest wzorem odpowiedzialności.

W Polsce obwinianie pieszych za całe zło świata ma długą tradycję. Widać to było przy dyskusji na temat przyznania im większych przywilejów na pasach. Ileż to pojawiło się głosów, że teraz to się zacznie rzeź, kiedy spacerowicze zaczęną rzucać się pod koła! Niezgodnie z faktami – piesi odpowiadają raptem za 5 proc. wypadków ogółem i 10 proc. wypadków śmiertelnych. Pomimo tych danych po każdym wypadku na przejściu pojawiają się komentarze, że przechodnie sami są sobie winni, to oni powinni bardziej uważać, bo przecież musieli widzieć nadjeżdżający samochód, a poza tym rozpedzone auto zatrzymać chyba trudniej niż własne nogi, prawda?

Jaśniepan w samochodzie

⇒ Są też fani szybkiej jazdy, dla których łamanie przepisów to wyraz wolności. Mają oparcie w działaczach społecznych, publicystach i politykach. To zazwyczaj te same osoby, które sprzeciwiały się szczepieniom i noszeniu maseczek podczas pandemii covidu albo negują globalne ocieplenie. Prawo do prędkości to kolejny wyraz wolności rozumianej w libertariańskim duchu, zgodnie z ideą „spo-

łeczństwo nie istnieje”. Istnieje zbiór jednostek, w tym ja, a ja muszę dojechać szybko do celu. A po mnie choćby potop.

Tę miłość do samochodów i szybkiej jazdy zaimportowaliśmy oczywiście ze Stanów Zjednoczonych. Dlatego też rozmowa o ograniczaniu prędkości przypomina spory toczony za oceanem na temat dostępu do broni palnej. Po każdej masakrze część Amerykanów żąda zaostrzenia przepisów, a część rozkłada bezrad-

Dyskusja o roli pieszych w wypadkach to klasyczne przerzucanie winy ze sprawcy przestępstwa na ofiary. Kolejny pokaz społecznego darwinizmu, kultu silniejszego.

W dalekich krajach z racji prowadzenia wazącej tonę maszyny wynikałyby jakieś obowiązki. W Polsce – tylko przywileje, wszak siła jest po mojej stronie! Jakoś znajomo brzmi ta feudalna relacja władzy, stosunek jaśniepana w samochodzie do słabszych uczestników ruchu, plebsu na pasach i rowerach. Nasza szlachecka wolność i ułańska fantazja pięknie korespondują z wolnością w stylu amerykańskim. Z tego miksu zrodził się kierowca, który przepisom, pieszym i znakom się nie kłania.

Nieufny jak Polak

Do tej mieszanki dodajmy typowo polski brak zaufania. Badania CBOS od lat pokazują nas jako społeczeństwo skrajnie nieufne. 74 proc. Polaków uważa, że w stosunkach z innymi ludźmi należy być bardzo ostrożnym. Skoro nie wierzymy, że rodak będzie nam bratem, to dlaczego mielibyśmy pokładać nadzieję w innych kierowcach?

Z zaufaniem do instytucji jest jeszcze gorzej. Polacy powszechnie nie dowierzają policji, partiom politycznym, rządowi i administracji, podatki płacą niechętnie, ZUS traktują jak złodzieja. Ta nieufność rozciąga się też na inżynierów

**Szlachecka wolność
i ułańska fantazja**
pięknie korespondują
z libertarianizmem w stylu
amerykańskim.
Z tego miksu zrodził się
kierowca, który przepisom,
pieszym i znakom
się nie kłania.

rów ruchu rozstawiających znaki. Stąd przekonanie polskiego kierowcy, że on tych wszystkich ograniczeń przestrzegać nie będzie, bo przecież „na pewno jakiś debil ten znak ustawił”.

Inna rzecz, że ograniczenie do 50 kilometrów na godzinę na szerokiej, dwupasmowej alei nie zawsze ma sens. Eksperti udowodnili, że kierowcy nie jeżdżą z prędkością, jaką wyznaczają znaki. Jeżdżą tak szybko, jak pozwala im droga. Budując szerokie miejskie arterie inżynierowie wysyłają kierowcom sygnał: jest bezpiecznie, gaz do dechy! Z kolei zważając drogi i uspokajając ruch mózg kierowcy odbierze sygnał przeciwny: zwolnij, tu się nie rozpędzisz!

Zwężanie dróg to jednak w Polsce decyzja skrajnie niepopularna. Lokalni politycy z elektoratem kierowców obchodzą się nad wyraz delikatnie. Do niedawna tak samo zachowywali się politycy przy Wiejskiej. Pod wpływem głośnych wypadków rząd zmienił jednak nastawienie do piratów. Nowe przepisy pozwoliły po raz pierwszy dorównać do europejskiej średniej w liczbie ofiar na drogach, a nawet odebrać europejską nagrodę za 50-procentowy spadek liczby ofiar w ciągu ostatniej dekady.

A więc sukces? Niezupełnie. Europa Zachodnia zmierza w stronę „wizji zero” – zerowej liczby ofiar na drogach. Warto, byśmy podążyli jej tropem. Wymaga to jednak przemyślanej i długofalowej polityki bezpieczeństwa, obejmującej przebudowę dróg, zwiększenie liczby fotoradarów, edukację, szkolenia i dalsze stopniowe podwyższanie mandatów. Czy to możliwe? Szanse są marne. Jest chyba tylko jedna kwestia, która połączyła wszystkie rządy bez względu na polityczne barwy. Tym celem jest budowa nowych autostrad i dróg ekspresowych, które stawiamy najszybciej w Europie.

© BARTOSZ JÓZEPIAK



Autor wydał książkę reporterską „Wszyscy tak jeżdżą”, która ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Czarne.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabiń, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller,
Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardys,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielewski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kačka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Nagiorkowski,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszałka,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adert,
Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Sumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA

REKLAMA
S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Wodzowie



IZRAELICI STOJĄ U WRÓT ZIEMI OBIECANEJ. Prawie wszyscy urodzeni jeszcze w egipskiej niewoli dokonali już żywota, Mojżesz przemawia więc do nowego pokolenia. Opowiada o tym, czego raczej nie znają z autopsji: co przydarzyło się Dzieciom

Izraela podczas 40 lat wędrówki po pustyni. Wspomina, jak stwierdził, że sam nie podoła ciężarowi władzy, i podzielił się nią z innymi. Nakazał mianowicie: „Weźcie sobie ludzi mądrych, roztropnych i znanych w ich plemionach, bym postawił ich [*waasimem*] wam na czele [*be-raszejchem*]” (Pwt 1, 13).

Komentator wszech czasów jednym hebrajskim słowem tłumaczy „mądrych” z tego wersu: *kesufim*. Co znaczy ów tajemniczy wyraz? Niektórzy egzegeci bezradnie rozkładają ręce, inni próbują podać jakieś uprawdopodobnione znaczenie. Jeden sugeruje: „mili i oczekiwani z utęsknieniem, jak w *nichsof nichsafta* (o uczuciach Jakuba w Rdz 31, 30)”. „*Nichsof nichsafta*” znaczy »pożądałeś« – pisze wybitny średniowieczny poeta i hebraista. To ma być pożądana cecha potencjalnego przywódcy? Drugi próbuje godzić przedmówców: „są spragnieni poznania słów Tory”. Trzeci sprowadza kolegów na ziemię: „powinni być »forsiaści«, mieć *kesef* [hebr. pieniądze, srebro]”. Kolejny zauważa: „sędzia (lub przywódca) bogaty jak król będzie miał posłuch, gdyż jest niezależny od społecznych funduszy”. Przywódcami mogą zostać tylko mężczyźni dobrze znani ludziom z poprzednich lat jako osoby prawe i bogobojne. Zewnętrzna pobożność niedawno poznanego człowieka nie gwarantuje, że nadaje się on na wodza. Wszak jeśli przed Mojżeszem stanie ktoś owinięty w szal modlitewny, nawet sam pustynny przywódca nie będzie wiedział, ile wart jest ten człowiek.

Znajomość od dziecka stwarza inny problem. Wprawdzie współplemieńcy ręką za kandydata, lecz kiedy chwyci on ster władzy, mogą pomyśleć: „znam go od takiego brzdąca – on mi będzie rozkazywał?”. Czy nie był to jeden z powodów, dla których Mojżesz wychował się na dworze faraona? Komentator wszech czasów wpiery wyjaśnia *be-raszejchem*, a dopiero potem *waasimem*, choć wyrazy te występują w wersji w odwrotnej kolejności. Należy szanować przywódców i czuć wobec nich respekt (nawet jeśli się ich znało od małego). Dopiero wówczas *waasimem* – mogę wam ich postawić na czele. Jeżeli w *waasimem* zabraknie litery *jud* między *sin* i *mem*, przeczytamy *wa-aszmmam be-raszejchem* [„ich wina spoczywa na was”]. Jeśli ludzie nie robią, co do nich należy – kontynuuje – winni są przywódcy, gdyż ich obowiązkiem jest podkomendnych napominać i sprowadzać na właściwą drogę. Jednak tylko otoczeni szacunkiem wodzowie mogą być obarczani odpowiedzialnością za postępowanie mas. Brak zaufania rządzonych uniemożliwia wywieranie wpływu na ich postępowanie. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Łapaj heretyka!



W EWANGELII MATEUSZA JEZUS MÓWI DO apostołów, czyli nauczycieli Pisma i Prawa Nowego Przymierza: „Każdy nauczyciel Pisma, gdy staje się uczniem królestwa niebieskiego, podobny jest do gospodarza domu, który ze swego skarbcza

wyjmuje to, co nowe i stare”. Dzisiaj to ewangeliczne nauczanie Jezusa jest już starym „skarbem”, stąd pytanie: co z tego liczącego dwa tysiące lat magazynu kościelnego nauczania wybrać, a co zostawić w spokoju? Niech się nie przydaje, ale niech będzie. Natomiast jeśli coś umarło na dobre, na nic się zda stawianie nieboszczyka na nogi. Przecież już raz próbowaliśmy tego dokonać, stawiając przed sądem wywleczonego z grobu papieża Formozusa (tzw. synod trupi 897 r. – red). Jednak nie wszystko, co cuchnie, jest stare, i nie wszystko, co ładnie pachnie, jest nowe.

Takich, którzy na własną zgubę uwierzyli w obietnice bezproblemowego życia składane przez mających władzę polityczną, religijną czy obydwie naraz, trzeba liczyć w milionach. Dlatego tak ważna jest umiejętność odróżniania prawdy od fałszu, piękna od brzydoty, dobra od zła. Jeszcze jeden banal? Na pewno nie dla umierających z głodu, pod bombami czy dla katorżanych w więzieniach. Dlatego Salomon, syn Dawida i Batszeby, obejmując władzę nad Izraelem, prosi Boga: „Daj twemu słudze rozum, aby potrafił wysłuchać stron sporu i wydawać sprawiedliwe wyroki. Któż bowiem może rządzić Twoim ludem, tak wielkim?” i ogarniającym wszystkich ludzi, jako że nie ma „nie-ludu”, każdy człowiek jest dzieckiem Boga.

A jednak, co prawda coraz ciszej, wciąż daje się słyszeć, że tak naprawdę, realnie, a nie tylko w wyobraźni, Boga można spotkać jedynie w „naszym” Kościele – na przykład rzymskokatolickim. Może jeszcze w cerkwiach, ale w Kościołach ewangelickich już nie, o innych religiach nie wspominając. Nie ma tam tabernakulum, i samo przez się, Boga. Tymczasem nowy stróż kościelnej tradycji, szef Dykasterii Nauki Wiary, abp Víctor Manuel Fernández, zachęca teologów do zejścia z utartych szlaków myślenia o Kościele i podjęcia rozmowy z twórcami współczesnej filozofii, nauki i sztuki, gdyż „bez dialogu z kulturą ryzykujemy, że nasze przesłanie, choćby najwspanialsze, stanie się nic nie znaczące”, bo niepomagające człowiekowi odnaleźć się w dzisiejszym świecie. Nic też nie pomoże wyłapywanie heretyków i „wszelkie potępienia”. Dowód? Jansenizm, który przetrwał wszelkie przeciwności, gdyż „były w nim słuszne intuicje”, których nie umiano czy nie chiano zauważyć. Z tą „intuicją” wciąż jest nie najlepiej. Wciąż straszy się nas nie tylko islamizacją, ale chrislamizacją – najnowszą herezją wymyśloną przez heretyckiego papieża Franciszka. Salomonowa modlitwa o rozum na pewno się nie zestarzała. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Chodzenie w jarzmie

Nie to sprowadza na nas
potępienie, że nam
przychodzą złe myśli,
ale to, że tych myśli
źle używamy. Bo można
przez myśl utonąć,
a można i zdobyć wieniec.

**Z APOFTEGMATÓW
OJCÓW PUSTYNI**



Samowyrzeczenie polega
na tym, że porzucasz
świat doczesny, następnie
nie troszczysz się,
kto go zabierze.

Z TRAKTATU O SUFIZMIE



„PRZYJDZIE DO MNIE wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie na siebie moje jarzmo i uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokornego serca, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych. Albowiem słodkie jest moje jarzmo, a moje brzemie lekkie” – brzmi Ewangelia ogłoszona nam przez Jezusa w miniony czwartek (Mt 11, 28-30).

Każdy z nas, wierzących, chodzi w jarzmie. Mówi o tym np. Mądrość Syrachy (51, 26) wtedy, gdy wzywa nas do szukania i do poddania się Bożej nauce: „Włóżcie kark wasz pod jarzmo”. Jarzmem jest kapłaństwo. W dawnym obrzędzie święceń biskup nakładał neoprezbiterowi stulę i krzyżował mu ją na piersiach, aby pamiętał, iż będzie odtąd chodził w słodkim jarzmie Chrystusa. Jarzmem jest małżeństwo. Mówi o tym wprost pierwsza prefacja mszalna przeznaczona na liturgię sakramentu małżeństwa: wychwala ona Boga, który łączy małżeństwa „słodkim jarzmem miłości”.

Bierzemy to jarzmo (wiarę, kapłaństwo, małżeństwo) z radością, zaufaniem i przekonaniem. Przychodzą jednak na nas momenty, gdy staje się ono „trudem” i „ciężarem”, którego nie sposób dźwigać. Chętnie chcielibyśmy go zrzucić z siebie. Kiedy? Dlaczego tak się dzieje?

Odpowiedź podpowiada nam, jak myśle, św. Paweł w ważnym zdaniu z Listu do Galatów (5, 1): „Ku wolności wyswobodził

nas Chrystus. A zatem trwajcie w niej i nie poddawajcie się na nowo pod jarzmo niewoli”. Mamy tu mocną intuicję co do tego, co czyni nasze jarzmo ciężarem i trudem nie do zniesienia. Otóż wcale nie jego trud i ciężar wzięte same w sobie, lecz sposób ich podejmowania. Jarzmo jest nie do uniesienia, gdy przyjmujemy je na sposób niewolnika.

Kapłaństwo nie jest ciężkie. Celibat nie jest ciężki – dokąd przeżywamy go jako charyzmat i formę miłości. Kiedy, jak niewolnicy, nie widzimy w nim już nic oprócz przepisu (bezdusznego!) prawa, staje się nie do uniesienia. Również brewiarz nie jest żadnym ciężarem, dokąd jest łaską i przywilejem spotkania Boga na modlitwie. Kiedy staje się jedynie przyjętym kiedyś zobowiązaniem, które teraz muszę wypełniać – staje się jarzmem, łatwo zrzućcanym (z prostych powodów).

Małżeństwo i rodzina – czy stają się jarzmem nie do uniesienia, gdy pojawiają się w nich kolejne dzieci? Gdy pojawia się w nich choroba? Ubóstwo? Ośmielę się powiedzieć, że nie! Jeśli ciągle jeszcze są przeżywane z Chrystusem, jako sakrament, skuteczny znak łaski, źródło miłości. Kiedy jednak są już tylko faktem, prawem i dawnym zobowiązaniem, kiedy podchodzę do nich jak niewolnik, nie sposób dłużej ich dźwigać.

Wiara i nauka Boża też mogą stać się jarzmem, jeśli je zredukować wyłącznie do przepisów, norm i zakazów. Do prawa. Trudno i ciężko widzieć w nich wtedy Dobrą Nowinę. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (30 VII – 6 VIII)

- | | |
|--|---|
| 17. niedziela zwykła: 1 Krl 3, 5. 7-12; Ps 119; Rz 8, 28-30; Mt 13, 44-52; | Czwartek: Wj 40, 16-21. 34-38; Ps 84; Mt 13, 47-53; |
| Poniedziałek: Wj 32, 15-24. 30-34; Ps 106; Mt 13, 31-35; | Piątek: Kpł 23, 1. 4-11. 15-16. 27. 34b-37; Ps 81; Mt 13, 54-58; |
| Wtorek: Wj 33, 7-11; 34, 5-9. 28; Ps 103; Mt 13, 36-43; | Sobota: Kpł 25, 1. 8-17; Ps 67; Mt 14, 1-12; |
| Środa: Wj 34, 29-35; Ps 99; Mt 13, 44-46; | 18. niedziela zwykła: Dn 7, 9-10. 13-14; Ps 97; 2 P 1, 16-19; Mt 17, 1-9. |

Wybrał PIOTR SIKORA



Demonstracja samorządowców pod hasłem #wObronieMieszkańców w proteście przeciwko zmianom podatkowym zawartym w projekcie Polski Ład. Warszawa, 3 października 2021 r.

ZAWŁASZCZONE WSPÓLNOTY

Polska lokalna znalazła się między młotem rządowego centralizmu a kowadłem udzielnych księstewek. Ćwierć wieku po reformie samorządowej nikt nie planuje zmian mogących zredukować liczne nieprawidłowości.

STEFAN SĘKOWSKI

TYLKO WOJSKO JEST INSTYTUCJĄ publiczną, którą Polacy oceniają lepiej niż władze samorządowe. Potwierdzeniem tych opinii jest fakt, że wielu wójtów, prezydentów miast czy burmistrzów pozostaje u steru swych małych ojczyzn od kilkunastu, a czasem ponad dwudziestu lat. Najwyraźniej obywatele są z nich zadowoleni, skoro powierzają im rządy na kolejne kadencje.

Jednocześnie z wielu wspólnot lokalnych dochodzą głosy o licznych patologiach: wójcie, który podciągnął drogę akurat w okolicę, w której mieszka, burmistrz torpedującym wszelkie oddolne inicjatywy ze strachu przed konkurencją lub prezydencie zatrudniającym krewnych i znajomych w urzędzie czy spółkach komunalnych.

Gmina prezydencka

Żeby zrozumieć, skąd ten rozdźwięk między wysokim poparciem wyrażanym w badaniach i przy urnach a opiniami organizacji pozarządowych, miejskich aktywistów czy dziennikarzy, cofnijmy się o ćwierć wieku. 24 lipca 1998 r. Parlament uchwalił, a dwa dni później prezydent Aleksander Kwaśniewski podpisał ustawę reformującą polski samorząd. Wprowadziła ona podział na 16 województw, powiaty (obecnie 314) i gminy (2477), a także miasta na prawach powiatu (66). Wspólnie z innymi uchwalonymi wówczas ustawami miało to pogłębić decentralizację, usprawnić funkcjonowanie lokalnych wspólnot, upodmiotowić je oraz umożliwić im szerokie korzystanie ze środków europejskich.

W tamtym czasie samorząd w Polsce dopiero od kilku lat raczkował. Istniejące w PRL rady narodowe były organami jednolitej władzy państwowej i w jej ramach miały bardzo niewielką autonomię, dostosowując tylko wskazówki z góry do lokalnych uwarunkowań. Odnowiony samorząd otrzymał podmiotowość prawną oraz zadania własne do wykonania. Także duża część majątku należącego do tej pory do państwa, jak choćby wodociągi czy przedsiębiorstwa komunikacyjne, stała się jego własnością.

W tamtych czasach gminami i miastami na prawach powiatu kierowały zarządy wybierane przez rady. To prowadziło do częstych przetarasowań, gdy zmieniały się niepewne układy koalicyjne. W końcu politycy zgodzili się na odpar-

tyjnienie „terenu” i uczynili z prezydentów, wójtów oraz burmistrzów jednoosobowe organy wykonawcze, wybierane od 2002 r. w wyborach bezpośrednich.

To ogromna zmiana i zarazem olbrzymia władza. Lokalni włodarze kierują urzędami miast i gmin, nadzorują spółki komunalne, a także szkoły podstawowe (w miastach na prawach powiatu również ponadpodstawowe). Silny mandat, jaki dały im wybory bezpośrednie, sprawił, że wielu nie potrzebuje centralnego patronatu – czasem jest on wręcz przeszkodą. Dlatego niektórzy prezydenci szybko wystąpili ze swoich partii i założyli własne lokalne stronnictwa bądź – zachowując partyjne legitymacje – ukryli się za ponadpartyjnymi szyldami.

Prawdziwy przełom nastąpił jednak po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej, kiedy samorządy uzyskały dostęp do miliardów złotych z funduszy europejskich. Z jednej strony realnie wpłynęły one na rozwój regionalny w naszym kraju, z drugiej ułatwiły samorządowcom budowę pozytywnego wizerunku.

Swoj do swego

Silny mandat i ogromna władza, w połączeniu z górą euro z Brukseli, stały się zarazem mieszkanką ułatwiającą betonowanie władzy w wielu ośrodkach. Liczne inwestycje z unijnych funduszy poprawiły jakość życia mieszkańców (nie zawsze zdawali sobie oni sprawę, że sprawiły to pieniądze z zagranicy) i podniosły notowania lokalnych włodarzy, także tych przeciętnych.

Nawet jednak tam, gdzie prezydenci i wójtowie zupełnie nie radzili sobie ze sprawnym rządzeniem i absorpcją funduszy, ich pozycja była (i jest) silna, gdyż w obecnym systemie prawnym są w zasadzie nieusuwalni. Można ich odwołać w referendum lokalnym, ale żeby tak się stało, trzeba przekroczyć próg frekwencyjny (60 proc. frekwencji w wyborach, które dały władzę odwoływanemu organowi). Takie przypadki zdarzają się rzadko i nie są powodem lęku dla władzy, która w niektórych ośrodkach wzmacnia swoją pozycję m.in. dlatego, że jest największym pracodawcą. Podlegają jej urzędy, liczne spółki komunalne i szkoły. Może zatrudniać tam swoich ludzi, nawet jeśli nie mają odpowiedniego doświadczenia i wykształcenia, i w ten sposób ich od siebie uzależniać. Do tego dochodzą za-

interesowane trwaniem układu rodziny tych wybrańców oraz szefowie i pracownicy firm będących beneficjentami różnych przetargów. Robi się z tego szeroki front, dający przy urnach wyborczych konkretne poparcie, ale zarazem rozwijający tzw. klientelizm.

W samorządach w skali mikro widać patologie występujące w całym kraju. Narzekamy na PiS zatrudniający swoich ludzi w spółkach Skarbu Państwa, ale – jak wskazują choćby aktywiści stowarzyszenia Miasto Jest Nasze – „na dole” nie jest dużo lepiej. W spółkach samorządowych w Warszawie i na szczelbu wojewódzkim Mazowsza zatrudnienie znalazło wielu radnych stolicy, jej dzielnic i sejmiku województwa, zarówno z PO, jak i PSL. Problemem są nie tylko ich dodatkowe dochody uzyskane dzięki partii, ale i to, że jako radni mają obowiązek kontrolowania działalności władz, od których zależy ich kariera w danej spółce gminnej.

Prezydenci i burmistrzowie miast z pozoru mają gorzej niż radni. Oni nie mogą należeć do rad nadzorczych spółek, które kontrolują. Ale i na to znaleźli sposób, świadcząc sobie pomoc wzajemną. W grudniu ubiegłego roku Interia opisała taki mechanizm: prezydent Częstochowy zasiada w radzie nadzorczej Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji w Będzinie, z kolei prezydent Będzina zasiada w radzie nadzorczej spółki Hala Sportowa Częstochowa. To zresztą nie jest jego jedyna dodatkowa praca, ponieważ nadzoruje także wodociągi w Sosnowcu. Prezydent Sosnowca jest w radzie nadzorczej wodociągów Dąbrowy Górniczej, prezydent Dąbrowy Górniczej zaś nadzoruje spółkę Wrocławskie Mieszkania. Natomiast wiceprezydent Wrocławia jest w radzie Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej w... Sosnowcu. Do tej swoistej „spółdzielni” należą włodarze i ich zastępcy z kilkunastu miast województwa śląskiego i dolnośląskiego. Miejsca w radach nadzorczych załatwiają sobie tutaj wzajemnie politycy PO, Lewicy i bezpartyjni samorządowcy. Trudno się spodziewać, by traktowali zarządy spółek podległych prezydentom, którym zawdzięczają stanowiska, szczególnie surowo.

W efekcie braku skutecznej kontroli w wielu ośrodkach pojawiają się inwestycje nieprzemysłane, za które nikt nie ponosi odpowiedzialności. Władze stawiają

→ sobie pomniki, betonując pod pozorem remontów centra miast i miasteczek i nie reagując na protesty mieszkańców. Czasem dochodzi do sytuacji wręcz komicyjnych, jak np. instalacja 135 koszy na śmieci za prawie 500 tys. zł w krakowskim parku Reduta. „Niestety, tak wyszło. Nie dopilnowaliśmy trochę projektanta i tak to poszło we wniosku o dofinansowanie UE” – tłumaczył wyrzucenie pieniędzy „w śmietniki” dyrektor Zarządu Zieleni Miejskiej Piotr Kempf w rozmowie z „Gazetą Krakowską”.

Dziennikarze w odwrocie

O wielu mniejszych lub większych patologii mieszkańcy jednak się nie dowiedzą, bo nie będą mieli skąd. Ogólnopolskie media rzadko się takimi sprawami interesują, a lokalne pisma, jeśli jeszcze istnieją, są często uzależnione od reklam władzy lub jej spółek. Łatwiej jest czasem znaleźć czasopisma wydawane przez miejskie wodociągi czy centra sportu. Jak wynika z niezależnie od siebie przeprowadzonych badań Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska (2018 i 2021) oraz Narodowego Instytutu Samorządu Terytorialnego (2022) – najczęściej wydają je same urzędy lub podległe im komórki organizacyjne (domy kultury, biblioteki) oraz spółki komunalne. Największą grupę autorów tekstów stanowią zaś etatowi pracownicy urzędów lub innych jednostek samorządu oraz nauczyciele (podlegli gminie). W większych miejscowościach oprócz gazet są także telewizje (np. Hello Kraków), na które idą grube miliony złotych mimo nikłej oglądalności.

W co najmniej 77 proc. spośród 1756 samorządów opisanych w sporządzonym przez NIST „Raportie z badania diagnostycznego poświeconego lokalnej prasie samorządowej” związane z lokalną władzą medium nie ma żadnej konkurencji. Przejęcie Polska Press przez Orlen (20 gazet, ponad 100 portali) jeszcze pogorszyło sytuację. W miastach, w których władze nie są związane z PiS, krytyczne wobec lokalnych elit publikacje mogą być uznane za polityczny atak. A tam, gdzie rządzi PiS, może czytelników dziwić ich brak.

Władze miast i miasteczek nie boją się krytyki ze strony mediów, ale nie martwi ich też nadzór ze strony radnych. W samorządach panuje *de facto* ustrój prezydencki, w którym rady mają niewiele do powiedzenia. Prezydent, wójt czy bur-

Niektórzy twierdzą, że rady można by zlikwidować i niewiele by to zmieniło.

W jaki sposób radni mają kontrolować władzę, jeśli mogą pracować dla prezydenta lub wójta?

mistrz powinni wykonywać ich uchwały, jednak w praktyce mogą je ignorować. Nawet jeśli niewykonanie uchwały może być przesłanką do nieudzielenia wotum zaufania prezydentowi, taka decyzja rady nie wysadza go automatycznie z siodła, ale może (choć nie musi!) doprowadzić do rozpisania referendum odwoławczego. Decydują w nim obywatele, o ile zechcą pofatygować się do urn.

– Niektórzy twierdzą, że rady można by wręcz zlikwidować i niewiele by to zmieniło. W jaki sposób radni mają kontrolować organy wykonawcze, jeśli mogą, pośrednio, pracować dla prezydenta czy wójta? – zastanawia się Andrzej Andrysiak, autor książki „Lokalsi” i podcastu „Mała władza”. Radny co prawda nie może być np. dyrektorem w instytucji podległej urzędowi gminy, ale może w niej pracować. Dotyczy to zarówno spółek, jak i szkół. W ten sposób aktualna władza może też uciszać lub niszczyć w zarodku potencjalną opozycję. Jedną z radnych miejskich opowiadała mi o pedagogice szkolnej i zarazem kandydatce na burmistrza w pewnym mieście na Pomorzu, która zaraz po przegranych wyborach została zwolniona z pracy i musiała przenieść się do innej miejscowości.

Radni miejscy mają niewielkie możliwości nadzorowania organów wykonawczych, nawet jeśli nie należą do ich frakcji i nie są od nich zależni. Mogą zasiadać w komisji rewizyjnej czy składać interpelacje, jednak często brak im zaplecza organizacyjnego i prawnego. Rajcom bez wykształcenia prawniczego, którzy mogą mieć świetne pomysły, trudniej jest formułować interpelacje czy uchwały i w efekcie lądują one w koszu. W większości rad nie ma to zresztą znaczenia, bo i tak wójt czy burmistrz mają w niej większość i rządzą w nich tak, jak PiS na szczeblu centralnym. Zdarzają się

sytuacje, w których komitet wójta zdobywa wszystkie albo prawie wszystkie mandaty. Tak było np. w gminie Iława w powiecie iławskim, gdzie taki komitet zgarnął 14 z 15 mandatów, czy w gminie Gubin w powiecie krośnieńskim, gdzie otrzymał 13 na 15 mandatów.

Aktywni mieszkańcy

Władza pozbawiona kontroli alienuje się. Odpowiedzią na to zjawisko było powstanie ruchów miejskich patrzących jej na ręce i domagających się realizacji różnych postulatów mieszkańców. Jednym ze sposobów są budżety obywatelskie. Pierwszy z nich pojawił się w 2011 r. w Sopocie. Po początkowym sceptycyzmie władz ta forma partycypacji zaczęła być popularna do tego stopnia, że w 2018 r. budżety obywatelskie w miastach na prawach powiatu stały się obowiązkowe. Jednak dziś w wielu miejscach entuzjazm wobec nich osłabł.

Pierwotnie budżet obywatelski miał być formą partycypacji mieszkańców, tymczasem w wielu miejscach prymwiodą projekty władz. Przykładowo w ostatnich trzech latach w Płocku aż 57 proc. wszystkich wybranych projektów dotyczyło... samorządowych placówek oświatowych. Pieniądze przeznaczono też dla Książnicy Płockiej, lokalnego ośrodka kultury i sztuki, straży miejskiej czy OSP. Jak pisze Piotr Pięta w artykule „Udział placówek oświatowych w budżetach obywatelskich” (opublikowanym w „Annales UMCS”), „pomysły mieszkańców są wybierane sporadycznie”.

Ktoś powie, że na końcu i tak to mieszkańcy decydują – tyle że jeśli zdarzają się sytuacje, w których urny do głosowania stoją w szkołach, a te nagradzają uczniów, których rodzice głosują, wyższą oceną ze sprawowania, to trudno się dziwić, dlaczego budżety obywatelskie zdominowały instytucje miejskie bądź wielkie spółdzielnie wrzucające mieszkańcom do skrzynek wypełnione karty do głosowania, które wystarczy podpisać.

Innym rozwiązaniem są panele obywatelskie, organizowane m.in. w Gdańsku, Lublinie czy Wrocławiu. Polegają one z grubsza na tym, że losowo dobrana grupa mieszkańców deliberuje nad rozwiązaniem konkretnego problemu. Postulaty takiego panelu nie muszą jednak zostać zrealizowane.



JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kosze na śmieci w parku Reduta. Kraków, 11 stycznia 2020 r.

Mieszkańcy mają też inne możliwości, by wpływać na decyzje podejmowane przez władze. Jedną z nich jest udział w debacie nad Raportem o Stanie Gminy, który co roku wóldarz musi przedstawić, inną – obywatelska inicjatywa uchwałodawcza. Jeśli podpisze się pod nią określona liczba osób (100-300, w zależności od wielkości gminy), rada musi się nad nią pochylić. Ponadto mieszkańcy mogą także zgłaszać własne wnioski do budżetu gminy. – Właśnie teraz powstają projekty budżetów na kolejny rok. Warto się im przyglądać i za pośrednictwem swojego radnego lub bezpośrednio u prezydenta zgłaszać pomysły – mówi katowicki radny Patryk Białas.

W ramach inicjatywy lokalnej mieszkańcy mogą zaproponować gminie umowę: wy dostarczycie nam potrzebne materiały i zaplecze, my wykonamy pracę, dzięki której nasze otoczenie będzie lepsze. Białas podaje przykład Ogrodów Społecznych „Zielona Oaza” w Katowicach. – Mieszkańcy mieli pomysł, by zasadzić ogrody rekreacyjne. Sami zajęli się ich budową i uporządkowaniem terenu, miasto zaś dało pieniądze na projekt i małą architekturę. Po jakimś czasie okazało się, jak uciążliwy jest brak ujęcia wody w bezpośrednim sąsiedztwie; trzeba było ją przynosić z domu. Wówczas inicjatorzy napisali wniosek do budżetu. Teraz obok ogrodu stoi zbiornik – mówi.

Pora na reformę

Takich przykładów można wskazać więcej, podobnie jak samorządów, które

wysłuchują się w głos mieszkańców. Niestety system władzy lokalnej, jaki mamy w Polsce, wcale nie promuje takich postaw, ani nawet nie wymusza jego rzeczowej analizy. Konstytucja 3 maja, „uznając potrzebę wydoskonalenia onej, po doświadczeniu jej skutków”, zakładała, że co 25 lat należy zwołać specjalny Sejm, który miałby zrewidować i poprawić ustawę zasadniczą. Doświadczenia pierwszego ćwierćwiecza obecnego samorządu terytorialnego pokazują, że pomysł sprzed ponad dwustu lat wciąż jest świeży. Niestety, brak ku temu politycznego klimatu.

PiS, często słusznie krytykujący patologię Polski lokalnej, nie zaproponował przez osiem lat żadnej kompleksowej reformy, z jednym wyjątkiem – ograniczenia władzy prezydentów do dwóch kadencji, co osłabia ich hegemonię i zapobiega betonowaniu lokalnej sceny na dziesięciolecie. Z drugiej strony PiS stara się lokalne społeczności podporządkować Warszawie, np. poprzez zawetowaną ostatecznie przez Andrzeja Dudę próbę rozszerzenia kontroli Regionalnych Izb Obrachunkowych nad samorządami aż po możliwość odwoływania wójtów lub prezydentów. Udało mu się za to odebrać samorządom niektóre kompetencje i przekazać je władzom centralnym, jak nadzór nad wodami czy oświatą.

Inną formą uzależniania od siebie gmin są oczywiście pieniądze. Te, które zależą od decyzji rządu, rozdzielane są bardzo uznaniowo. Sztandarowym

przykładem jest Rządowy Fundusz Inicjatyw Lokalnych, z którego gminy rządzone przez PiS otrzymują wielokrotnie więcej środków w przeliczeniu na mieszkańca (dziesięć razy więcej w przypadku gmin większych, trzy do sześciu razy więcej w przypadku gmin mniejszych) niż te rządzone przez polityków związanych z partiami bloku senackiego (tak wynika z opracowania Jarosława Flisa i Pawła Swianiewicza dla Fundacji Batorego).

Niestety, partie opozycyjne też nie proponują dobrej zmiany. Wciąż powtarzają mantrę o obronie samorządności, która przekłada się w dużej mierze na ochronę stanu posiadania władz samorządowych. Politycy widzą dziś w prezydentach, burmistrzach i wójtach sojuszników w walce z PiS, więc nie proponują ograniczenia ich władzy, a raczej decentralizację i zwiększenie samodzielności finansowej lokalnych ośrodków. Jest to słuszne co do zasady, ale w wielu „zabetonowanych” ośrodkach nie zwiększy podmiotowości mieszkańców.

Mimo to samorząd, nawet z defektami, działa lepiej niż centralizacja. – W reformie samorządowej udali nam się mieszkańcy. Coraz więcej osób się angażuje, wie, jak władzę kontrolować i jak przedstawiać jej własne propozycje – mówi „Tygodnikowi” Szymon Osowski, prezes Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska, która pomaga lokalnym aktywistom w patrzeniu władzy na ręce, tak by wiedziała ona, że sukces w kolejnych wyborach nie jest możliwy bez wysłuchiwania się w głos ludzi. Osowski podkreśla też, że wraz z wymianą pokoleniową zmieniają się również gminy. – W coraz większej ich liczbie mamy rejestry wydatków, a wójtowie są coraz bardziej dostępni dla mieszkańców – dodaje.

Wspólnoty lokalne są dziś w Polsce przede wszystkim lokalne, ale mało samorządne. Dobrym rozwiązaniem byłoby wzmocnienie roli rad, a przede wszystkim obywateli w podejmowaniu decyzji, np. upowszechnienie referendów lokalnych i, być może, zniesienie lub obniżenie progu frekwencyjnego. Inaczej wybory prezydentów, wójtów i burmistrzów będą nie tyle ukoronowaniem demokracji bezpośredniej, ile sposobem na umocnienie ich niepodzielnej władzy nad naszymi małymi ojczyznami.

© STEFAN SĘKOWSKI

Strefa stanów niskich

PIOTR WÓJCIK

Osiem lat temu w polskich rzekach rozgościła się susza hydrologiczna. Teraz kryzys dotknął też wód podziemnych, powoli niszcząc nasze rolnictwo. Czy centralna Polska zamieni się w jałową ziemię?

ALARMUJĄCE INFORMACJE O SUSZY I WYSychających jeziorach w Wielkopolsce stały się już tak powszechne, że przestają budzić zaniepokojenie. Świat naokoło nas jest przecież wciąż zielony, a woda z kranów płynie szerokim strumieniem. Dużo większym problemem wydają się upały, z którymi mierzymy się od rana do wieczora. Tymczasem wysychanie Polski to nie tylko powód do rozterek dla rolników. Odczuwamy je niedługo wszyscy.

Pod pojęciem suszy kryje się kilka różnych, chociaż ściśle powiązanych ze sobą zjawisk. Jak tłumaczy Jan Szymankiewicz, synoptyk i hydrolog z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej – Państwowego Instytutu Badawczego, pierwszą fazą kryzysu jest susza atmosferyczna, która oznacza niedobór lub całkowity brak opadów przez 20 dni. Ona z kolei może prowadzić do suszy hydrologicznej, kiedy niedobory dotyczą zasobów wód powierzchniowych, a niskie przepływy notuje się na poszczególnych obszarach przez 10 dni. W Polsce IMGW-PIB bada poziom wód powierzchniowych głównie na rzekach. Stacje rozmieszczone są w całym kraju, a skala – sześciostopniowa. 20 lipca większość stacji pomiarowych (64 proc.) wykazywała strefę stanów niskich, przedostatnią. Dodatkowo cztery stacje zanotowały stan najgorszy, poniżej minimum – m.in. w Wielkopolsce (na Drawie) i sąsiednim woj. lubuskim (na Warcie).

– Aktualnie mamy już poważny problem z suszą hydrologiczną. Wydaliśmy 58 ostrzeżeń przed tym zjawiskiem. Najbardziej zagrożone są obszary zachodniej, centralnej oraz północno-wschodniej Polski – wylicza Szymankiewicz. – Przede wszystkim chodzi o dorzecze środkowej Odry, w tym dorzecza Warty i Noteci.

W centralnej Polsce susza hydrologiczna najbardziej dotyka województwo łódzkie oraz część Mazowsza. W ostatnich dniach do tych regionów dołączyły także Warmia i Mazury oraz Podlasie, które w ubiegłych latach uchodziło za jeden z mniej narażonych na suszę hydrologiczną regionów w Polsce – m.in. dzięki nieuregulowanym rzekom.

Najlepiej jest na południu kraju, w Małopolsce i na Podkarpaciu, gdzie stany wód utrzymują się wciąż na przyzwoitym poziomie. To efekt notowanych tam w ostatnich dniach burz i intensywnych opadów. Sytuacji w regionach górskich sprzyja również fakt, że zimą były one pokryte śniegiem, który jest znakomitą magazynem wody i zapewnia długą retencję.

Południe kraju to jednak wyjątek od reguły. Na większości obszarów Polski panuje dziś susza hydrologiczna, która przestała już być stanem przejściowym. – Można śmiało powiedzieć, że od 2015 r. obserwujemy rozwój permanentnej suszy hydrologicznej, a problem narasta z roku na rok. Do niedawna było nieco lepiej niż rok temu, gdy susza wystąpiła już wcześniej wiosną. Wystarczyło jednak, że nadeszły dni z wysokimi temperaturami i sytuacja zaczyna przypominać tę sprzed roku – alarmuje hydrolog.

Do tej pory najgorzej było w 2015 r., czyli na początku obecnej serii, kiedy kryzys wodny trwał aż do wczesnej jesieni, a problemy z dostępem do wody pojawiły się nawet w elektrowniach. Niewykluczone, że podobna sytuacja powtórzy się i teraz.

Zagrożone uprawy zbóż

Niskie opady i zmniejszający się przepływ w rzekach przekładają się z czasem na stan wód podziemnych. – Ma to



ogromny wpływ na rośliny i rolnictwo. To trzecia faza, która jest najpoważniejsza – wyjaśnia Szymankiewicz.

Pomiarem tego zjawiska zajmuje się Państwowy Instytut Geologiczny. Najnowszy komunikat PIG dotyczy całego czerwca. W 85 proc. punktów pomiarowych zanotowano obniżenie się poziomu wód podziemnych w stosunku do maja. Ich stan utrzymywał się na poziomie bezpiecznym dla dostaw wody, jednak na północy kraju (zachodniopomorskie, pomorskie i warmińsko-mazurskie) odnotowano lokalne zagrożenia rezerw. W wymienionych województwach oraz w Wielkopolsce i kujawsko-pomorskim utrzymywał się również stan zagrożenia hydrogeologicznego – poziom wód gruntowych spadł tam poniżej progu ostrzegawczego. W czterech kolejnych regionach poziom ostrzegawczy przekroczono tylko lokalnie.

– Gdy zmniejsza się wilgotność gleby, rolnicy zaczynają się skarżyć na stan upraw – wskazuje Szymankiewicz.



Wysychające jezioro w Skrzatuszu koło Piły. 22 czerwca 2023 r.

To zaś jest już preludium do stanu suszy rolniczej, którą bada w Polsce jeszcze inna instytucja naukowa – Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa. Używa on wskaźnika klimatycznego bilansu wodnego (KBW), który jest określany z osobna dla wszystkich gmin w Polsce i jest liczony jako różnica między przychodami wody w postaci opadów a stratami w wyniku jej odparowywania. W okresie 11 maja – 10 lipca bilans wodny na terenie całego kraju był ujemny – wyniósł minus 160 mm. Na tej podstawie Instytut ogłosił suszę rolniczą we wszystkich województwach (choć jej skala jest różna), co oznacza dla Polski obniżenie się plonów o przynajmniej jedną piątą w stosunku do średnich wieloletnich.

Suszę rolniczą zanotowano we wszystkich badanych rodzajach upraw. Najgorsza sytuacja dotyczy rzepaku i rzepiku. Suszę dla tych roślin odnotowano w 83 proc. gmin i na 57 proc. gruntów ornych w kraju. W aż ośmiu woje-

wództwach dotyczyło to 99-100 proc. gmin – wszystkie znajdują się w centralnej lub północnej Polsce. W przypadku zbóż jarych suszę rolniczą dostrzeżono w 69 proc. gmin i na 51 proc. ziem ornych. W siedmiu województwach dotyczyło to wszystkich lub prawie wszystkich gmin. Niemalże identyczne wyniki odnotowano także w uprawach krzewów owocowych; nieco lepiej było w przypadku kukurydzy i zbóż ozimych (40 proc.).

Nie liczymy na to, że w najbliższym czasie coś się zmieni. IMGW-PIB prognozuje jedynie przejściowe opady, chociaż lokalnie mogą mieć duże natężenie. – Prognozy długoterminowe wskazują, że kolejne miesiące nadal będą ciepłe. Oczywiście latem możemy się spodziewać intensywnych epizodów opadowych, głównie związanych z burzami. Trzeba jednak pamiętać, że burze generują zwykle nawalny i tylko lokalny opad, który dosyć szybko spływa, przy okazji tworząc zagrożenie podtopieniami. Nie są jednak

w stanie równomiernie nawilżyć danego obszaru i uzupełnić zasobów wodnych – tłumaczy Jan Szymankiewicz. – Żeby je odbudować, potrzebne byłyby jednostajne i co najmniej kilkudniowe opady. W przypadku niektórych regionów Polski nawet kilkunastodniowe.

Zaczęliśmy oszczędzać

Przyroda uginająca się pod zmianami klimatycznymi sama nie rozwiąże problemu z wodą; sprawy w swoje ręce muszą wziąć ludzie. Najczęściej pojawiającym się rozwiązaniem jest nawoływanie do ograniczenia zużycia, zarówno przez gospodarkę, jak i każde gospodarstwo domowe. Kłopot w tym, że choć takie apele same w sobie są chwalebne, to na tym polu nie ugramy już zbyt wiele – zużycie wody w Polsce wcale nie jest duże.

Według danych Eurostatu, w 2020 r. przeciętne gospodarstwo domowe w naszym kraju zużywało 34 m³ wody rocznie na osobę. W 1990 r. było to 50 m³ na głowę, co oznacza, że w czasach III RP ograniczyliśmy zużycie w domach o 30 proc. W Europie Południowej (Grecja, Cypr), gdzie jest dużo cieplej niż u nas, gospodarstwa domowe pochłaniają nawet trzy razy więcej wody. Jeśli porównać nas do krajów o podobnych warunkach klimatycznych, też wypadamy dobrze. Czesi zużywają 32 m³ wody na osobę, Duńczycy 43 m³, Węgrzy 37 m³, Niemcy 44 m³, choć dane dotyczące tego ostatniego kraju pochodzą z 2015 r. Bardziej aktualnych Eurostat nie podaje, ale biorąc pod uwagę tendencje w innych państwach można założyć, że od tamtego czasu wiele się nie zmieniło.

Także polskiego przemysłu nie można oskarżyć o marnotrawstwo wody. W 2020 r. (ostatnie całościowe dane) łącznie zużył jej 622 mln m³, czyli trzy razy więcej niż czterokrotnie mniejsze pod względem ludnościowym Czechy. Przemysł niemiecki wyeksploatował w 2015 r. aż 4 mld m³ wody (tamtejsza gospodarka jest jednak o wiele większa od naszej).

Polskie zasoby słodkiej wody należą do najniższych w Europie, gorzej jest tylko w Czechach, na Malcie i na Cyprze. Mamy jej dwa razy mniej niż Francja i wedle ONZ trafiliśmy już do grupy państw zagrożonych niedoborem wody. Jest jeszcze jeden niekorzystny czynnik: →

→ dopływów z państw sąsiednich. Właściwie cała woda będąca do dyspozycji w Polsce pochodzi z naszych zasobów; dopływy z terytoriów sąsiadujących stanowią ledwie 13 proc., to jeden z najniższych wskaźników w UE. W Niemczech dopływ wody z państw ościennych zapewnia jedną trzecią zasobów. W mniejszych państwach, takich jak Słowacja czy Węgry, nawet 80-90 proc.

W tej sytuacji Polska powinna skupić się koniecznie na retencji, czyli zatrzymywaniu opadów. Niestety w ostatnich trzech dekadach zrobiliśmy wiele, żeby wody się pozbywać, a nie ją gromadzić. Pod tym względem jesteśmy potwornie zapóźnieni, choć właśnie w tym zakresie najwięcej mamy do wygrania. – Głównym problemem jest urbanistyka oparta na betonowaniu dużych przestrzeni miejskich, co znacznie utrudnia swobodny odpływ wody i może prowadzić do tzw. flashfloodów, a więc powodzi błyskawicznych – wyjaśnia Szymankiewicz.

Takie gwałtowne wezbrania przynoszą zniszczenia, ale nie poprawiają bilansu: woda bowiem spływa do rzek, nie nawadniając terenów zablokowanych betonem, który dodatkowo podwyższa temperaturę w miastach. I choć w ostatnim czasie zaczynają pojawiać się trendy odwrotne, a samorządy przestają obawiać się „dzikości”, to jednak wiele miast i miasteczek do dziś trzyma się wiernie teorii, według której nowoczesność i modernizacja, zwłaszcza centralnych placów, wymaga usuwania z przestrzeni publicznej wszelkich przejawów natury.

Mała nie gorsza niż duża

Jak wskazuje Jan Szymankiewicz, jednym ze skutecznych rozwiązań zwiększających retencję jest zakładanie łąk kwietnych na terenach miejskich. Właściciele domów, wspólnoty mieszkaniowe i spółdzielnie nadal regularnie ścinają trawy niemal przy gruncie, jednak na terenach komunalnych samorządy zaczynają zmieniać lub przynajmniej nuansować swoją politykę.

W Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii powstał projekt „Metropolitalne łąki kwietne”, który umożliwia organizacjom pozarządowym i aktywistom obsiewanie przestrzeni publicznych. W 2021 r. w ramach tego projektu powstało 32 tys. m² łąk kwiet-

Polskie zasoby
słodkiej wody należą
do najniższych w Europie,
gorzej jest tylko w Czechach,
na Malcie i na Cyprze.

**ONZ zaliczył nas
do państw zagrożonych
jej niedoborem.**

nych. Nie tylko znakomicie gromadzą one wodę, ale też pomagają obniżyć odczuwalną temperaturę. W zmagających się z zanieczyszczeniem powietrza Tytach mieszkańcy zakładają „łąki antysmogowe”, które przy okazji pomagają wchłaniać pyły zawieszone i inne groźne dla zdrowia substancje.

– W ten sposób roślinność tworzy większą powierzchnię magazynowania wody. Może się wydawać, że niewielki trawnik czy łąka są nieistotne, jednak ich znaczenie jest nie do przecenienia – zapewnia Szymankiewicz.

W 2021 r. Wody Polskie opublikowały raport, w którym wykazały pierwszy od 30 lat wzrost poziomu retencji. Ten „sukces” był jednak mizerny, gdyż zanotowaliśmy poprawę z 6,5 do niecałych 7 proc. średniorocznego odpływu rzeczno-Średnia unijna to 20 proc. Retencja wody w Polsce jest więc trzykrotnie mniejsza od średniej unijnej, chociaż akurat nasze potrzeby są w tym względzie szczególnie istotne. Krajowy program rozwoju retencji ma na celu podniesienie jej poziomu do 15 proc. w 2027 r. Według wiceministra infrastruktury Marka Gróbarczyka, państwo zarezerwowało na ten cel 41 mld złotych. Za tę górę pieniędzy – równowartość rocznego kosztu programu Rodzina 500 plus – Polska ma wybudować 94 nowe zbiorniki oraz 633 mniejsze obiekty zapewniające retencję wody.

– Powinniśmy zwrócić szczególną uwagę na tzw. małą retencję, czyli wykorzystanie istniejących już naturalnych i sztucznych zagłębień terenu, które można użyć do magazynowania wody i przeciwdziałania skutkom suszy. Przy okazji pomagają one zapobiegać skutkom powodzi, gdyż zbiorniki takie mogą

zatrzymać nadmiar wody w sytuacji intensywnych opadów – mówi hydrolog z IMGW-PIB.

Małą retencją zajmują się coraz chętniej samorządy. Najczęściej wspierając finansowo gospodarstwa domowe, które chcą na swojej posesji zbudować instalacje zatrzymujące wodę opadową. Przykładowo Lublin w tym roku uruchomił już trzecią edycję programu „Złap deszczówkę”, która oferuje wsparcie finansowe dla tego rodzaju instalacji do 70 proc. kosztów, ale nie więcej niż 5 tys. zł.

Cennych inicjatyw jest cała masa, są też jednak obszary, w których możemy zaliczyć regres. Choć retencji wody sprzyjają m.in. nieuregulowane rzeki, których u nas jest wciąż dużo, to jednak rząd już od 2016 r. zapowiada uzegłowanie Wisły (planowana jest na niej zaporą w Siarzewie) oraz Odry, co może oznaczać konieczność stworzenia przynajmniej kilkunastu nowych stopni wodnych na tej rzece w celu podniesienia poziomu wody.

W ubiegłym roku, w związku z katastrofą ekologiczną na Odrze, grupa naukowców z inicjatywy „Nauka dla przyrody” opublikowała stanowisko sprzeciwiające się tym planom. Domagano się zaprzestania budowy nowych stopni i wszelkich innych działań regulacyjnych na Odrze. Zamiast tego naukowcy postulowali stworzenie programu renaturyzacji Odry oraz odbudowę ekosystemu polskich rzek. „Renaturyzacja rzek to nic innego, jak korygowanie błędów popełnionych w przeszłości i jest ona dzisiaj, w obliczu kryzysu bioróżnorodności i zmian klimatu, naszym patriotycznym obowiązkiem. Bez tych działań nie będzie również możliwe zapobieganie suszy, która w naszym kraju od sześciu lat występuje co roku, stanowiąc coraz poważniejsze zagrożenie choćby dla dostaw wody pitnej dla ludności oraz dla wytwarzania żywności” – napisali eksperci związani z „Nauką dla przyrody”.

Wysychanie rzek oraz pustynnienie całych regionów Polski weszło już na stałe do rodzimej debaty publicznej, ale wciąż obecne jest bardziej w postaci niepokojących newsów na portalach niż jako poważny strukturalny problem do rozwiązania. On będzie jednak narastał, a im dłużej będziemy zwlekać, tym większą tragedię zgotujemy przyszłym pokoleniom.

© PIOTR WÓJCİK

Zezowata odyseja

JERZY DZIEKOŃSKI

Polska strabologia jest jak problem, którym powinna się zajmować: jednym okiem skupiona na nowych metodach leczenia, drugim zezuje w kierunku starych i nieskutecznych, ale za to rodzimych sposobów.

ZEZ JEST JEDNYM Z NAJPOWSZECHNIEJ występujących problemów okulistycznych u dzieci: według danych Polskiego Towarzystwa Okulistycznego dotyka od 1,3 do 5,7 proc. populacji. Lekarze sobie z nim nie radzą, bo nie zostali odpowiednio przygotowani, a desperowani rodzice w poszukiwaniu ratunku przeszukują fora internetowe, tworzą grupy w mediach społecznościowych, przemierzają Polskę wzdłuż i wszerz, aby dotrzeć do najlepszych specjalistów.

Problem dobitnie ilustruje historia sześciolatniego dzisiaj chłopca z Podlasia. – Nasz syn jest wcześniakiem, a ja krótkowidzem, dlatego zwracaliśmy uwagę na kwestię wzroku. W 2018 r., kiedy syn skończył dwa lata, pojechaliśmy do prywatnego gabinetu w Białymstoku, żeby skontrolować oczy. Po badaniu usłyszeliśmy diagnozę: nadwzroczność i astygmatyzm. Skierowano nas do kontroli za rok – mówi matka dziecka (dane do wiadomości redakcji).

Po roku diagnoza została potwierdzona, ale rodziców uspokajano, że nie trzeba nic robić. Kiedy zaczęła się pandemia, oboje zostali z dziećmi w domu i wtedy zauważyli, że synowi „ucieka” oko. Ojciec ponownie pojechał z dzieckiem do tego samego ośrodka; przepisano mu tam okulary i wydano zalecenie zasłaniania jednego oka tak długo, jak to możliwe. Kontrola? Znowu za rok.



TOMASZ KLUCZYŃSKI / FORUM

Badanie wzroku. Poznań, 2022 r.

Pielgrzymka po gabinetach

– Diagnoza nie dawała nam spokoju, więc zaczęliśmy drażnić temat i pojawiły się pytania: jaki jest kąt zez, czy jest obuoczny. Postanowiliśmy to skonsultować z innym lekarzem, tym razem w Warszawie. Wybraliśmy specjalistkę polecaną na forum internetowym. Okulistka skorygowała wadę i wystawiła zlecenie na nowe okulary. Poinformowała nas, że niezbędne jest zrobienie badań po atropinie i niewykluczone, że potrzebna będzie operacja. Dowiedzieliśmy się również, że absolutnie nie powinniśmy dziecku zasłaniać oka – opowiadają rodzice, którzy nie zdecydowali się na operację w Warszawie, ale na trzecią opinię – tym razem byli u okulistki z Lublina, również polecanej na forum. Od niej usłyszeli, że zmiana, którą wprowadziła okulistka z Warszawy, nie była konieczna.

W 2020 r. chłopiec odwiedził w sumie czterech lekarzy. Został też zapisany na ćwiczenia ortoptyczne, na które przez dwa tygodnie dojeżdżał z ojcem. – Ćwiczenia nie przyniosły żadnej poprawy, bo u naszego syna nie mogły przynieść, ale to wiemy dopiero dziś – słyszymy od rodziców.

Wszystkie wizyty były prywatne. Żeby w publicznej służbie zdrowia został ślad leczenia chłopca, poprosili lekarza rodzinnego o skierowanie do poradni leczenia zezu. Po dwóch miesiącach pojechali do kliniki w Białymstoku. – Dowiedzieliśmy się, że szpital prowadzi turnusy

z ćwiczeniami, i pomyślałam, że może udałoby się syna zapisać. Okazało się, że jest za mały na ćwiczenia, tak jak za mały jest na operację. Pozostały okulary. Kiedy spytałam o widzenie obuoczne, lekarka stwierdziła, że nie jest od badania zezu i należy przyjechać jeszcze raz, kiedy będzie dostępny inny specjalista, a widzenie jest w porządku, bo chłopiec jednym i drugim okiem przeczytał tablicę – rozkłada ręce matka chłopca.

Sierpień 2020 r. Kolejny przystanek diagnostyczny: Kraków. Diagnoza: zez skośny. W październiku chłopiec był już po operacji jednego oka. Efekty? – Jedno oko ustawiło się niżej, drugie wyżej. Było gorzej niż przed zabiegiem. Podczas wizyty kontrolnej lekarka, która zajmowała się naszym synem, zapytała najpierw, kto syna operował, bo wyraźnie widziała, że coś jest nie tak. Gdy odpowiedzieliśmy, że przecież ona sama, stwierdziła, że jest dobrze, ale będzie potrzebna operacja na drugie oko, tym razem w ramach NFZ. Szpital miał do nas zadzwonić, żeby ustalić termin. Nikt się nigdy nie odezwał – żali się mama dziecka.

W międzyczasie rodzice skonsultowali stan syna z jeszcze jedną specjalistką, z Zabrze. Ich obawy znalazły potwierdzenie: zabieg nie przyniósł poprawy, a chłopiec potrzebował kolejnego. – Mielśmy mętlik w głowach, stresowaliśmy się, zastanawialiśmy, czytaliśmy, rozważaliśmy operację w Zabrze, ale ona również miała być wykonana „na raty”. W międzyczasie →

→ trafiliśmy do jeszcze jednej okulistyki w Warszawie, która po raz kolejny zmieniła szklę, ale uczciwie przyznała, że nie podejmie się leczenia – opowiadają rodzice.

Przełom nastąpił latem 2021 r., kiedy trafili do gabinetu ortoptycznego w niedużym Grodzisku Mazowieckim. W pierwszej kolejności nastąpiła zmiana korekcji; i w ciągu kilku dni oczy dziecka zaczęły ustawiać się prawidłowo. – Pierwszy raz zobaczyliśmy, na ilu urządzeniach powinno być zbadane dziecko, i jak ważne jest powtarzanie badania oraz dobieranie okularów – wspomina ojciec.

Podczas drugiej wizyty w Grodzisku jesienią 2021 r. współpracujący z gabinetem okulista zaproponował jeden, obuoczny zabieg. Chłopiec został zoperowany w marcu 2022 r., z dobrym skutkiem. Nadal też pozostaje pod opieką specjalistów z tego gabinetu. – Myślę, że wszystkie wyjazdy, wizyty, noclegi i operacje kosztowały nas grubo ponad 20 tys. zł. Z czego połowę wyrzuciliśmy w błoto. Pieniądże jednak nie są najważniejsze, boli stracony czas, który zamiast na tę niepotrzebną odyseję, mogliśmy poświęcić na leczenie dziecka – przyznają rodzice.

Mama chłopca dodaje, że ich rodzina nie jest odosobniona. Z jej rozmów na grupie facebookowej wynika, że podobne historie powtarzają się w Polsce zbyt często.

Lekceważone wytyczne

Dr hab. Wojciech Hautz, kierownik oddziału okulistycznego Centrum Zdrowia Dziecka, zarazem przewodniczący Sekcji Okulistyki Dziecięcej i Strabologii Polskiego Towarzystwa Okulistycznego, tłumaczy, jak bardzo skomplikowanym schorzeniem może być zez: – Najczęściej występują zbieżny i rozbieżny. Rzadszymi są zezy skośne i pionowe. W skrajnych przypadkach współistnieją ze sobą: zezowi zbieżnemu czy rozbieżnemu towarzyszy skośny lub pionowy. Zezowaniu bardzo często towarzyszą też dodatkowe problemy, jak wady wzroku, które wymagają korekcji, oraz tzw. niedowidzenie z nieużywania, kiedy mózg wybiera jedno oko jako dominujące, a drugie wyłącza. Niezwykle ważna jest też dokładna korekta wady wzroku, ponieważ w niektórych zezach właściwe okulary niwelują zezowanie. U części dzieci konieczna jest jednak operacja – zaznacza Wojciech Hautz.

Kierownik Kliniki Okulistyki w CZD podkreśla, że likwidowanie zezu jest procesem długotrwałym, którego nie da się załatwić w czasie jednej wizyty. Pacjentów leczy się miesiącami, a czasem latami. Kąt zezu może zmieniać się wraz ze wzrostem dziecka, zwłaszcza w zezach zbieżnych, gdzie dodatkową przyczyną mogą być inne schorzenia (mózgowe porażenie dziecięce, padaczka). Zez wówczas jest mniej stabilny i przewidywalny, a pacjenci wymagają dłuższej obserwacji. U innych, np. ze stałym zezem rozbieżnym, zabieg należy wykonać jak najszybciej. Podobnie jest z zezami skośnymi, w których obserwuje się tzw. wyrównawcze ustawienie głowy (dziecko przechyla ją na bok). Zezy rozbieżne mają tendencję do nasilania się wraz z wiekiem, zbieżne – do zmniejszania się.

To wszystko nie tłumaczy jednak różnic w podejściu do leczenia zezu w zależności od kliniki czy miasta, a także błędów diagnostycznych. – Jest tak, jak z każdym innym schorzeniem w różnych częściach Polski: są miejsca, gdzie dane schorzenie jest lepiej leczone, i takie, gdzie gorzej. Różnice wynikają ze szkolenia lekarzy i doświadczenia danego ośrodka. Jeśli chodzi o zezu i szerzej, o okulistykę dziecięcą, nie mamy wyodrębnionej osobnej specjalizacji. Jest to tzw. podspecjalizacja, którą generalnie zajmuje się niewielu lekarzy – przyznaje Hautz. – Nikt zarazem nie oczekuje, by każdy okulista zajmował

się zezem, jednak jeśli lekarz sobie z nim nie radzi, powinien wysłać pacjenta do ośrodka, który się w nim specjalizuje.

Dr hab. Wojciech Hautz jest współautorem opublikowanych jesienią ubiegłego roku wytycznych Polskiego Towarzystwa Okulistycznego, które mają obecną sytuację naprawić, wyznaczając wzorce postępowania w najbardziej podstawowych rodzajach zezu. Ich głównym autorem jest dr hab. Piotr Loba, kierownik Zakładu Patofizjologii Widzenia Obuocznego i Leczenia Zeza I Katedry Chorób Oczu Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. W rozmowie z „Tygodnikiem” przyznaje, że wiele ośrodków zajmujących się leczeniem zezu działa w oparciu o przestarzałą wiedzę.

– Najbardziej palącą kwestią jest prawidłowa korekcja wad u dzieci z zezem. Mimo jasnych wytycznych, wiele ośrodków nadal się do nich nie stosuje. Po drugie, nadużywane są ćwiczenia, zwłaszcza pleoptyczne [np. zasłanianie zdrowszego oka – przyp. red.], których od końca lat 80. na zachód od Odry się nie wykonuje, gdyż niosą ryzyko wywołania podwójnego widzenia u pacjentów z niektórymi typami zezu – ostrzega Loba.

Tymczasem w Polsce żyje największa grupa pacjentów z tzw. uporczywym, nieusuwalnym podwójnym widzeniem wywołanym tymi ćwiczeniami. Jesteśmy w Europie niechlubnym liderem w tej dziedzinie.

Dr hab. Piotr Loba podkreśla, że większości rodzajów zezu nie da się po prostu wyćwiczyć; konieczna jest operacja. Tu pojawia się trzeci problem, czyli zabiegi na raty: operowanie po jednym mięśniu lub jedynie zezu poziomego, z pominięciem innych jego komponentów. Takie postępowanie, mimo że sprzeczne z wszelkimi zasadami medycyny, jest u nas – zdaniem autora wytycznych PTO – powszechne.

Zgubna siła autorytetu

Na szczęście rośnie liczba młodych okulistów zainteresowanych osiągnięciami nowoczesnej strabologii. Ogromną rolę do odegrania mają w tej kwestii również ortoptycy, zajmujący się szczegółowymi pomiarami i wdrażaniem leczenia. – Tu głównym problemem jest brak dostępu do wystandaryzowanej wiedzy. Wytycznych dotyczących diagnostyki i leczenia zezu brakowało przez długi czas, stąd takie zamieszanie. Każdy opierał się głównie na własnym doświadczeniu – mówi

OGŁOSZENIE



KLUBTYGODNIKA.PL

SŁUPSK:

Wspólnota odważnie myślących.
Chcemy poznać Twoje opinie.
Dołącz do Klubu „Tygodnika
Powszechnego” w Słupsku.



Kontakt do koordynatora:

Michał Rychert

slupsk@klubtygodnika.pl

Więcej informacji o Klubach „TP”
na klubtygodnika.pl



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

Magdalena Zarębska-Lindner, prezeska Polskiego Towarzystwa Ortoptycznego im. prof. K. Krzystkowej. – Uważamy, że system kształcenia ortoptystów nie jest zorganizowany prawidłowo. Zabiegamy o przeniesienie go do uczelni wyższych, oznaczałoby to ścisłą kontrolę jakości edukacji.

Zarębska-Lindner podkreśla znaczenie specjalistycznej wiedzy, gdyż ćwiczenia ortoptyczne mogą też przynosić szkody. Dotyczy to zwłaszcza terapii supresji (wyłączania obrazu z zezującego oka), występującej najczęściej w zezach zbieżnych wrodzonych i w zezach pionowych. W uporczywym leczeniu tą metodą, kiedy próbujemy przywrócić patrzenie jednym i drugim okiem jednocześnie, nie uwzględniając tego, że pacjent zezuje również pionowo, można doprowadzić do wytworzenia się podwójnego widzenia. – Najgorsze jest to, że nie możemy cofnąć takich zmian ani zabiegiem operacyjnym, ani pryzmatami, ani innymi ćwiczeniami – przyznaje Zarębska-Lindner. – Proces zachodzi bowiem na poziomie mózgu. Z widzeniem jednym okiem da się funkcjonować, z dwojeniem już trudniej. Ćwiczenia mają uzasadnienie, ale muszą być poprzedzone dokładną diagnostyką.

O ocenę sytuacji polskiej strabologii poprosiliśmy prof. Marka Rękas, konsultanta krajowego w dziedzinie okulistyki, autora wielu rozwiązań, dzięki którym udało się uporządkować organizację leczenia wzroku w Polsce, choćby zaćmy. Jeszcze kilka lat temu pacjenci musieli czekać w Polsce na taki zabieg dwa lata. Po wprowadzeniu reform okres oczekiwania liczony jest maksymalnie w tygodniach, a w niektórych ośrodkach okulistycznych kolejek do operacji zaćmy nie ma w ogóle.

Zdaniem prof. Rękasa okulistyka dziecięca powinna zostać szybko zreformowana. – Z jednej strony bardzo trudno dostać się do okulisty dziecięcego, z drugiej mamy 17 oddziałów okulistycznych, z których tylko sześć realizuje około połowy kontraktu z NFZ poprzez operacje, a kilka w ogóle nie operuje. Mamy oddziały, które przyjmują dzieci zezujące tylko po to, żeby prowadzić ćwiczenia ortoptyczne w warunkach szpitalnych. To absurd – uważa prof. Rękas. – Postawienie wymogów jakościowych dla oddziałów okulistyki dziecięcej doprowadzi w konsekwencji do zmniejszenia ich liczby, ale zarazem spowoduje, że większa liczba



MATERIAŁY PRASOWE

**DR HAB. WOJCIECH HAUTZ,
CENTRUM ZDROWIA DZIECKA:**

Jeśli okulista nie radzi sobie z zezem, powinien wysłać pacjenta do ośrodka, który się w nim specjalizuje.



ARCHIWUM PRYWATNE

**DR HAB. PIOTR ŁOBA,
UNIwersytet Medyczny w Łodzi:**

W Polsce nadużywane są metody, których od końca lat 80. na zachód od Odry się nie stosuje, gdyż niosą ryzyko.



ARCHIWUM PRYWATNE

**MAGDALENA ZARĘBSKA-LINDNER,
PREZESKA PTO-IPKK:**

Zabiegamy o przeniesienie kształcenia ortoptystów do uczelni wyższych, dla ścisłej kontroli jakości edukacji.

okulistów dziecięcych będzie pracowała w ambulatoryjnej opiece specjalistycznej. Należy też zwiększyć wycenę dla usług dziecięcych, by okuliści nie zasilali rynku usług prywatnych, które finansuje pacjent. Takie podejście zagwarantuje większą dostępność i skrócenie kolejki, jak to się stało w przypadku zaćmy. Powinniśmy mieć w Polsce trzy lub cztery dobre ośrodki zajmujące się chirurgią okulistyczną w pełnym zakresie. Resztę załatwią dobre poradnie ulokowane w rejonie – tłumaczy konsultant krajowy.

Problem w tym, że zmiany organizacyjne napotykały opór. Prof. Rękas wnioskował wcześniej do Polskiego Towarzystwa Okulistycznego o wydanie wytycznych dotyczących kwestii udrażniania kanalików łzowych, gdyż w Polsce zabieg ten wykonywano za wcześnie, czasem bez sensu. Na świecie robi się to najwcześniej po ósmym miesiącu życia, ponieważ większość wrodzonych niedrożności ustępuje i operacja nie jest potrzebna. – Usłyszałem wówczas, że nasi okuliści postępują zgodnie z „polską szkołą”. Podałem zatem argument, że jeśli polskie podejście jest lepsze, a cały świat się myli, należy to udokumentować, przygotować pracę badawczą i dla dobra świata opublikować. Na szczęście udało się przygotować wytyczne w tym zakresie i na ich podstawie nastąpiły zmiany w systemie. Podobnie powinno być z zezem – twierdzi prof. Rękas.

Zdaniem profesora ważnym elementem jest również ustawa o innych zawodach medycznych, dzięki której diagnostyką mogliby się zajmować ortoptyści i optometryści. Jak twierdzi, tylko między 17 a 25 proc. wad wzroku kwalifikuje się do opieki okulistów, głównie w przypadkach, kiedy dochodzi do niedowidzenia albo do zezowania. Resztę schorzeń należy zdjąć im z barków.

– W Polsce często nie liczy się medycyna oparta na faktach, tylko opinia tzw. autorytetów. Posłużę się przykładem: podczas wystąpienia na konferencji stwierdziłem, że na świecie wykonuje się obuoczne operacje zaćmy. Na potwierdzenie przytoczyłem prace naukowe dokumentujące słuszność takiego podejścia – opowiada prof. Rękas. – Wstał wówczas tzw. autorytet i powiedział: „moim zdaniem tak nie można”. Trudno polemizować z takim argumentem. Niestety, lekarze wciąż takich autorytetów słuchają.

© JERZY DZIEKOŃSKI



Sztuka życia

KS. ADAM BONIECKI:

Jeśli miałbym napisać vademecum staruszka, zacząłbym od tego, że ludzie starsi powinni szczególnie starać się maskować swoją głupotę.

KS. ADAM BONIECKI: Przeglądam właśnie dawne listy, których przez ostatnie kilka lat uzbierały się pełne pudła.

ANNA GOC: Dobrze się do nich wraca?

Gdy się w nie wgłębię, wylaniają się ludzie, miejsca. Objechałem dużo krajów, choć wyjazdy nigdy nie były ważne same w sobie. Dorastałem w czasie okupacji, potem w Polsce Ludowej, może dlatego nie czułem konieczności podróży. W niektórych krajach zostałem na dłużej, w innych zatrzymywaliśmy się na kilka dni, np. w czasie podróży z papieżem. Obserwowałem, jak w jednym kraju pewne sprawy były dla ludzi ważne, w innym – te same kwestie zupełnie nieistotne. Znajomy jezuita powiedział mi dawno temu, że lepiej wyjechać na pół roku do obcego kraju, niż zapisać się na kolejne studia. Coś w tym jest. Dłuższe podróże pozwalały złapać dystans do wielu spraw, zobaczyć, że napięcia są nie tylko u nas.

Któreś ze wspomnień jest szczególnie wyrazne?

Została mi w pamięci pogoda ducha mieszkańców baraków na obrzeżach Kurytyby w Brazylii. Okropne warunki, w jakich mieszkali. Świeżo podciągnięta

do baraków kanalizacja. A ci ludzie byli pogodni, weseli. Do teraz mam przed oczami ich twarze, roześmiane, życiwe.

Albo moja pierwsza podróż do Paryża. Wyjechałem z komunistycznego kraju do miejsca, gdzie wszystko było inaczej. Żadnej cenzury, żadnych ubeków. Można było wreszcie przestać uważać na to, z kim się rozmawia.

Na początku czułem się tam potwornie obco. Słabo mówiłem po francusku, nie znałem miasta. Powoli uczyłem się języka, intensywnie starałem się poznawać nowych ludzi. Jeśli tylko znajdowałem jakieś wydarzenie, na które wstęp był za darmo, siedłem. Po kilku miesiącach trafiłem na francuską parafię, gdzie wszyscy mówili już tylko po francusku. Bardzo dobrze to wspominam.

Pamiętam też taki moment, choć nie potrafię go dokładnie umieścić w czasie, gdy poczułem, że we Francji jestem u siebie. Że mógłbym tam zostać na zawsze. Po dwóch latach musiałem jednak wyjechać. Potem wracałem jeszcze do Paryża kilkakrotnie, ale miasto wydało mi się już zupełnie inne od tego, które poznawałem za pierwszym razem.



*Ks. Adam Boniecki w Muzeum Polin.
Warszawa, czerwiec 2023 r.*



→ **Czy nie rozważałeś wyprowadzenia się z Polski na stałe, np. do Rzymu?**

Do Rzymu? Nie, na pewno nie. Doświadczenia watykańskie były ciekawe, ale też specyficzne. Świat bardzo hermetyczny. Sprawy kurii, te jawne, które się komentowało, i te, które nigdy nie wychodziły poza jej mury. Tematy wewnętrzne, które poza Watykanem niewiele znaczyły.

Mały świat, choć wciągający. Jak teraz czytam o Watykanie, to sobie uświadamiam, że byłem tam w epoce, która się skończyła.

Co się zmieniło?

Styl papieżstwa. Kościół jest instytucją ludzką, czyli błędzącą. Zawsze taką był. Obecny papież nie boi się wskazywać na te błędy. Możliwa jest też krytyka pontyfikatu. Dzięki temu jest normalniej. Ludzie nie boją się zadawać pytań. Trwa kolejny etap pozbywania się atmosfery cudowności i wiary mimo wszystko. Zaczyna się nowa epoka w relacjach Stolica Apostolska–wierni. Wiele rzeczy, które były pozorami, przestaje funkcjonować.

Franciszek, poza tym, że narzucił inny styl papieżstwa, zatrudnił nowych ludzi w kurii. Pytanie, kim będzie jego następca i czy środowisko kurialne będzie chciało kontynuować zapoczątkowane przez niego reformy. Jeśli tak, wszystko może się zdarzyć. Kościół uwalnia się z mitów, także z systemu władzy, który choć jest konieczny w tak dużej instytucji, może ją też zniszczyć. Ważny moment dla Kościoła.

Czegoś życzyłybyś Kościołowi?

Chyba tego, żeby się wyzbył zakłamania. Oraz tego, żeby kościelne zaszczyty oznaczały dla ludzi je otrzymujących nowe zadania, a nie celebry godności.

Watykańskie środowisko nie przyciągało mnie nigdy specjalnie. Różnica między Paryżem a Rzymem była też taka, że Paryż był moim wyborem, a Rzym – wyborem moich przełożonych. Pojechałem tam najpierw na studia, potem Jan Paweł II zlecił mi przygotowanie i kierowanie polską edycją „L'Osservatore Romano”.

Tworzymy swoje życie, ważne, żeby to wiedzieć. Są decyzje, które sami musimy podjąć. To nie jest tak, że jesteśmy w życiu miotani przez niezależne od nas oko-

Modlitwa o cnotę czystości

■ 3 II 62

Daj mi Boże

takie oczy

żebym mógł rozśmieszyć

małą Ewę

i żeby mnie się

Wojtek nie bał

i jeszcze serce

szerokie

coraz szersze

daj mi Boże

ARCHIWUM PRYWATNE XABO



liczności. My decydujemy. I albo nic nie zrobimy: „niech zostanie, jak jest”, albo wchodzimy w coś nowego, nawet jeśli nie wiadomo, jak się to skończy i do czego nas doprowadzi. Ryzykujemy, wybieramy rzeczy nieznanne. Wychodzimy na tym lepiej albo gorzej. Z perspektywy mogę powiedzieć, że wszystko, co w moim życiu najcenniejsze, było moim wyborem.

To znaczy?

Być może dla niektórych nie byłem wzorowym zakonnikiem, ale dla mnie to było bardzo dobre, że takim byłem. Czy dla mojej zakonności też było to dobre? To inna sprawa, ale myślę, że nie było tak źle.

Warto zaryzykować, jeśli jest się do czegoś przekonanym, i wejść w sytuację, z której nie wiadomo, co wyniknie. Nawet jeśli się zbłądniesz, bo podejmujesz się czegoś zupełnie nowego, a nie wiesz, czy sprostasz. Skończywszy na tym, że możesz swojego wyboru żałować.

Jednak przed trwaniem w jednym miejscu trzeba się bronić. Mam już prawie 90 lat... to jednak jest niezły wiek, prawda? I muszę przyznać, że teraz jestem trochę zagubiony. Mieszkam w bezpiecznym miejscu, mam tutaj wszystko, co jest mi potrzebne, a nawet więcej, ale coraz bardziej czuję, że chciałbym jeszcze spróbować tej mojej starości.

W jaki sposób?

Możliwie przytomnie żyć.

Na starość warto zdawać sobie sprawę, że powoli traci się świadomość tego, co się dzieje. Zawsze nam się zdaje, że jesteśmy na bieżąco, ale jak się posłucha innych... Jeśli miałbym napisać vademecum staruszka, zacząłbym od tego, że ludzie starsi powinni szczególnie starać się maskować swoją głupotę.

W młodości głupotę maskuje się od ruchowo. Wciąż ktoś czegoś od nas oczekuje. Na starość te oczekiwania innych maleją, więc dużo łatwiej przestać maskować swoją głupotę.

Nie czuję się mądry specjalnie, być może także z powodu mojego udaru, ale czuję się wyzwolony.

Zatrzymajmy się, to jest ważne.

Jestem stary. Jest to właściwie odkrycie. Np. nie mogę już szybko chodzić. I nie wiem, czy kiedykolwiek będę jeszcze mógł. Uczę się życia innego, niż miałem do tej pory. Sporo rzeczy trzeba z niego wykluczyć. Także takich, które wcześniej nie sprawiały problemu. Nie ma się na coś siły ani zdrowia. Np. na podróże zagraniczne – w pewnym momencie więcej kłopotu z takim facetem niż pożytku.

Podświadomie się też wie, że czasu jest niewiele. I nawet jeśli się o tym nie myśli specjalnie, to np. pewnych książek się już nie czyta, bo szkoda na nie czasu. →



Czcigodny Jubilacie, Drogi Księżu Adamie,

z okazji 89. urodzin, które świętujemy razem z Tobą, pragnę złożyć Ci najserdeczniejsze życzenia zdrowia, wytrwałości i wszelkiej pomyślności.

Twój rozsądny głos od lat towarzyszy nam w najtrudniejszych i w najradośniejszych momentach. Pokazujesz, jak w czasach permanentnej polaryzacji różnić się pięknie, czyli z szacunkiem dla oponenta i otwartością na to, co niezrozumiałe. Udowadniasz, że duchowieństwo w Polsce ma twarz, z którymi mogą się identyfikować także ci, którym w oficjalnym Kościele bywa coraz częściej zbyt ciasno.

W imieniu swoim i mieszkańców Sopotu proszę Cię o jedno – trwaj.

Twój głos i Twoje spojrzenie rozjaśniają Polskę.

Czcigodny Księżu Adamie, Drogi Jubilacie!

Z nieskrywaną radością dołączamy do grona osób i instytucji świętujących Twoje 89. urodziny.

Od lat jesteś dla nas niedoścignionym wzorem ludzkiej przyzwoitości, tolerancji i mądrości. Swoją życiową postawą i charyzmą udowadniasz, że bycie uczciwym wobec siebie i innych jest możliwe.

Wiesz i pokazujesz, że tylko w uczciwości buduje się prawdę.

To dla nas prawdziwy zaszczyt mieć Cię w gronie Członków Honorowych naszego Stowarzyszenia. Życzymy Ci spokoju ducha i dużo zdrowia, byśmy mogli cieszyć się Twoimi kolejnymi jubileuszami.

W imieniu Zarządu Stowarzyszenia Autorów ZAiKS

Miłosz Bembinow
Prezes Zarządu

za'KS
sprzyjamy wyobraźni



Moje życzenia

Życzę nam, chrześcijanom, byśmy uwierzyli, że dla nas właściwymi miejscami nie są miejsca pierwsze, lecz ostatnie.

Byśmy, w imię dobra czy bezpieczeństwa naszych instytucji, nie dawali się wrabiać w uzależnienie od jakiegokolwiek ideologii czy politycznej strategii.

Byśmy uwierzyli, że dobro instytucji – nawet ważnych i użytecznych – nie jest dobrem najwyższym, że o trwaniu Kościoła decyduje nie bezpieczeństwo materialne, ale wierność Ewangelii.

Byśmy dostrzegali działanie Boże także poza wyznaczonymi przez nas granicami norm kanonicznych i ortodoksji (co nie znaczy, że te granice nie są ważne, a czasem konieczne).

Byśmy przestali się bać świata i siebie nawzajem, naszej różnorodności i inności.

Byśmy uprawiając „nową ewangelizację”, większą wagę niż do słów przywiązywali do dawania świadectwa własnym życiem.

Byśmy nigdy o nikim nie myśleli, że jest „przypadkiem beznadziejnym”, byśmy nikogo nie osądzali.

Byśmy, widząc poczynione przez ludzi spustoszenia, nie poddawali się pesymizmowi („to już jest nie do naprawienia”), lecz zabierali się do naprawiania.

Byśmy wciąż uczyli się słuchać innych i nie zatykali uszu, gdy mówi ktoś o innych niż nasze przekonania.

Byśmy się pogodzili z tym, że droga każdego człowieka do osobistej więzi z Chrystusem jest inna, i tę inność traktowali z dyskrecją i szacunkiem.

By każdy z nas wypracował sobie własny sposób praktykowania miłości bliźniego, ale nie pełen łatwych, mało konkretnych sposobów dla uspokojenia własnego sumienia.

Byśmy nie byli prorokami klęsk, mistrzami wykluczania innych, budowniczymi murów, lecz byli budowniczymi mostów między ludźmi, zawsze (na imieninach cioci, we własnym domu, w ławach Sejmu, w firmie, w autobusie).

Życzę też, byśmy nie byli ponurakami. Zmartwychwstanie jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności, więc na wszystko możemy spokojnie patrzeć w perspektywie wieczności.

■ „TP” 14/2018

⇒ Jestem jednak spokojny. Nie muszę wszystkiego przyjmować.

Spokój, podobnie jak szczęście, też jest chyba „produktem ubocznym”.

To jest coś, co wynika ze sposobu życia, także z tego, co wyniosło się z domu. Można powiedzieć, że moje dzieciństwo było ciężkie. Mój ojciec zginął w czasie wojny, został zamordowany przez gestapowców. Moje młodsze rodzeństwo nawet go nie pamięta.

Zostaliśmy sami – pięcioro rodzeństwa i nasza mama. To się tak wydaje, że wszystko da się przetrwać, ale chciałbym wracać do tamtego czasu. Poza tym wojna, która była strasznym wydarzeniem. Ciągłe ktoś ginął. Gdy się skończyła, straciliśmy majątek. Zaczął się nowy czas w historii Polski, a my nie byliśmy ani na szczycie, ani na samym dole. Pozbawili nas włości, tośmy byli bez włości. Rola mojej mamy, która bardzo przeżyła śmierć mojego ojca, a potem żyła dla nas. Ona takie uderzenia losu brała na siebie, nas osłaniała. Sprawiała, że myśmy właściwie tych złych wydarzeń tak nie odczuwali.

Czy masz wyraźny obraz Twojej mamy?

Tak, oczywiście. Dobrze pamiętam ten czas, kiedy była na pierwszej linii frontu. Nie było załamywania się. Styl rodziny był taki, że nie było lamentowania nad utratą. To dawało wolność.

Mama strasznie szybko chodziła. Po wojnie przyjeżdżaliśmy do zburzonej Warszawy. Pamiętam, jak pędzi przez te ruiny. Chodziło się przecież na piechotę, bo inaczej nie dało się tam poruszać. Nie mogłem za mamą nadążyć.

Mówiłem już: teraz chodzę powoli. Czy będę chodził szybciej? Nikt nie wie. Może trochę szybciej chodzę, ale to ciągle nie jest to.

Mama nauczyła nas też wolności, która polega na tym, że człowiek nie jest wypadkową ocen ludzkich z zewnątrz, tylko ma świadomość swojej wartości. Nie dać się wytrącić ze swojego życia. Starać się przygotować do sytuacji, które mogą być w tym życiu dalekie od wyobrażonych. Czyjaś choroba rozwijała się po cichu i ten ktoś, bliski, nagle umarł. To jeden z takich momentów, kiedy trzeba sobie poradzić z czymś, co jest kompletnie niespodziewane. I nie jest powiedziane, ⇒

Szanowny Księżu Adamie,

składamy serdeczne życzenia urodzinowe.

Niech te jubileuszowe dni będą czasem radości.

Dziękujemy za budowanie dialogu.

Życzymy siły do kontynuacji tej ważnej misji.

Szczęśliwych urodzin!

Zespół Santander TFI

Szanowny Księżu Jubilacie, Drogi Adamie, Przyjacielu,

z okazji 89. urodzin składamy Księdzu serdeczne życzenia. Przede wszystkim zdrowia: niech żyje Ksiądz bardzo długo, bo jest potrzebny – nam, Kościołowi, państwu...

Swoim życiem pokazuje Ksiądz zgodność wiary i głoszonych poglądów, a swoimi tekstami, kazaniami i rozmowami w czasie wielu naszych spotkań, zawsze dowodzi Ksiądz, jaką wartość mają otwartość na drugiego człowieka, wysłuchanie go, życzliwe wsparcie, zaufanie, modlitwa i pomoc.

Księdza teksty są przenikliwe, nieraz ostro stawiają przed oczami problemy Kościoła i zwykłych ludzi, punktują obłudę. W Księdza życiu był też okres milczenia

na forum publicznym, to milczenie jednak bywało czasem głośniejsze niż wiele słów.

Pozostaje nadal Ksiądz publicznym autorytetem oraz symbolem: odwagi, wolności słowa, myślenia według wartości, dobra i człowiekiem wielkiego serca.

Dziękujemy za Księdza bezcenne spotkania, rady, duchowe wsparcie, modlitwę i niezłomną postawę.

Życzymy wszelkiej pomyślności, energii, zdrowia i zawsze wielu życzliwych ludzi wokół.

Zarząd i pracownicy

***Herbewo International S.A. , Herbewo Herliczka-
-Bełdowski-Wołoszyński S.A. i Herbewo City S.A.***



→ że poradzenie sobie to jest obojętność albo nieczułość na ból straty, tylko że jeśli to przychodzi, nie zawala się cały nasz porządek.

A jeśli się zawala?

To znaczy, że prawdopodobnie był źle skonstruowany. Oparty na przekonaniu, że jeśli ktoś towarzyszył mi w życiu, to będzie to robił już zawsze. Tymczasem musi być jakaś przestrzeń na niespodziewane.

Jestem w dobrej sytuacji, bo zwykle musiałem to robić sam. Nie mam zbyt wielu ludzi koło siebie. I to nie teraz, tak w ogóle jest. Większość mieszkańców mojego domu zakonnego nigdy nie była w mojej celi. Ci, co byli, to byli wyjątkowo. Tu w Krakowie – podobnie.

I tak jest dobrze?

Jako młody ksiądz pojechałem w góry, sam z namiotem. W nocy ogarnął mnie taki płacz, bo zdałem sobie sprawę, że wybrałem taki sposób życia i będę sam. Potem już nigdy z tego powodu nie szlochałem.

Ma się wtedy czas, żeby pewne rzeczy samemu przemyśleć. Najpierw, żeby zdać sobie sprawę, co to jest za sytuacja – ta, w której się znalazłem. Wbrew pozorom to jest czasochłonne, bo jak człowiek jest w jakiejś sytuacji, to nie bardzo potrafi na nią spojrzeć z boku.

Po tych chorobowych przejściach dużo rzeczy, które kiedyś brałem serio, dzisiaj biorę z dystansem.

Gdy dziesięć lat temu jeden z nieprzychylnych Ci tygodników opublikował na okładce Twoją karykaturę, oprawiłeś ją i powiesiłeś nad lustrem.

Wisi tam do tej pory. Wtedy to był spontaniczny odruch. W takich sytuacjach są dwie możliwości: albo potrak-

GRAZYNA MAKARA



STAROŚĆ I MĄDROŚĆ

Starość... Papież Franciszek na spotkaniu z biskupami już po odmówieniu modlitwy końcowej nagle dorzucił to zdanie: „I nie zapominajcie o dziadkach, którzy są pamięcią ludu”. O dziadkach zresztą kilkakrotnie mówił do młodzieży („Szanuj dziadków, ponieważ w ich pamięci jest przyszłość”).

Różnie bywa ze słuchaniem i szanowaniem dziadków, ale i z tą pamięcią dziadków. (...) Starość niekoniecznie oznacza mądrość. Św. Tomasz prosząc Boga o dobrą starość modlił się: „Panie, zachowaj mnie od zgubnego nawyku mniemania, że muszę coś powiedzieć na każdy temat i przy każdej okazji. Szkoda mi nie spożytkować wielkich zasobów mądrości, jakie posiadam, ale Ty, Panie, wiesz, że chciałbym zachować do końca paru przyjaciół. Nie śmiem Cię prosić o lepszą pamięć, ale proszę Cię o większą pokorę i mniej niezachwianą pewność, gdy moje wspomnienia wydają się sprzeczne z cudzymi. Użyc mi chwalebne poczucia, zże czasami mogę się mylić”.

■ „TP” 45/2016

tować krytykę strasznie serio i wdać się w beznadziejną walkę – prostowanie swoich słów, wyjaśnianie – albo przyjąć, że tak naprawdę bardzo często w tej krytyce chodzi o rzeczy, które są po prostu zabawne. Popatrzenie na nie humorystycznie daje komfort. Tamtych krytykujących chyba też trochę rozbraja.

A może taki dystans udaje się osiągnąć dopiero na starość? Albo wtedy, kiedy dopada nas choroba? Nagle zdajemy sobie sprawę, że różne rzeczy, którymi dotąd żyliśmy, są właściwie nieważne? Są przecież sprawy w naszym życiu, które może nie teoretycznie, ale na pewno praktycznie były na szczycie tych najpilniejszych i potem nagle okazuje się, że wcale nie były aż tak istotne.

Masz coś konkretnego na myśli?

Dla mnie takim doświadczeniem jest dziennikarstwo. Dawniej siadałem do pisania i wiedziałem, że mój tekst będą czytali ludzie. A w związku z tym chciałem w tym tekście wypaść jak najlepiej. Teraz kompletnie mnie to nie zajmuje, choć oczywiście dalej się staram napisać jak najlepiej.

Można sobie też uświadomić nagle, że głupio żyliśmy. Robiliśmy niemądre rzeczy, a przez to straciliśmy coś ważnego. Przemyślenie, które może człowieka strasznie przynębić – stracił jakąś część życia, którą mógł inaczej przeżyć. Ale może też mieć refleksję, żeby to, co mu zostało, przeżyć mądrze. Brzmi banalnie, ale w praktyce wcale takie nie jest.

Mam świadomość, że przede mną końcówka życia. Ona jest teraz bardzo wyrazna, zwłaszcza po udarze. I co z tego wynika? Nic. Jest w tym coś nawet zabawnego.

Robię porządki w moim mieszkaniu, żeby móc się tam z powrotem wprowadzić.

© Rozmawiała ANNA GOC

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 31/2023

REDAKCJA: Michał Okoński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara
SKŁAD: Zuzanna Kardyś | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska

WSPÓŁWYDAWCA



Kraków

Sopot

**POZnań
metropolia**

zaKS
sprzyjamy wyobraźni



WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie

**ERGO
HESTIA**

**Polska
Rada
Biznesu**



Santander Towarzystwo
Funduszy Inwestycyjnych S.A.

Herbewo

**HERBEWO
CITY S.A.**

**HERBEWO
international S.A.**

znak

Wielebny Ksiądz Adam Boniecki

Wielebny Księżu,

serdecznie gratuluję jubileuszu 89-lecia urodzin. To kolejna rocznica, którą obchodzi dziś człowiek wyjątkowy, wybitna postać, której wkład w krytyczną myśl chrześcijańską jest nie do przecenienia.

Osoba Księdza Redaktora zajmuje bez wątpienia szczególne miejsce w niezliczonych sercach i umysłach ludzi poszukujących szerokiego, wielowątkowego, a przede wszystkim mądrego spojrzenia na rzeczywistość, w jakiej żyjemy. Przebogaty dorobek w postaci artykułów – głównie tych zamieszczanych w „Tygodniku Powszechnym”, który przez wiele lat ukazywał się pod opieką i kierownictwem Księdza – autorskie publikacje książkowe, intensywna obecność w mediach i w centrum opiniotwórczych debat na tematy najważniejsze, a niejednokrotnie najtrudniejsze – to wszystko powody do głębokiej satysfakcji dla autora i myśliciela.

Dla nas zaś, krakowian, powodem do dumy jest fakt, że tak wybitna postać jest częścią naszej społeczności. Wyrazem tego uznania było w 2014 roku uhonorowanie

Księdza odznaką Honoris Gratia. Był nim także srebrny medal Cracoviae Merenti przyznany w 2022 roku „Tygodnikowi Powszechnemu”, periodykowi, którego kształt i wymowa są wszak w znakomitej większości dziełem Księdza Redaktora.

Wierzę, że w tym szczególnym momencie ze szczerym zadowoleniem spogląda Ksiądz w przeszłość, którą obok duszpasterskiej posługi wypełniała pełna pasji praca intelektualna i twórcza. Proszę przyjąć moje najserdeczniejsze życzenia, aby to ogromne życiowe bogactwo nadal wzrastało. Niech przyszłość wciąż przynosi wiele momentów spełnienia. Życzę także niezawodnego zdrowia. Oby zawsze pozwalało bez przeszkód realizować wszelkie projekty, które znajdują się na dalszej drodze Księdza Redaktora.

Z wyrazami głębokiego szacunku



Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa

Zarząd i członkowie Polskiej Rady Biznesu

**składają Księdzu Adamowi najserdeczniejsze życzenia
z okazji wspaniałego jubileuszu 89-lecia urodzin.**

*Życząc dalszych sukcesów, siły, zdrowia i wszelkiej pomyślności,
pragniemy podziękować Księdzu za dekady wytrwałej pracy
dziennikarskiej i wyrazić słowa podziwu dla Jego zaangażowania
w obronę najważniejszych ludzkich wartości.*

**Niechaj głos Księdza pozostanie w naszych domach
jak najdłużej!**



**Polska
Rada
Biznesu**



**WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA**
z siedzibą w Rzeszowie

Czcigodny Księżu Jubilacie!

Jak dobrze co tydzień rozpoczynać lekturę „Tygodnika Powszechnego” od słowa wstępnego napisanego przez Dostojnego Jubilata. Nie wynika to jedynie z kolejności sugerowanej przez spis treści – tę łatwo obejść – lecz raczej z przekazu spokoju i ludzkiej mądrości, których doświadczamy podczas lektury. Dzisiejszy świat przypomina bowiem burzliwy ocean emocji, które wygrywają z rozumem. Tym bardziej Książd jest dla nas ważną kotwicą rozsądku i dobrej woli.

Z okazji urodzin składamy Księdzu Jubilatowi serdeczne podziękowania za wszelkie teksty do nas kierowane; zarówno te krótkie, jak i długie, zarówno te wypowiedziane, jak i napisane. Zostają one z nami i dają pewność, że na świat, mimo jego okropieństw, zła i głupoty, można patrzeć z mądrą nadzieją i życzliwością.

Dziękujemy również za otwartość na drugiego człowieka oraz odmienne punkty widzenia. To podejście staje

się coraz rzadsze – tym bardziej więc doceniamy jego znaczenie. Pisał Książd kiedyś, że cieszy się z czytelników, którzy „z ulgą patrzą na spór, bo są – najzwyczajniej – ciekawi świata za płotem”. Pragniemy zapewnić, że my, czytelnicy, bardzo potrzebujemy Autorów i Redakcji, którzy są ciekawi tego, co za płotem, i potrafią o tym opowiadać.

Na mniejszą skalę i my staramy się to robić, realizując cykle wykładów otwartych „Wielkie pytania w nauce”, które organizujemy od lat w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie we współpracy z „Tygodnikiem Powszechnym”. Jesteśmy dumni i wdzięczni za Księdza życzliwość oraz współpracę przy tym przedsięwzięciu.

Dziękując Dostojnemu Jubilatowi za każde mądre słowo i wszelkie inicjatywy, życzymy zdrowia, sił i determinacji, aby głos Księdza pozostawał niesłabnącym źródłem inspiracji dla nas wszystkich.

*Z darem wdzięczności i uznania, pozostajemy z wyrazami szacunku.
Ad multos annos!*

Rektor Wyższej Szkoły Informatyki
i Zarządzania w Rzeszowie

dr hab. Andrzej Rozmus,
prof. WSIiZ

Wiceprezydent Wyższej Szkoły
Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie

dr Wergiliusz Gołąbek

Prezydent Wyższej Szkoły Informatyki
i Zarządzania w Rzeszowie

dr hab. inż. Tadeusz Pomianek,
prof. WSIiZ

Drogi Księżu Adamie,

Twoja żywa wiara, mądrość, dobroć i poczucie humoru są dla nas wszystkich źródłem inspiracji. Dziękujemy za wszystkie chwile, które dzięki Twoim książkom, otwierającym nowe horyzonty, spędziliśmy na poszukiwaniu odpowiedzi na ważne dla nas pytania. I choć przeważnie są to „rozmowy niedokończone”, to przecież Twoja nieoceniona praca, mądrość i upór w poszukiwaniu prawdy są dla nas niezwykle cenne.

Mamy nadzieję, że nadal będziesz się dzielił myślami, które poruszają serca i umysły

czytelników, a Twój głos będzie zawsze silny i słyszalny.

W tym wyjątkowym dniu życzymy Ci przede wszystkim zdrowia, siły, abyś mógł dalej używać nam ze swojej mądrości i innych darów Ducha. Niech każdy nowy dzień przynosi Ci radość, pokój i spełnienie.

Ze słowami bardzo serdecznego szacunku



Wielebny i Drogi Księżu Adamie,

w czasach zamętu, zagrożenia wojną i coraz głębszych podziałów w społeczeństwie szukamy głosów, które wnoszą się ponad codzienny jazgot, ponad doraźne spory i przypominają o sprawach najważniejszych, pomagając wprowadzić ład w nasze myślenie i przywrócić właściwe proporcje w postrzeganiu świata. Teksty Księdza są takim właśnie głosem. Przypominają, że istotą chrześcijaństwa jest przykazanie miłości, że to religia, dla której najważniejszy jest człowiek, że nie jest ono stroną ideologicznego

sporu ani sojusznikiem władzy politycznej, w czyichkolwiek rękach by się ona znajdowała. Dziękujemy za to – za odwagę w mówieniu prawdy, za cotygodniową rozmowę z czytelnikami, za książki i za „Tygodnik Powszechny”.

Życzymy zdrowia i sił, by jak najdłużej mógł Ksiądz nas wspierać swoją mądrością i doświadczeniem, by nasze spotkanie, tak wszystkim potrzebne, dalej trwało.





WIARA

NOWE ŻYCIE CHRZEŚCJAŃSTWA

CHANTAL DELSOL, FILOZOFKA:

Za upadkiem świata chrześcijańskiego
idzie wdrożenie zasad Ewangelii – walka z pedofilią,
priorytet osoby nad instytucjami, odrzucenie nienawiści.

PIOTR SIKORA: W niedawno wydanej książce „Koniec świata chrześcijańskiego” opisała Pani *christianitas* jako cywilizację, która jest owocem katolicyzmu – religii holistycznej, broniącej społeczeństwa organicznego i odrzucającej wolności jednostki. Stwierdziła Pani, że zasadami cywilizacji chrześcijańskiej są prawda, hierarchia, autorytet i przymus. W Polsce brzmi to tak, jakby chrześcijaństwo było podobne do komunizmu.

CHANTAL DELSOL: Kultura judeochrześcijańska opiera się na idei prawdy, którą znajdujemy już u Parmenidesa i Platona. Nie jesteśmy już w sferze mitów: Achilles był bohaterem opowieści, Chrystus – postacią prawdziwą. To zmienia wszystko, ponieważ inne kultury, bez wyjątku, żyją w świecie mitów. Kultura chrześcijańska opiera się na idei osoby. Znaczy to, że każda osoba jest kochana przez Boga, obdarzona sumieniem i wolnością. Bóg chrześcijan, w przeciwieństwie do Boga muzułmanów, daje człowiekowi wolność.

Hierarchia i autorytet są niezbędne dla każdej kultury i społeczeństwa. Dlatego Kościół jako instytucja jest hierarchiczny. Stał się jednak autorytarny ze względu na posiadaną

władzę, a także dlatego, że idea prawdy zachęca do autorytaryzmu.

W jaki sposób? I czy można uniknąć tego związku?

W kulturach opartych na mitach nic nie jest ani prawdziwe, ani fałszywe. Otwiera to możliwość synkretyzmu, który widzimy w krajach azjatyckich czy afrykańskich. Można tam spotkać wielu ludzi, którzy są zarówno animistami, jak i chrześcijanami lub chrześcijanami i buddystami, ponieważ nawet jeśli nawrócili się na chrześcijaństwo, to nie zrozumieli, czym jest prawda: afirmacją, która jest prawdziwa dla wszystkich i wyklucza wszystkie twierdzenia z nią sprzeczne.

Ludzie z Zachodu często nazywają synkretyzm tolerancją. Ale tolerancja tak naprawdę różni się od synkretyzmu – oznacza, że wierzysz w prawdę, szanujesz przeciwną opinię, ale nie uważasz jej za prawdziwą. Natomiast wiara w prawdę prowadzi nas do rzucenia wyzwania przeciwnikom i „odesłania ich w ciemność”, ponieważ istnieje tylko jedna prawda dla wszystkich. Inaczej jest w kulturach opartych na mitach. Weźmy starożytny Rzym: wszystkie religie i bogowie radośnie współistnieją.

Wspomniła pan o komunizmie: jest on szczególnie nietolerancyjny, ponieważ narodził się w kulturze prawdy i jest przekonany, że posiada tę jedyną. W chrześcijaństwie rozwój kultury tolerancji zajął dużo czasu, ogromnie dużo zawdzięczamy w tej kwestii Oświeceniu. →

CHANTAL DELSOL jest filozofką, historyczką idei politycznych, eseistką i publicystką, wykładowczynią Uniwersytetu Marne-la-Vallée. Ostatnio opublikowała książkę „Koniec świata chrześcijańskiego” (WAM 2023).

→ Co więcej, Kościół jest dziś tolerancyjny tylko dlatego, że jest słaby.

A co z możliwością, że istnieje obiektywna prawda, ale jest ona znana kulturom i religiom tylko w sposób perspektywiczny – i że różne perspektywy należy traktować raczej jako komplementarne niż jako rywalizujące? Czy chrześcijaństwo może przyjąć takie stanowisko?

Właśnie to chcieli zrobić jezuici, gdy przybyli do Chin w XVII wieku: abyśmy się uzupełniali, a nie zaprzeczali sobie nawzajem. Lecz nawet jeśli jest to możliwe w kwestiach marginalnych, zasada ta nie może zostać użyta w obszarze podstawowych zasad.

Na przykład, religia chrześcijańska opiera się całkowicie na wierze w zmarłych Chrystusa – jest to prawda lub fałsz, nie ma innej alternatywy. Z drugiej strony: podstawowe zasady są nie-liczne. Bardzo często możemy sformułować „prawdziwą” zasadę, która jednak w różnych kulturach świata zostanie zintegrowana na różne sposoby. Np. jako ludzie Zachodu uważamy za „prawdziwą” ideę postępu i emancypacji rasy ludzkiej, wzrostu tolerancji itp.; widzimy jednak, że wiele różnych społeczeństw – choć akceptuje ten pomysł – realizuje go zupełnie inaczej. Uznając to wszystko, trzeba pamiętać, że pytanie, które pan postawił, jest dziś zadawane w Kościele katolickim jako pytanie o to, jakie są „dogmaty”, od których absolutnie nie możemy odstępować. Jakie „prawdy” są zupełnie pewne? W jakim zaś stopniu katolicyzm można dostosować do współczesnego świata, np. poprzez święcenie kobiet?

Być może ważniejszym pytaniem jest, w jakim stopniu silny, autorytarny, nietolerancyjny katolicyzm – a Pani sama powiedziała, że Kościół jest tolerancyjny tylko dlatego, że jest słaby – jest wierny swoim źródłom, czyli mianowicie naukom i czynom Jezusa?

Nie, silny, autorytarny, nietolerancyjny katolicyzm nie jest wierny swoim źródłom. Wierzę, że Chrystus nigdy nie chciał nietolerancyjnej i krzywdzącej władzy kościelnej. Innymi słowy, chrześcijaństwo jako cywilizacja było pomyłką, pomyliło misję z władzą, zostało odurzone władzą. Moi tradycjonalistyczni przyjaciele pytają

Pobożni chrześcijanie, którzy uznają się za ostatni bastion, zwykle uważają, że otaczające ich społeczeństwo jest całkowicie relatywistyczne.

To postawa fałszywa.

mnie czasami: a co z misją? Czy Ewangelia nie oznacza pójścia na cały świat? Dla mnie jednak autorytarna misja nie jest na prawdę misją, tak jak autorytarna edukacja nie jest prawdziwą edukacją.

Uważam, że jedynym sposobem na podjęcie misji jest dawanie świadectwa, a nie narzucanie czegośkolwiek. Chciałabym, aby Kościół był w całości stworzony z osób takich jak [zamordowani w 1996 r. – red.] trapiści z Tibhirine, którzy dawali muzułmanom świadectwo wiary bez przemocy i byli gotowi na śmierć. Bez tych wszystkich brzuchaty, obwieszonych medalami kardynałów, zawsze mających rację...

Jeśli tak, to powinniśmy z radością przyjąć koniec *christianitas*, uznając, że pewne aspekty inwersji normatywnej – czyli zmiany hierarchii wartości – związanej z upadkiem cywilizacji chrześcijańskiej, o czym pisze Pani szeroko we wspomnianej już książce, przybliżają nas do wartości Ewangelii. Dotyczy to np. zmiany stosunku do pedofilii, tego, że nie traktujemy już priorytetowo „świętej” instytucji kosztem konkretnych osób, ewangelicznych „najmniejszych”.

Zgadza się. To zaskakujące: zauważyć, że upadek świata chrześcijańskiego koresponduje z wdrożeniem zasad Ewangelii – walką z pedofilią, priorytetem osoby nad instytucjami lub rozpowszechnianiem hasła „nie będziesz miał mojej nienawiści” w obliczu ataków terrorystycznych. Jest to jednak kultura ewangeliczna pozbawiona transcendencji. Przypomina bardziej konfucjanizm niż Ewangelię. Warto też zapytać: co pozostaje z idei osoby bez transcendencji? Albo raczej: jak długo ta idea przetrwa? Bolesne pytanie. Co więcej: jak szczerzy jest ten humanitaryzm? Czy to nie jest moralność na pokaz, coś jak moralność

Rousseau, który powiedział, że kocha cały świat, ale porzucił swoje dzieci?

Zastanawiam się, czy te modne elity, które krzyczą do terrorystów „nie będziesz miał mojej nienawiści”, nie zaczną jednak nienawidzić, kiedy im to zacznie odpowiadać. Innymi słowy, myślę, że mamy tu do czynienia ze swego rodzaju oszustwem.

Człowiek jest niewątpliwie stworzeniem skomplikowanym. Ale czy my, chrześcijanie, możemy być tak podejrzliwi wobec nam współczesnych? Czy jesteśmy od nich lepsi? Augustyn głosił miłość nie tylko do świata, ale do samego Boga, a porzucił kobietę, która go kochała. Może postawą bliższą Jezusowej jest wiara w ludzi i skupianie się na ziarnach prawdy i dobra, które możemy znaleźć w naszym niechrześcijańskim otoczeniu?

Kusi mnie, aby myśleć w ten sposób. Jestem załamana, gdy widzę przeciętnego chrześcijanina – nie tylko Augustyna – modlącego się do Boga i jednocześnie porzucającego rodzinę. Całe życie spotykałam się z tego typu sytuacjami i jestem przekonana, że takie zachowania prowadziły do porzucania religii przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Dzieje się tak, jakby transcendencja była dla nas zbyt ciężka, pełna surowych i niemożliwych do spełnienia wymagań: kochać przede wszystkim Boga i dbać o swoją rodzinę poprzez miłość Boga. Ujawnia się pokusa przyłączenia się do moralności ziemskiej, uniwersalnej.

Mam świadomość, że i mnie tego typu „uczucia” pociągają. Jednocześnie czuję, że jeśli damy się tej intuicji poprowadzić do końca, stracimy wiele z tego, co kochamy: to istnieje tylko dlatego, że jest związane z transcendencją.

Ale czy my, chrześcijanie, nie wierzymy, że transcendencja jest Stwórcą Wszechświata? Co oznacza, że transcendencja podtrzymuje i przenika wszystko, co istnieje. Jak Pani pisze, po upadku cywilizacji chrześcijańskiej nie nastąpił nihilizm, ale różnorodność systemów wartości: stoicyzm, duchowości azjatyckie i inne. Być może dialog z tymi wartościowymi perspektywami nie stwarza niebezpieczeństwa utraty naszej prawdziwej tożsamości, ale raczej okazję do znalezienia tego,

co straciliśmy w czasach panowania cywilizacji chrześcijańskiej?

Możemy istnieć obok wielu innych religijnych i duchowych sposobów pytania o sens egzystencji, w dialogu z nimi, i nauczymy się przez to umiejętności zrozumienia, wyrozumiałości i tolerancji – tego właśnie, czego nie potrafiłszy przez wieki cywilizacji chrześcijańskiej. Możemy być świadkami wiary w transcendencję (dlatego mówię o „tajnych agentach Boga”), nie marząc, aby wszyscy do nas dołączyli. To bliska mi idea. Czy nie jest to jednak sprzeczne z misją, fundamentalną dla Ewangelii, której celem jest nawrócenie całej ziemi (a ostatnimi nawróconymi, tuż przed końcem świata, będą – mówi Pismo – Żydzi...)? Czy też powinniśmy wierzyć, że nawrócenie wszystkich to cel nieosiągalny, pozostający zawsze na horyzoncie, jako nadzieja? Tak, zasadniczo w to wierzę. A w każdym razie, gdyby Kościół chciał powrócić do praktyki *compelle intrare* – zmuszania do wejścia – opuściłabym go definitywnie.

W takim razie jakie wątki współczesnej kultury uważa Pani za „sprzymierzeńców” Kościoła, który jest świadkiem wiary w transcendencję bez żadnej władzy politycznej i szuka dobra dla wszystkich?

Najważniejsi świadkowie niekoniecznie są widoczni. To np. ludzie, których można określić jako „codziennych świętych”. Żywe świadectwo dają też grupy młodych katolików, którzy – w każdym razie we Francji – świadczą bez wstydu o swojej wierze w kraju, który ich nie kocha. Ci ludzie są wzruszający, często naiwni, ale są – i to jest uspokajające.

Ale z kim w zlaicyzowanym otoczeniu ci chrześcijanie mogą nawiązywać kontakty?

Pobożni chrześcijanie, którzy uznają się za „ostatni bastion”, zwykle uważają, że otaczające ich społeczeństwo jest całkowicie relatywistyczne, że nie istnieją już w nim zasady ani cnoty, że jest całkowicie indywidualistyczne i pozwala jednostkom robić, co chcą, nawet ze szkodą dla innych. To postawa typu „po mnie potop”, ale jest ona całkowicie fałszywa. Powiedziałabym, że nasze społeczeństwo niechrześcijańskie ma obecnie trzy nurty (nieco zmieszane), z których każdy posiada zasady wspólne z chrześcijaństwem.

Najsilniejszy jest nurt ekologiczny. Chrześcijaństwo zawsze broniło przyrody, ale z pewnością w inny sposób niż nowi poganie, którzy tułają się do drzew. Wiele ruchów ekologicznych powróciło do idei cyklicznego czasu. Ekolodzy czekają też na apokalipsę, podczas gdy chrześcijanie mają nadzieję. Wspólna jest jednak miłość natury: dostrzegam, że wszyscy młodzi chrześcijanie, nawet tradycjonaliści, bronią ekologię.

Także moralność, którą można nazwać „humanitaryzmem”, a która szeroko się rozprzestrzeniła, ma wyraźne pochodzenie ewangeliczne. Ponieważ ignoruje transcendencję, ma utopijną, „dziecinna” stronę. Ostatecznie jednak szanuje każdą osobę. Nie waham się stwierdzić, że mamy się czego tu nauczyć.

Wreszcie, w Europie Zachodniej mamy wielu muzułmanów, z którymi łatwo można zawrzeć sojusz w kwestiach społecznych, dotyczących początku i końca ludzkiego życia. Na tej płaszczyźnie spotykają się grupy muzułmanów i tradycjonalistycznych katolików. Np. grupy muzułmańskie wzięły udział w demonstracjach o „prawo do życia dla wszystkich” zorganizowanych przez środowiska katolickie. Ale stworzenie trwałych wspólnych grup się nie udało.

Dlaczego?

Ponieważ katolicy, którzy kwestionują obecne prawa socjalne, są już uważani za niebezpiecznych ekstremistów przez hierarchię katolicką. Bratanie się z muzułmanami byłoby dla nich jeszcze bardziej niebezpieczne. Trudność polega też na tym, że choć muzułmanie dzielą wiele naszych przekonań, to dopuszczają poligamię, mają też wiele przekonań skrajnie

mizoginicznych, nie do przyjęcia nawet dla tradycjonalistycznych katolików. Muzułmanie uważają nas za zbyt nowoczesnych, my ich za zbyt archaicznych. Zasadniczo istnieje tutaj sprzeczność: w obliczu przemocy nowych przepisów społecznych (które pozwalają na aborcję aż do dzieciobójstwa, pomagają w samobójstwie itp.) tradycyjni chrześcijanie i muzułmanie jednoczą się w sprzeciwie, ale jednocześnie tak bardzo różnią się stosunkiem do nowoczesności, że boją się trwale połączyć siły.

W Polsce wiele osób uważa z kolei przepisy zabraniające aborcji – i rzadziej, eutanazji – za przemocowe narzucanie doktryny i moralności Kościoła całemu społeczeństwu, czyli element praktyki, którą wyrażnie Pani odrzuca. Jak odpowiedziałaby Pani ludziom, którzy myślą w ten sposób?

Zakazy aborcji i wspomaganego samobójstwa odpowiadały czasom, w których wszyscy byli chrześcijanami i szanowali chrześcijańskie zasady. Gdy społeczeństwo nie jest już dłuższe chrześcijańskie, oczywiste jest, że te zakazy są równoznaczne z przemocą. Z drugiej strony, przepisy, które legitymizują aborcję i eutanazję, są dla chrześcijan, którzy żyją w tym społeczeństwie, formą przemocy. Uważam, że przepisy prawa powinny być zgodne z przekonaniami społeczeństwa, i nie rozumiem, dlaczego powinniśmy zakazać tego, co większość ludzi uważa dziś za uzasadnione.

Chrześcijanie muszą zaakceptować fakt, że są mniejszością, i że nie tworzą już praw. To właśnie nazywam końcem świata chrześcijańskiego.

© Rozmawiał PIOTR SIKORA

POZEGNIANIE

„Przychodzimy, odchodzimy leciuteńko, na paluszkach...”

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 15 lipca 2023 roku zmarła

błp. prof. Maria Buczyńska

wychowawczyni wielu pokoleń X Liceum Ogólnokształcącego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, wieloletni lektor języka rosyjskiego w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

RODZINA I PRZYJACIELE

Polityczne bałwochwalstwo

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Żeby poczuć smak i zapach Kościoła w Polsce, trzeba jechać na Jasną Górę. Tę ocierającą się o komunał prawdę uświadamia także ostatnie częstochowskie wystąpienie prezesa PiS.

To, co WYDARZYŁO SIĘ NA JASNEJ GÓRZE podczas pielgrzymki słuchaczy Radia Maryja, jest nadużyciem. Święte dla wielu Polaków miejsce wykorzystano do dość ordynarnej agitacji politycznej. Jarosław Kaczyński – przed mszą, ale już od ołtarza – wygłosił przemówienie polityczne. Mówił: „Ośmielam się zwrócić do państwa dlatego, że od bardzo dawna nie było takiego momentu, w którym tak jawnie formułowane są plany pozbawienia nas suwerenności, tak jawnie, bezczelnie, kłamliwie i odrażająco atakowany jest Kościół, Ojciec Święty, atakowane są nasze podstawowe wartości, podstawy naszego obyczaju, atakowane są podstawy polskości. Ktoś chce zniszczyć nasz naród, trwającą przeszło tysiąc lat wspólnotę. I to, co przed nami – wybory w październiku, to będzie moment być może na bardzo długie lata decydujący. Stąd waga tego, co będzie decydować o nas, każdego, kto ma Polskę w sercu”.

Obok siedzieli biskupi, w tym zastępca przewodniczącego Rady Stałej, abp Marek Jędraszewski, ale nikt nawet nie próbował skomentować tego wydarzenia, nikt nie protestował. Zapadło głuche milczenie, jakby walka polityczna od ołtarza, wykorzystanie sanktuarium jasno-górskiego do agitacji partyjnej były czymś absolutnie normalnym.

Co sami powiedzieliśmy

Jest to tym bardziej szokujące, że sprzeczne z jasnymi, sformułowanymi kilka zaledwie tygodni temu dokumentami Kościoła.

Jako jedyny spośród polskich biskupów zwrócił na to uwagę kardynał nominat Grzegorz Ryś. „Jako episkopat po-

winniśmy żyć tym, co sami wcześniej powiedzieliśmy – mówił w wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej. – Jeśli Rada Stała KEP zwróciła się 2 maja br. do polityków z prośbą o to, by nie wciągać Kościoła w kampanię wyborczą, to Kościół, który taką prośbę wyraża, nie może sam postępować wbrew niej. Potrzeba tu odrobiny konsekwencji. Jeśli do polityków zwracamy się, by nas nie wciągali w polityczną wojnę, to potem ich nie zapraszamy do tego, aby swe poglądy polityczne wypowiadali podczas uroczystości religijnych. Na to nie ma przestrzeni w Kościele”.

Kilka zaledwie tygodni temu Rada Stała KEP wydała dobry i potrzebny dokument. Czytamy w nim: „Zwracamy się też do wszystkich uczestników kampanii wyborczej o powstrzymanie się od instrumentalizowania Kościoła, które przybierać może (...) formę nieuprawnionego wykorzystywania go w partykularnych rozgrywkach poszczególnych partii”. Właśnie do tego fragmentu odnosił się kardynał Ryś. Ale dokument zawiera także inne sformułowania, które warto przy okazji przemówienia Kaczyńskiego i braku reakcji na nie przypomnieć: „Chcemy też – raz jeszcze – zaapelować do polityków wszystkich stronnictw o to, by tocząc swą wyborczą rywalizację, w imię odpowiedzialności za los naszej Ojczyzny unikali pokusy demagogii i populizmu, bezwzględnego dyskredytowania oponentów czy nasycać zbędnymi emocjami i tak głębokich już podziałów. Wszyscy pamiętać bowiem musimy, że celem wyborczej rywalizacji jest wybór cieszącej się możliwie szerokim poparciem władzy, która z energią służyć będzie mogła wszyst-



kim Polakom, a nie pokonanie, czy tym bardziej zniszczenie, politycznych rywali” – napisali biskupi.

Ta zasada, o czym kardynał Ryś już nie wspomina, też została złamana na Jasnej Górze, gdy Jarosław Kaczyński przekonywał, że jego przeciwnicy chcą zniszczyć Polskę, jej demokrację i zawrócić kraj z drogi rozwoju. Obie wspomniane zasady złamał także o. Tadeusz Rydzik, gdy w swoim wystąpieniu z tego samego miejsca dowodził, że każdy, kto opowiada się za wprowadzeniem euro (określanego przez niego mianem „ojro”), jest „sprzedawczykiem”, „honoru nie ma, godności”.

Władcy tego świata

Co na to wszystko wiceprzewodniczący Rady Stałej, abp Marek Jędraszewski, który – zaraz po wystąpieniu Jarosława Kaczyńskiego – odprawiał mszę i głosił na niej kazanie? Czy, zgodnie z oświad-



Prezes PiS Jarosław Kaczyński przemawia do uczestników 32. Pielgrzymki Rodziny Radia Maryja. Jasna Góra, 9 lipca 2023 r.

wiać, by nie angażować autorytetu Jasnej Góry do ziemskich, doraźnych celów” – oznajmił zakonnik.

Autorytet rozmienny na drobne

Zaskoczenia nie było. Trzeba by nie znać historii ostatnich lat Kościoła w Polsce, żeby udawać, że to, co się wydarzyło na Jasnej Górze, stanowi coś nowego. Prawo i Sprawiedliwość od lat skutecznie rozgrywa Kościół, kupuje poparcie jego znaczącej części. Dokonuje się to za pośrednictwem parasola ochronnego rozpostartego nad skandalami seksualnymi, nadużyciami finansowymi, ale także za sprawą finansowania rozmaitych dzieł i drogich prezentów (miecz przekazany przez Jacka Sasina o. Rydzykowi jest tego symbolem) oraz obietnic „odwrócenia fali laicyzacji” i zapewniania, że Polska będzie ostoją moralności pośród zachodniego rozpasania.

Niczym nowym nie jest także zaangażowanie polityczne o. Rydzyka, którego przykłady skandalicznych wypowiedzi na temat Żydów, osób skrzywdzonych seksualnie w Kościele, pochwał PiS i przygan wobec PO można by mnożyć. Do milczenia biskupów – szczególnie gdy ich głos jest potrzebny, by przywołać do porządku tych, którzy „instrumentalizują Kościół” przez „nieuprawnione wykorzystywanie go w partykularnych rozgrywkach poszczególnych partii” – też można się już było przyzwyczaić. Jasna Góra nie była zaś pierwszy raz miejscem, które politycy rozmaitych partii próbowali rozgrywać i wykorzystywać. To wszystko już było.

Jeśli więc warto zatrzymać się nad ostatnimi wydarzeniami na Jasnej Górze, to głównie dlatego, że – jak w soczewce – pokazują one, w jakim miejscu jest obecnie Kościół w Polsce, z czym sobie nie radzi, jakie zagrożenia przed nim stoją i wreszcie co go kształtuje.

Obraz tańczących na jasnogórskich wałach polityków, polityczna agitacja i milczenie biskupów uświadamiają, że pewna (obawiam się, że jeśli chodzi o duchowieństwo, to większośćowa) część Kościoła uwierzyła, iż jedynym ratunkiem przed błyskawiczną laicyzacją młodzieży (to, że ona zachodzi, przyznał już nawet o. Rydzyk, który jako lekarstwo zalecił

zeniem Rady Stałej (którego nie podpisał, bo go w czasie jego ustalania nie było – jak poinformował mnie rzecznik prasowy archidiecezji krakowskiej – ale też przeciwko któremu nie protestował), sprzeciwił się jednoznaczemu wciąganiu Kościoła w politykę? A może przypomniał, że w wyborach nie wolno posługiwać się populizmem i demagogią?

Nic bardziej błędnego. Kazanie arcybiskupa, choć na tle wystąpień poprzedników delikatne jak letnia mżawka, także zawierało – lekko zakamuflowane – akcenty politycznej demagogii i wciągania Kościoła w politykę. Metropolita krakowski przekonywał, że wielu spośród zebranych usłyszało zapewne pod swoim adresem obraźliwe słowa związane z wyznawaną wiarą, a współcześnie nie tylko ośmiesza się i szydzi, ale głosi przemoc wobec katolików. „Nie wolno nam się bać, że tak zwani »władcy tego świata« będą na nas patrzeć z góry, z pychą, z szy-

derstwem, z przekonaniem, że tylko oni mają pełną prawdę o człowieku, jego życiu i przeznaczeniu” – zaznaczył arcybiskup. „Budujmy nową rzeczywistość, która będzie jednoznacznym protestem przeciwko tej fali pogardy, kłamstw, oszczerstw, nienawiści. Fali, która przenika przestrzeń naszej ojczyzny” – dodał.

Ostrożna deklaracja

Inni członkowie Rady Stałej nie zabrali głosu w tej sprawie. Dokument, który podpisali, argumentacja, której użyli, została już zapomniana. Ojciec Tadeusz Rydzyk i Jarosław Kaczyński mogą w polskim Kościele więcej, i nawet jeśli oznacza to zanegowanie stanowiska biskupów, nikt – poza kardynałem Rysiem – się nie wychyli. Na tym tle nawet niezwykle ostrożna deklaracja rzecznika klasztoru paulinów o. Michała Bortnika brzmi jak bohaterstwo: „Gospodarze tego miejsca muszą jeszcze bardziej uwrażli-

WALDEMAR DESKA / PAP

→ rodzicielski przymus i utrudnianie życia tym, którzy nie chcą chodzić na katechezę), likwidacją seminariów z braku powołań, zamieraniem nowicjatów zgromadzeń żeńskich, pustoszącymi wydziałami teologicznymi i wreszcie spadkiem autorytetu Kościoła – jest zaangażowanie państwa. Parasol ochronny władzy ma uchronić diecezje przed pozwami od ofiar nadużyć seksualnych, więcej lekcji religii i więcej Jana Pawła II na innych lekcjach (co obiecuje minister Czarnek) ma odwrócić trend laicyzacyjny wśród młodych, więcej rządu na uroczystościach kościelnych ma zatrzymać realny proces wypłykiwania Ewangelii z życia społecznego.

Zwolennicy tych rozwiązań nie chcą widzieć, że przyjęte przez partię władzy (i zaakceptowane przez pewną część katolików) metody ochrony Kościoła nie tylko nie służą realizacji tych celów, ale wręcz przyspieszają laicyzację i osmiejszają hierarchie.

Zagrożenie wartości

Politycy tymczasem ten powoli wygasający Kościół, rozżalony upadkiem znaczenia, sfrustrowany brakiem powołań – rozgrywają do własnych celów. Jakich? Obawiam się, że niewiele mających wspólnego z odbudową jego znaczenia, a o wiele więcej z koniecznością umacniania twardego elektoratu. PiS – skutecznie, bo tego nie da się im odmówić – zbudował wśród najbardziej zaangażowanych katolików przekonanie, że jedyną tamą laicyzacyjnych zmian jest właśnie on, że jeśli ktoś szuka głosu katolickiego w polityce, to powinien głosować na partię obecnej władzy. Narracja nieustannego zagrożenia wartości, opowieści o bezlitosnych atakach na wierzących i wiarę, silne rozgrywanie tematów światopoglądowych – sprawiają, że zaangażowani i nieco bardziej konserwatywni katolicy sami wpadają w sieci PiS. A jego spin doktorzy mają świadomość, że bez tej grupy nie da się zbudować trwałego, mocnego wsparcia dla partii.

Czy nie ma w Polsce biskupów, którzy to dostrzegają? Oczywiście, że są. „Tym, co Kościół winien rozwijać, nie są narzędzia polityczne, tylko środki ewangeliczne: głoszenie Słowa, sprawowanie sakramentów, budowanie wspólnoty i dzieła miłości. I na tym Kościół się opiera. A jeśli ktoś tego nie chce robić, tylko ogląda się na polityczną władzę, by

O. Rydzyk i Jarosław Kaczyński mogą w polskim Kościele więcej i nawet jeśli oznacza to zanegowanie stanowiska biskupów,
nikt poza kardynałem Rysiem się nie wychyli.

szukać poczucia bezpieczeństwa, to głęboko się myli” – mówił we wspomnianym wywiadzie kardynał Ryś.

Kilka tygodni temu, podczas kazania na Boże Ciało, podobne akcenty słychać było w kazaniu kard. Kazimierza Nycza, a i prymas Wojciech Polak często uderza w podobne tony. Kłopot polega na tym, że tego dość oczywistego z perspektywy Kościoła nauczania biskupi odmawiający zaangażowania politycznego nie są w stanie „wyegzekwować” od tych, którzy wspierają działania PiS. Model zaś działania polskiego episkopatu, w którym nie ma miejsca na polemiki, sprawia, że medialne wrażenie jest takie, iż Kościół stanął po stronie PiS. Wrażenie to wzmacniają jeszcze media publiczne, które dając Kościołowi sygnał, że wreszcie ma swoje stałe i niezagrożone miejsce w ramówkach, liczą, że będzie on przysmakał oczy na fakt, że i te media rozgrywają politycznie hierarchie.

Bez pomysłu na Jasną Górę

Ale jest jeszcze jeden problem, który mnie, jako autora biografii Jasnej Góry, szczególnie boli. Otóż wyraźnie widać, że ani obecni władarze sanktuarium, ani polscy biskupi nie mają pomysłu na to miejsce. Kardynał Stefan Wyszyński postawił je w centrum programu ewangelizacyjnego, jakim były obchody Tysiąclecia Chrztu Polski. Peregrynacja ikony (a później – na skutek działań władz – pustych ram, co było symbolicznie jeszcze mocniejsze), masowy ruch pielgrzymkowy, odwołania do Ślubów Jasnogórskich – to wszystko postawiło Jasną Górę w centrum życia Kościoła. Jan Paweł II w wielu wypowiedziach, podczas licznych pielgrzymek, także odnosił się do historycznej mitologii tego miejsca, umacniając jego pozycję wśród symboli polskiej i katolickiej tożsamości.

To wszystko miało jednak miejsce niemal pół wieku temu. Od tego czasu nic się w sprawie symbolicznego znaczenia Jasnej Góry nie wydarzyło. Nie ma pomysłu na to, co można i trzeba zrobić, by nadal żyła nie tylko historia, ale także teraźniejszość. Gospodarze sanktuarium widzą, że pielgrzymów ubywa, że ich wiek rośnie, ale mimo to niewiele się zmienia. Dlaczego? I tu dochodzimy do kolejnej cechy nie tylko tego sanktuarium, ale także polskiego Kościoła. Otóż nie ma w nich odwagi, by testować nowe rozwiązania, szukać nowych interpretacji startych symboli, nadawać im nowe sensy.

Historia prawdziwa

A można to robić. Św. Faustyna Kowalska jest przecież symbolem emancypacji dziewczyny z wiejskiego środowiska, którą jej własne współsiostry chciały zrobić posługaczką, a która była w stanie – choćby w „Dzienniczku” – zaprotestować przeciwko temu i zaproponować model życia zakonnego bez przemocy.

Czy ktoś o tym mówi? Nie. Z Jasnej Góry można zaczerpnąć np. chrześcijańską wizję emancypacji kobiet. W tym miejscu widać też, że jedna ikona może inspirować rozmaite wizje religijne. Dla jednych była ona – jak dla żydowskich mistyków i heretyków – wizją „żeńskiej obecności Bożej”, dla innych matczynym obliczem Ojca, a dla jeszcze innych – jak dla Reymonta, autora znakomitego reportażu o pielgrzymowaniu – ludzką nadzieją na lepsze jutro. Historia sanktuarium pełna jest także świadectw tego, że w ludzkim życiu obok świętości jest także wielki grzech, czego przykrym świadectwem jest nie tylko historia paulina, który zamordował na Jasnej Górze męża swojej kochanki, ale także jednego z generałów paulińskich, który był agentem polskiej bezpieki. Trudno o mocniejsze historie grzechu i świętości.

Czy słyszymy o tym z jasnogórskich wałów? Nie, bo to wymagałoby pogłębionej teologii, przyznania się do własnych słabości i nie pozostawiałoby miejsca na propagandę, zarówno tę polityczną, jak i religijną. Tyle że dopóki nie wrócimy do prawdziwej historii Jasnej Góry, dopóki nie zaczniemy w niej szukać nowych sensów, to jej znaczenie będzie tylko spadać.

Mafia poczeka

EDWARD AUGUSTYN

**Powołano ją z wielką pompą,
zlikwidowano po cichu
kilka miesięcy później.
Watykańska komisja ds. mafii
nie miała łatwo.**

POWSTAŁA W MAJU 2021 ROKU W ODPOWIEDZI NA PAPIESKIE SŁOWA O EKSKOMUNIKOWANIU MAFIOSÓW, KTÓRE WZBUDZIŁY ENTUZJAZM WIERNYCH I WĄTPLIWOŚCI KANONISTÓW. GRUPA ROBOCZA DS. MAFII, POTOCZNIE ZWANA KOMISJĄ, MIAŁA SZUKAĆ ODPOWIEDZI NA PYTANIA O SKUTECZNOŚĆ TAKIEJ EKSKOMUNIKI I JEJ PODSTAWY PRAWNE. ALE SZYBKO SŁUCH O NIEJ ZAGINĄŁ. TRZY TYGODNIE TEMU, PODCZAS KONFERENCJI W BERLINIE POŚWIĘCONEJ STOSUNKOWI KOŚCIOŁA DO KORUPCJI I PRZESTĘPCZOŚCI ZORGANIZOWANEJ, PRZEKAZANO, ŻE GRUPA ZOSTAŁA ROZWIĄZANA JUŻ PO KILKU MIESIĄCACH, A PRZYGOTOWANY PRZEZ NIĄ DOKUMENT Z PROPOZYCJAMI ZMIAN W NAUCZANIU SPOŁECZNYM KOŚCIOŁA, PRAWIE KANONICZNYM I KATECHIZMIE – NIE ZOSTAŁ PRZEDSTAWIONY PAPIEŻOWI.

Grupie nie udało się także spotkać z Franciszkiem, choć w jej skład wchodziły osoby znane z zaangażowania w walkę z mafią, m.in. Giuseppe Pignatone, prezes watykańskiego sądu, a wcześniej szef rzymskiej prokuratury, Rosy Bindi, była przewodnicząca komisji antymafijnej włoskiego parlamentu, ks. Luigi Ciotti, założyciel fundacji wspierającej ofiary mafii, abp Michele Pennisi z Sycylii. Było też dwóch kardynałów, Peter Turkson i Silvano Tomasi, oraz urzędnicy Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka, w ramach której działała grupa, Kongregacji Nauki Wiary oraz Papieskiej Rady ds. Tekstów Prawnych.

Vittorio Alberti, pomysłodawca grupy i rzecznik prasowy, unika odpowiedzi na pytanie, co lub kto spowodował, że komisja przestała działać. – Nie chcę spekulować – mówi „Tygodnikowi”. – Mogę je-



Papież Franciszek i ks. Luigi Ciotti, założyciel fundacji Libera, podczas spotkania z rodzinami ofiar mafii. Rzym, marzec 2014 r.

dynie potwierdzić fakty. Kard. Turkson, który kierował komisją, prosił o audiencję u papieża zgodnie z procedurą stosowaną w Watykanie. Bezskutecznie. Nie wiemy nawet, czy jego prośba dotarła do papieża. Grupa przestała działać pod koniec 2021 r., po przygotowaniu 5-stronnicowego dokumentu, który jednak nigdy nie trafił do adresata. W czasie kilkumiesięcznej działalności nawiązała współpracę z administracją prezydenta Bidena i niektórymi ambasadami zainteresowanymi tematem. Wysłała też list z propozycją wspólnego działania do wszystkich episkopatów. Trzydzieści z nich wyraziło chęć dalszych kontaktów, ale ze strony Watykanu nie otrzymały już odpowiedzi.

Alberti przyznaje, że działalność grupy od początku spotykała się z niezrozumieniem. Chętnie mówi o przebiegu prac i ich znaczeniu, jak też o tym, że problem korupcji i przestępczości mafijnej jest kluczowy dla nauczania Franciszka. Nie wierzy, by to papież zdecydował o zminimalizowaniu i wygaszeniu komisji.

Rozpytuję w Watykanie o powody. Rzecznik prasowy Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka przek-

zuje enigmatyczną odpowiedź, że „być może grupa w przyszłości znów podejmie pracę”. Inni moi rozmówcy podzielają się chętnie opiniami, pod warunkiem, że zostaną anonimowi. Syntetyzując ich wypowiedzi, otrzymamy cztery hipotezy, z których każda wydaje się możliwa.

Pierwszą i oczywistą wydaje się celowe blokowanie inicjatywy przez osoby, które mają związki ze światem przestępczym. Zawsze takie w Watykanie były: wystarczy wspomnieć historię abp. Paula Marcinkusa, szefa Instytutu Dziej Religijnych w latach 80. ub. wieku, czy toczący się proces kard. Angela Becciu. Interesy mafii za Spizową Bramą nie byłyby możliwe bez wsparcia lub przynajmniej cichego przyzwolenia mieszkających i pracujących tam osób.

Są też inne wytłumaczenia. Już w chwili powoływania komisji zwracano uwagę, że przedmiot jej prac nie został jasno zdefiniowany. Nieprecyzyjny jest sam termin „mafia”, który wiele osób utożsamia z przestępczością włoskiego Południa i nie widzi powodu, by lokalnym problemem zajmował się Kościół powszechny.

Vittorio Alberti przekonuje, że to jednak problem globalny oraz – w dużym stopniu →

→ – kościelny. Cechą charakterystyczną działalności mafijnej jest szukanie społecznego poparcia poprzez odwoływanie się do symboli religijnych i podkreślanie związków z Kościołem. Przywiązanie do „wartości”, takich jak lojalność wobec „rodziny”, omertà, szacunek dla tradycji i manifestowana pobożność to mocny fundament przestępczej działalności, która nie ogranicza się do gangsterskich porachunków, handlu narkotykami, bronią czy ludźmi. Dziś mafie inwestują brudne pieniądze w legalne, intratne i strategiczne branże, korumpując polityków i urzędników, zdobywając koncesje i wygrywając przetargi.

Do problemów komisji z pewnością przyczyniły się też zmiany w Watykanie. Po odejściu na emeryturę kard. Petera Turksona prefektem Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka został kard. Michael Czerny, który ma całkiem inną wizję urzędu, skoncentrowaną na pomocy uchodźcom, wykluczonym, ofiarom katastrof i konfliktów zbrojnych. A pierwsze dwa lata jego prefektury upływają pod znakiem wojny w Ukrainie. W tej sytuacji nikt nie pyta o antymafijną komisję.

Jej historia odsłania też inny problem Watykanu. Gdy Franciszek ogłaszał „ekskomunikę dla mafiosów” (w drugim roku pontyfikatu), mało kto znał jego skłonność do spontanicznych reakcji i nieprzemyślanych wypowiedzi. Przeważała opinia, że „słowa papieża stają się prawem”, szukano dla nich teologicznych i kanonicznych uzasadnień. Dziś tej chęci nie widać.

Rzymska kuria, spadkobierca papieskiego dworu, nie jest starą, dobrze za konserwowaną maszyną, która każdy rozpoczęty proces doprowadza do końca, a dokument dostarcza do adresata. Nigdy zresztą, wbrew powszechnej opinii, nią nie była. Wystarczy, że zabraknie uwagi monarchy, by jej praca przeszła w jałowy tryb. Sporo cennych pomysłów zostało już tak pogrzebanych, wiele ważnych dokumentów schowanych, dużo dobrej energii zmarnowanej i nikt nie dojdzie, czy z powodu złej woli, czy biurokratycznej inercji. Franciszkowa reforma, jak na razie, niewiele tu zmienia.

© P EDWARD AUGUSTYN

Czytaj więcej: powszech.net/alberti

Na zielonej wyspie zakwitną parafie

MACIEJ MÜLLER

Irlandzcy katolicy na serio traktują encyklikę „Laudato si”. O pszczoły dbają i biskupi, i działkowicze z rad parafialnych.

SŁUŻBA METEOROLOGICZNA PODAJE, ŻE Smamy za sobą najcieplejszy czerwiec od 83 lat” – napisał ostatnio do wiernych Martin Hayes, biskup irlandzkiej diecezji Kilmore. Przyznał, że łatwo o wnioski, iż wobec katastrofy klimatycznej jesteśmy bezsilni. „A jednak, jako chrześcijanie, możemy podjąć konkretne działania” – podkreślił. Po czym przywołał niedawne wezwanie irlandzkiego episkopatu, by każda parafia przeznaczyła 30 proc. posiadanych gruntów „dla owadów zapyłających” i „dla przywrócenia bioróżnorodności”.

Sformułowany w marcu, a niedawno ponowiony apel biskupów zainspirowany był porozumieniami z konferencji COP15 w Montrealu (2022) co do tego, by zwrócić naturze 30 proc. lądów i oceanów. A przede wszystkim zmotywowały ich wezwania Franciszka z encykliki „Laudato si” z 2015 r. Irlandzki episkopat potraktował je poważnie: jako pierwszy na świecie pozbył się udziałów w firmach produkujących i transportujących ropę naftową, gaz ziemny i węgiel. Śladem Irlandczyków poszli potem biskupi m.in. Austrii, Belgii i Filipin, a także zakony i inne instytucje katolickie.

Biskup Hayes chciałby, żeby rady parafialne wyszukiwały wśród mieszkańców „lokalnych eks-

pertów od ogrodnictwa” (czyli po naszymu: działkowiczów), którzy wyznaczą tereny na łąki kwiatne. Nie ma przy tym wątpliwości, że niektóre wspólnoty „będą potrzebowały wsparcia” w tym, aby postrzegać tę inicjatywę „jako część chrześcijańskiego zaangażowania”. „To szansa na katechezę na temat papieskiego nauczania i wezwań Księgi Rodzaju do odpowiedzialnego szafowania zasobami ziemskimi” – podkreśliła w wypowiedzi dla „National Catholic Reporter” Jane Mellett, członkini 12-osobowej Grupy Roboczej „Laudato si” przy irlandzkim episkopacie. Do grupy wciąż trafiają pytania o sposoby na działania proekologiczne, szczególnie od parafii miejskich, gdzie trudniej o niezabudowane tereny. Nie chodzi o to, żeby teraz burzyć parkingi – tłumaczy Mellett – ale żeby np. posadzić rośliny na ich obrzeżach.

Raport „NCR” wśród parafii, które odniosły pierwsze sukcesy, wymienia wspólnotę w Killorglin (hrabstwo Kerry), gdzie dzięki zaangażowaniu czterech osób powstał przy kościele „parafialny ogród bioróżnorodności”. Z kolei parafia Clane w hrabstwie Kildare od dekady obdarowuje każdą rodzinę, która chrzci dziecko, i każdą parę zawierającą sakrament małżeństwa – sadzonką drzewa rodzimego gatunku. Dzięki inicjatywie zasadzono już ok. 1,3 tys. drzew. © P

*Kościół
Najświętszego
Serca Pana Jezusa
w hrabstwie
Cork, Irlandia.
Maj 2022 r.*



ZUZANNA

Radzik:

Paragraf za płeć



JĘŚLI SPOJRZEĆ NA CAŁOŚĆ DOŚWIADCZENIA bycia kobietą w Polsce – kraju urzędowym jakby nie dla nas, lecz przeciw nam – aż dziw, że nie jesteśmy wszystkie na ulicach. Wracasz z wakacji prosto w wiadomość o pani Joannie, która zamiast dostać pomoc psychologiczną, dostała obstawę policyjną i nadużycia ze strony ludzi nazywanych stróżami prawa. A może dopadły cię te wieści na plaży, w pociągu, na lotnisku? Wracasz, a armie siedzą już w okopach. Jedni chcą znać adres i dane lekarki, inni wzruszają ramionami, że wiadomo, jak jest w państwie PiS: kobiety drżą. A po drugiej stronie zaprzeczanie, atakowanie opozycji, drwienie z artystycznej działalności poszkodowanej, ujawnianie danych o jej życiu osobistym i zdrowiu psychicznym. Jest rok wyborczy, kto by się zajmował dobrostanem obywatelki Joanny?

Sprawa jest dynamiczna, codziennie dowiadujemy się więcej, ale najważniejsze wątki da się już zanotować. Pierwszy jest obywatelski. To w zasadzie jego kolejna odsłona, ale tak bliska ciału, w sensie dosłownym, że wstrząsająca. Oto obywatelka liczy na pomoc, bo zakłada, że może sobie nie poradzić w swoim stanie sama. Sięga po telefon do lekarki, ufając, że ją dostanie. Słyszymy od psychiatrów, że samo wezwanie przez lekarke policji do pacjentki w kryzysie psychicznym nie jest czymś nadzwyczajnym. Nadzwyczajne jest wszystko, co dzieje się później, czyli policja nieopuszczająca obywatelki na oddziale, odebranie telefonu i laptopa, choć mamy do czynienia z pacjentką, a nie podejrzaną o przestępstwo. Dziwaczne polecenia, naruszające godność, które poszkodowana odczuwa jako przemoc seksualną. Bezsilność zastraszanego przez patrol personelu medycznego. Sąd zresztą orzekł, że działania policji względem pani Joanny były niezgodne z prawem.

Obywatelka w ramach systemu prosi o wsparcie w kryzysie, a dostaje podejrzliwość i brutalność ze strony policji. Gdy sprawę ujawnia, krytykowana policja opowiada o jej życiu więcej, niż powinniśmy wiedzieć. Słowem: obywatelko, obywatelu, nie waz się kwestionować sposobu działania służb, bo upokorzymy cię ponownie, tym razem na oczach wszystkich.

To, rzecz jasna, nie jest pierwszy raz, policja już straciła zaufanie wielu obywateli. Podobnie jak straż graniczna i parę

innych publicznych instytucji. Trzeba przeżyć do końca proces odchodzenia od przekonania, że ministerstwu środowiska można ufać, że środowisko chroni, ministerstwu nauki, że dba o publiczne oświecenie, a policji, że dba o nasze bezpieczeństwo. Lista się wydłuża, ogarnia coraz więcej instytucji publicznych.

Wracam myślą do czasów, gdy niezgoda na antypolityczne okrzyki współprotestujących była moją prywatną granicą „państwowości”. Do przekonania, że my możemy tu maszerować, ale oni wcale nie są przeciw nam – stoją tu, bo są w pracy dla nas. Że zarówno oni, jak i my musimy tak myśleć, by państwo funkcjonowało. To przyszło długo przed brutalnymi interwencjami policji w czasie protestów kobiet, podczas blokady marszu ONR. Ten moment, kiedy policja spycha małą blokadę i nagle, gdy już się właściwie udało, napiera brutalnie i wali pałkami chłopaka tuż obok ciebie, kiedy z przyjaciółką chowasz się w zagłębieniu muru. Patrzycie na siebie, nie kryjąc szoku. Widziałyśmy to! Bezcelową przemoc mundurowego! I przyszło. Uleciało poczucie, że jesteśmy tu dla siebie: że my mamy protestować przeciw faszyzmowi dla dobra wspólnego, a oni są po to, byśmy bezpiecznie protestowali. Pamiętam ten moment, ale boli mnie, że już się w zasadzie przyzwyczailiśmy, że tak jest. To rozmontowuje państwo w naszych głowach i jest groźnym symptomem tego, co się stało z demokracją w Polsce.

Drugi aspekt tej sprawy jest kobiecy, nie da się przed tym uciec. To jest ten moment, gdy zastanawiasz się, nie pierwszy raz w ostatnich miesiącach, czy zaraz będzie paragraf za samo bycie kobietą, skoro policja może tak traktować obywatelkę i pacjentkę. Już dziś – jak widzę w tym, co piszemy na kobiecych forach, co czytamy w gazetach i książkach, o czym rozmawiamy przy kawiarnianych stolikach i w kuchniach – strach jest realny. Są strachy po śmierciach na porodówkach oraz strachy przed upokorzeniem i przemocą przy porodzie (o czym książkę napisała Justyna Dąbrowska). Są te wszystkie momenty, kiedy ciało kobiety nie należy do niej samej, bo chciałaby sterylizacji lub zamrożenia jajeczka, a państwo nie da. Albo kiedy bardzo chce dziecka, ale jej gmina to nie duże miasto, które dofinansowuje *in vitro*. Albo kiedy potrzebuje tabletki „dzień po”, natychmiast. To wszystko usługi medyczne dotyczące zdrowia kobiet dostępne w innych krajach Europy.

Strach pojawia się codziennie. Dziewczyna ze spóźniającą się miesiączką i negatywnymi testami, co może być objawem chorób, boi się iść do lekarza, bo przecież rejestr ciąży. Dziewczyna po aborcji za granicą, gdzie mieszka, boi się iść do ginekologa podczas wizyty w ojczyźnie, bo co, jeśli ten się zorientuje. No to teraz będą się bały zadzwonić do psychiatry.

©



Serwisy specjalne: patrz szerzej

KRYZYS KLIMATYCZNY

Jak zatrzymać katastrofę

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KRYZYS-KLIMATYCZNY



TONĄCY W ŚMIECIACH

W mołdawskiej ekowiosce można uczyć się, jak dbać o środowisko.

Ale nawet takie projekty nie poradzą na problem
nielegalnych wysypisk, których stale przybywa.

TEKST I ZDJĘCIA **AGNIESZKA ZIELIŃSKA** Z RÎȘCOVEJ I KISZYNIOWA



OGRÓDZONY DREWNIANYMI PALAMI ogród Liliany usytuowany jest na wzgórzu tuż koło lasu. Na pierwszy rzut oka trudno jednak dostrzec grządki warzyw czy krzewy owocowe. Wszystko jest gęsto porośnięte. Nie tylko przez rośliny, które rodzą owoce i warzywa, ale też przez chwasty. Gdzieniedzie deski układają się na ziemi w kwadraty i trójkąty.

– Co, wy też myślicie, że biedne mieszkańcy bawią się tu w ogrodnictwo? – rzuca Liliana Botnaru, współzałożycielka ekowioski w mołdawskiej miejscowości Rîșcova. Pochodzi ze stołecznego Kiszyniowa, studiowała międzynarodowe stosunki gospodarcze. Gdy 15 lat temu wraz z grupą przyjaciół przeprowadziła się do Rîșcovej, aby założyć

tu ekowioskę, nie miała pojęcia o ekologii.

– Chcieliśmy stworzyć miejsce dla osób zainteresowanych zrównoważonym stylem życia – wyjaśnia dziś. – Uprawiać ogród przyjazny dla środowiska, zbudować domy z naturalnych materiałów. Zbierać deszczówkę. I przede wszystkim stworzyć społeczność, która będzie pomagać sobie nawzajem.

Więcej czy mniej słońca?

Liliana wspomina, jak w dzieciństwie jeździła z rodzicami samochodem z Kiszyniowa 150 km na wieś do babci, i jak mogli zatrzymać się przy przydrożnej studni i napić wody. – Gdy jako dorosła kobieta, po pobycie w Indiach, wróciłam do Mołdawii, zauważyłam, jak bardzo zmienił się nasz kraj. Straciliśmy jedną szóstą zasobów wody, temperatury z roku na rok są coraz wyższe, lasy są wycinane, gleba degradowana – wylicza.

Tak narodziła się idea wioski ekologicznej, która będzie otwarta dla tych, którzy szukają odpoczynku od miejskiego zgiełku albo chcą nauczyć się ekologicznych rozwiązań.

Ogród Liliany nie jest więc zaniedbany – wszystko tu jest przemyślane. Deski ułożone w geometryczne figury zatrzymują wodę, zwłaszcza podczas krótkich intensywnych deszczów. Czosnek, sadzony wraz z truskawkami i poziomkami, to też działanie przemyślane: dobrze wpływa na wzrost i smak owoców. Obecność chwastów wskazuje na jakość gleby, jej kwasowość.

Podobnie z drzewami zaraz przy uprawach. Liliana: – Kłóciłyśmy się o to z mamą. Ona twierdziła, że drzewa lepiej sadzić z boku, aby rośliny miały więcej słońca. Uważam, że drzewa powinny być w środku ogrodu, aby chłodziły warzywa. Pięć lat po stworzeniu ogrodu mama zapytała, czy możemy posadzić więcej drzew, bo w ogrodzie jest za dużo słońca.

Z ziemniakiem na sztandarze

Ekowioska to tylko kilka budynków we wsi Rîșcova, 40 km na północ od stolicy. Nie wszyscy spośród jej 2 tys. mieszkańców odnoszą się entuzjastycznie do zmian w rolnictwie, które proponuje Liliana. Niektórzy uważają, że metody

upraw przekazywane z pokolenia na pokolenie są lepsze. Ale są też tacy, którzy szkolą się w ekowiosce, a potem znajdują tam zatrudnienie jako ogrodnicy.

Wioska Liliany to szansa na przyciągnięcie turystów i dodatkowy zarobek dla mieszkańców, którzy mogą sprzedawać im swoje produkty. – Nie uprawiamy ziemniaków, bo nie mamy na to miejsca. Gdy przyjeżdżają grupy na szkolenia czy turyści, kupujemy produkty od sąsiadów. Każdy tu specjalizuje się w czymś innym, a dla nas istotne jest, aby kupować lokalnie i zmniejszać w ten sposób koszty transportu i emisję CO₂ – mówi Liliana.

Natalia przeniosła się do Rîșcovej ze stolicy. Wyjazd na wieś pomógł jej córce alergiczce. Ponadto po śmierci siostry Natalia przejęła opiekę nad dwójką jej dzieci i teraz wychowuje łącznie pięcioro. Chce, by dzieci dorastały na wsi i mogły jeść owoce i warzywa, które sama wyhoduje.

– Legenda głosi, że mężczyźni z Rîșcovej szukają wybranek w innych miastach, a ja jestem tego dowodem – mówi Aurica, gdy spotykamy się przed jej pięknie zdobionym zielonym domem z błękitnymi kolumnami. Przyjechała tu w 1987 r. z Naddniestrza. Kiedyś pracowała jako przedszkolanka, a po urodzeniu dzieci zajęła się uprawą ekologiczną. Jej specjalność to ziemniaki. Jako jedyna we wsi wciąż zbiera stonkę ręcznie.

Ziemniaki są wizytówką wsi. Co roku odbywa się tu festiwal ziemniaka, który z rumuńskiego nazywa się Toamna Cartofilor (Jesień Ziemniaka). Chodzi o to, by promować zdrowe warzywa i ich małych producentów. Mieszkańcy Rîșcovej specjalizują się od lat w uprawach kilkunasstu odmian ziemniaków.

Kolorowe pojemniki

– Widzicie te studnie? Żadna nie jest ogrodzona, choć są własnością konkretnych osób. Mamy tu taki przesąd, że nieszczęście spotka osobę, która zagrozi innym dostęp do wody. Woda jest przecież dobrem wszystkich – mówi Liliana Botnaru, gdy idziemy wiejską uliczką.

Prowadzi na wzgórze, z którego rozciąga się widok na całą wieś: – Jeszcze sześć lat temu było tu nielegalne wysypisko śmieci. Wspólnie z wolontariuszami zaczęliśmy proces rewitalizacji gleby, posadziliśmy drzewa, żeby ustabilizować

Wysypisko śmieci we wsi Rîșcova, czerwiec 2023 r.



→ ziemię. Burmistrz postawił znak, że każdy, kto wyrzuci tu śmieci, będzie ukarany. Teraz już tylko ogromna dziura w ziemi przypomina o przeszłości tego miejsca. Jednak ten budujący widok może mylić.

Pięć lat temu w Rîșcovej stanęły śmietniki do segregacji plastiku, metalu, szkła oraz odpadów zmieszanych. Wówczas ekowioska i stowarzyszenie Ecovisio zaangażowały się w edukację mieszkańców. – Kiedy pojawiły się śmietniki, założyłam, że mieszkańcy przestali zostawiać śmieci przy rzeczce – mówi Natalia. Z kolei Tatiana, także mieszkanka wsi, chodziła od domu do domu i wyjaśniała, jak ważna jest segregacja śmieci.

Gmina zaczęła pobierać od mieszkańców 9 lejów (ok. 2 zł) przy płatności podatku za dom. Za to organizowany jest wywóz śmieci, dwa razy w miesiącu.

Palący problem

Powszechną praktyką w Rîșcovej nadal jest palenie śmieci, czasem nawet tuż obok domów. Często dzieje się to nocą. Ale są też tacy, którzy rozumieją potrzebę segregacji, a także kompostowania odpadów organicznych.

Jednak ich wysiłek i tak idzie na marne.

– Nawet jeśli mieszkańcy lepiej czy gorzej sortują, gmina nie może znaleźć firmy, która odbierze śmieci i zajmie się recyklingiem. Firmy odmawiają, twierdząc, że śmieci są źle posortowane – mówi Elena Tacu, aktywistka ekologiczna.

Od plastikowych toreb przez elektronikę, opony i ubrania aż po materiały budowlane – wszystkie posortowane śmieci lądują więc na wysypisku na obrzeżach Rîșcovej, obok pola z kukurydzą i budynków mieszkalnych.

Gdy docieram na to miejsce, na ścieżce bawi się kot, a przy drodze mijam tablicę z logo stowarzyszeń, które miały wkład w (rzekome) rozwiązanie problemu zarządzania śmieciami w Rîșcovej. Jest też nazwa unijnego projektu: „Rozwój usług gospodarowania odpadami we wsiach Rîșcova, Miclesti, Stetcani, Peresecina”, i daty: od sierpnia 2020 r. do sierpnia 2021 r.

Na początku starano się jeszcze rozkładać posegregowane śmieci w trzech miejscach: osobno plastik, osobno metal i szkło, a osobno odpady zmieszane. Później gmina wypożyczyła kontenery na poszczególne rodzaje śmieci, ale oka-



Irina Balica w muzeum śmieci. Kiszyniów, czerwiec 2023 r.

zało się, że kosztuje to zbyt dużo. Teraz posegregowane śmieci ze wsi Rîșcova lądują w jednym miejscu – i zagrażają glebie oraz wodom gruntowym.

Trzy tysiące wysypisk

– Sama też zniechęciłam się do segregacji śmieci, gdy zobaczyłam, jak to wygląda – mówi Liliana Botnaru. – Problem w tym, że nie ma wielu firm zajmujących się recyklingiem. Największa, ABS Recycling, nie ma konkurencji. Ale i tak uważam, że segregowanie musi stać się naszym zwyczajem. Kiedyś znajdzie się firma, która będzie odbierać odpady i je przetwarzać...

Przykład tej jednej miejscowości, w której jest ekowioska, pokazuje jak w soczewce, że Mołdawia nie radzi sobie z problemem śmieci. Z roku na rok w kraju powstają nowe nielegalne wysypiska.

Z unijnego raportu za 2018 r. wynika, że w Mołdawii było wtedy prawie 3 tys. wysypisk śmieci różnego rozmiaru, większość nielegalna. Według dokumentu żadne z nich nie było odpowiednio przygotowane i zabezpieczone, a to oznacza, że stanowiły zagrożenie dla zdrowia publicznego, klimatu i środowiska. W kraju brakowało też rozwiązań dotyczących zarządzania niebezpiecznymi śmieciami.

Dla porównania w Unii Europejskiej standardem jest jedno wysypisko na 250 tys. osób. To oznacza, że w Mołdawii, liczącej 2,5 mln mieszkańców, powinno ich być najwyżej kilkanaście, a resztę śmieci powinno się segregować i przetwarzać.

Muzeum ze śmieciami

Od nieużywanych już banknotów po rzeźby czy książki – to rzeczy, które pracownicy firmy recyklingowej ABS Recycling każdego dnia znajdują w zmieszanych śmieciami.

Po muzeum śmieci, znajdującym się przy siedzibie firmy, oprowadza Irina Balica, menedżerka firmy. – Każdego interesuje tu coś innego. Dzieci zwykle pytają, czy mogą zabrać ze sobą pieniądze, bo mamy tu stare banknoty z obszaru Nadnistrza – mówi Irina Balica.

Firma ABS Recycling zaczęła działać 17 lat temu. Wciąż nie ma konkurencji w segregacji i utylizacji. W kraju lokalnie zaczynają powstawać mniejsze firmy, jednak operują na małym obszarze. ABS Recycling sortuje dziennie 500 ton śmieci, ale tylko te ze stolicy.

– Nasza firma jest jedyną w kraju, która zajmuje się zintegrowanym zarządzaniem śmieciami, od ich odbioru i sortowania po przetwarzanie, choć na razie tylko plastiku – mówi Irina Balica.

Ze względu na początkowy brak reakcji rządu w 2008 r. firma zaczęła kupować śmietniki do segregacji i ciężarówkę do odbioru. Maszyny do sortowania zakupiono w Austrii i Niemczech; są wyposażone w czujniki do rozpoznawania różnych rodzajów śmieci. Ale nad wszystkim i tak czuwają ludzie, którzy ręcznie wyciągają z taśmy nieposegregowane odpady.

Strategia i unijne pieniądze

Od 10 lat w Mołdawii obowiązuje krajowa strategia zarządzania śmieciami. Zgodnie z nią władze miały opracować



Liliana Botnaru w swoim ogrodzie w ekologicznej wiosce. Rîșcova, czerwiec 2023 r.

spójny system odbioru śmieci od mieszkańców, zmniejszyć ilość odpadów trafiających na wysypiska i promować recykling.

– Mołdawia miała mieć system zarządzania śmieciami podzielony na osiem regionów i specjalnie przygotowane oraz zabezpieczone wysypiska. Miały tam trafiać tylko te śmieci, których nie można przetworzyć. Niestety niczego nie udało się zrobić – mówi Lila Curc, dziennikarka zajmująca się ekologią. Dlatego wciąż większość z kilku milionów ton śmieci, które rocznie produkują Mołdawianie, ląduje na wysypiskach (źródła podają różne dane: między 2,5 mln a 4 mln ton w 2018 r.).

W tym roku z Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju (EBOR) do Mołdawii trafi kolejne 5,6 mln euro na zarządzanie śmieciami. Pieniądze mają być wydane na zakup śmieciarek, koszy, a także budowę infrastruktury do sortowania i przetwarzania odpadów.

Ministerstwo środowiska podało, że w sfinansowaniu tych zakupów pomoże też pożyczka 25 mln euro, którą Mołdawia otrzymała od EBOR-u. Pieniądze EBOR-u pochodzą z Funduszu Partnerstwa na rzecz Efektywności Energetycznej i Środowiska Europy Wschodniej (E5P); największy wkład w niego ma Unia Europejska.

Kwestia świadomości

Pieniądze są ważne, bo Mołdawia jest jednym z najbiedniejszych państw Europy, duża część społeczeństwa żyje w ubóstwie. W 2022 r. kraj wystąpił o członkostwo w Unii, ale droga do tego jest długa.

Mołdawska minister środowiska Iordanca-Rodica Iordanov widzi w integracji szansę na zmiany na rzecz środowiska. – To prawda, kiedyś kwestie środowiska nie były dla nas priorytetem. Ale teraz to się zmienia. Proces integracji sprawia, że jesteśmy bardziej świadomi i zaangażowani. Musimy jednak ciężiej pracować. Nie tylko władze państwowe, ale też lokalne – mówi Iordanov.

Aktywistka Elena Tacu podkreśla, że aby zachęcić Mołdawian do segregacji śmieci, trzeba przede wszystkim poprawy ich sytuacji materialnej.

– Problemem jest też świadomość – uważa dziennikarka Liliana Curc. – Wielu ludzi myśli, że ktoś przyjedzie i rozwiąże problem nielegalnych wysypisk. Trudno im dostrzec powiązania między zanieczyszczoną glebą i wodą a zdrowiem mieszkańców.

Liliana Curc zwraca uwagę na potrzebę edukacji od małego.

– Unia i USA sfinansowały piękne kolorowe kubły, próbując namówić mieszkańców do segregacji. Zakończyło się to tym, że część kubłów zniknęła. Okazało się, że mieszkańcy kisili w nich

ogórki, kapustę, pomidory. Wszystko, co się tu kisi. A segregacji nadal nie było – mówi Krzysztof Lisek, były europoseł PO, który od dwóch lat mieszka w Mołdawii.

Kampania

Tam, gdzie zawodzą władze, inicjatywę przejmują mieszkańcy.

Liliana Botnaru z ekowioski w Rîșcovej organizuje konkursy między szkołami na największą ilość zebranych śmieci. Dzięki temu dzieci mają zabawę, aktywnie spędzają czas, a wsie stają się czystsze.

Kampanię na rzecz wzrostu świadomości prowadzi też ABS Recycling. W mediach społecznościowych firma publikuje grafiki i zdjęcia wyjaśniające proces segregacji śmieci.

Od niedawna w tę akcję włączają się mołdawscy celebryci, w tym muzyk, który reprezentował kraj podczas tegorocznej Eurowizji – Pasha Parfeni. W nagraniu Parfeni pokazuje, jak odbierane i sortowane są odpady z Kiszyniowa.

– Pytasz, dlaczego teraz ta kampania? Bo nasze wysypiska są już pełne, a lokalne władze potrafią tylko wskazać nowe miejsca na śmietniska – mówi Tatiana Czalow z ABS Recycling. – Jeśli nie zrobimy nic, wkrótce Mołdawia utonie w śmieciami. © AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Moskiewski gambit

MAREK RABIJ

Rosja zerwała porozumienie zbożowe, dzięki któremu ukraińskie produkty rolne mogły opuszczać kraj przez Morze Czarne. Dlaczego?

PŁYWAJĄCY POD TURECKĄ BANDERĄ MASOWIEC „TQ Samsun” opuścił port w Odessie w niedzielę 16 lipca dziewięć minut po piątej rano. Po 32 godzinach zacumował w Stambule, gdzie zgodnie z warunkami Czarnomorskiej Inicjatywy Zbożowej przeszedł inspekcję ładunku, po czym ruszył przez Dardanale w stronę docelowego portu w maltańskiej Valletcie.

Na pokładzie miał kilkanaście tysięcy ton zbóż – ostatnią partię, którą Ukraina wyeksportowała korytarzem morskim funkcjonującym od 1 sierpnia ubiegłego roku. 17 lipca Rosja formalnie wypowiedziała to porozumienie, zapowiadając, że odtąd każdy statek zmierzający do ukraińskich portów będzie uważać za potencjalny transport wojskowy.

33 MILIONY TON: tyle ukraińskiego zboża i produktów z roślin oleistych przepłynęło dotąd korytarzem. Nie tylko do krajów globalnego Południa, ale też do Chin, które odebrały 8 mln ton. Intencją twórców inicjatywy od początku było jednak nie tylko utrzymanie samych dostaw z Ukrainy, ale także podaży zbóż i olejów na możliwie najwyższym poziomie, aby uniknąć wzrostu cen na światowych rynkach. To uderzyłoby głównie w najuboż-

szych konsumentów z Afryki i Dalekiego Wschodu.

Wstrzymanie dostaw z ukraińskich portów natychmiast odnotowały światowe giełdy towarowe: kontrakty terminowe na pszenicę w Chicago wzrosły o 2,7 proc., a na kukurydzę o 0,94 proc. Mogło być gorzej. W kwietniu 2022 r. ceny obu zbóż były aż o 52 proc. wyższe. Na szczęście tym razem Rosji po prostu nie udało się nikogo zaskoczyć.

CZARNOMORSKA INICJATYWA ZBOŻOWA – z udziałem Ukrainy, Rosji, Turcji i ONZ – miała formułę porozumienia zawieranego na 120 dni z opcją przedłużenia. Rosja wielokrotnie dawała do zrozumienia, że jej niej przedłuży, jeśli nie zostanie spełniona lista jej oczekiwań, dotyczących poluzowania sankcji.

Ostatni taki komunikat popłynął z Kremla w weekend poprzedzający ogłoszenie ostatecznej decyzji. Prawem rasowego satrapy Władimir Putin nie wyjaśnił, jaki sens ma zrywanie tej humanitarnej inicjatywy. Ale dla odbiorców jego słów w Rosji i za granicą było jasne, że kwestia ewentualnego głodu w Afryce interesuje prezydenta najmniej. Kreml otworzył sobie jeszcze jedno pole w negocjacjach z Zachodem, które może przybliżyć go do zakończenia wojny na korzystnych dla siebie warunkach. Ewentualna destabilizacja w Afryce i na Bliskim Wschodzie może napędzić falę uchodźców do Europy i Turcji.

Wzrost cen zbóż z pewnością podrażnia za to rosyjski budżet, który z eksportu pszenicy, kukurydzy i ziaren oleistych czerpie ok. 10 proc. swoich dochodów. Zadowoleni będą też moskiewscy oligarchowie, o łaski których Putin może chcieć zabiegać po buncie Prigożyna. W ubiegłym roku – jak szacują eksperci Ośrodka Studiów Wschodnich – przeszło 70 proc. zbóż wywożonych z Rosji pochodziło z magazynów dziesięciu największych eksporterów, z których co najmniej dwa podmioty były powiązane z Dmitri-

jem Patruszewem – synem Nikołaja Patruszewa, sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. Dwa kolejne kontroluje bank WTB zarządzany przez zaprzyjaźnionego z Putinem Andrieja Kostina, a w jeszcze innym udziały ma Aleksandr Winokurov, zięć szefa MSZ Siergieja Ławrowa.

OFICJALNE ŻĄDANIA, jakimi Kreml obwarował ponowne przystąpienie do porozumienia, są zbyt abstrakcyjne, by traktować je poważnie. Rzekome utrudnienia w eksporcie rosyjskiego zboża, na które powoływał się Putin, kłóć się z danymi, z których wynika, że od 1 lipca 2022 r. do 30 czerwca 2023 r. Rosja sprzedała za granicę ok. 60 mln ton zbóż, w tym prawie 48 mln ton pszenicy. Rok do roku to wzrost eksportu aż o 30 proc. Eksport rosyjskich olejów roślinnych wzrósł o 35 proc.

Kreml domagał się też ponownego włączenia państwowego Rosselkhozbanku do międzynarodowego systemu komunikacji międzybankowej SWIFT, tłumacząc to rzekomymi problemami z obsługą międzynarodowych transakcji rolnych – choć w rzeczywistości to tylko jeden z ośmiu rosyjskich banków wypiętych ze SWIFT. Około 300 rosyjskich instytucji finansowych funkcjonuje w nim nadal bez ograniczeń.

Na liście żądań pojawiło się nawet wznowienie eksportu rosyjskiego amoniaku przez terminal w Odessie rurociągiem prowadzącym z rosyjskiego miasta Togliatti. Problem w tym, że instalacje przechodzą przez tereny objęte walkami i dziurawią je zarówno ukraińskie, jak i rosyjskie pociski.

KOMUNIKAT KREMLA jest więc rodzajem gambitu: aby uzyskać lepszą pozycję przetargową wobec zachodnich sojuszników Ukrainy, Moskwa gotowa jest poświęcić i bezpieczeństwo mieszkańców globalnego Południa, i swoje relacje z krajami Afryki. Jest to jednak poświęcenie, na które Putin jest gotowy. ©P

Statek „TQ Samsun”
na Morzu Czarnym, lipiec 2023 r.



Niepokorny Aleś Puszkin

PIOTR POGORZELSKI

Tego wyroku już nie przeżył. Kim był białoruski artysta, który zmarł w więzieniu w Grodnie?

TERMIN „BIAŁORUSKI ARTYSTA” MOŻE oznaczać dziś kogoś, kto tworzy na Białorusi, ale myśli kategoriami postsowieckimi. Może to być też ktoś, kto nie identyfikuje się z kulturą białoruską, ale uznaje Białoruś za swoją ojczyznę. Aleś Puszkin był inny: tworzył na Białorusi, mówił po białorusku i chciał, by jego kraj był niezależny od Rosji.

POGRZEB odbył się 13 lipca we wsi Bóbr, w obwodzie mińskim. Tu się urodził w 1965 r. Jego rodzina żyła tam co najmniej od pięciu pokoleń, a jego ojciec był prześladowany politycznie i zsyłany na wschód ZSRS. Także Aleś nie akceptował systemu: pierwszy wyrok, 11 dni aresztu, dostał w 1984 r., gdy odbywał służbę wojskową w Afganistanie. Prowadził pamiętnik po białorusku – uznano to za czyn antysowiecki.

Po powrocie do ojczyzny, w 1988 r. znów został aresztowany: na 15 dni za apel o udział w wiecu w Kuropatach. Był to czas pierestrojki, gdy zaczęto mówić o sowieckich zbrodniach, w tym o grobach ofiar NKWD w uroczysku pod Mińskiem. Jednak na Białoruś zmiany docierały powoli.

W 1989 r. znów był sądzony: za świętowanie 71. rocznicy powołania Białoruskiej Republiki Ludowej (przypada 25 marca, jako Dzień Wolności). Puszkin namalował 14 plakatów poświęconych językowi białoruskiemu, katastrofie w Czarnobylu i totalitaryzmowi. Sam niósł rysunek z przekreśloną flagą białoruskiej republiki i hasłem: „Dość socjalistycznej, odrodźmy niezależną Białoruś”. Dostał dwa lata więzienia w zawieszeniu na pięć lat.

SOWIETY upadły, ale kraj, od 1996 r. rządzony przez Alaksandra Łukaszenkę, wracał do sowieckich wzorców. Puszkin tego nie akceptował. W 1999 r. przywiózł przed mińską rezydencję prezydenta

taczkę nawozu, w który wetknął portret Łukaszenki przeбитý widłami. W 2021 r. powtórzył tę akcję, ale w Kijowie, podczas wystawy białoruskiej sztuki protestu. Wówczas w nawozie pojawiły się też kajdanki i farba symbolizująca krew.



Aleś Puszkin, 2009 r.

„Ten reżim stał się krwawy. W dwudziestym szóstym roku rządów ten człowiek tak kierował swoim krajem, że musiał zabijać ludzi, aby ich wpędzić w szczęście” – tłumaczył.

Było to już po krwawej pacyfikacji protestów po sfałszowanych wyborach w 2020 r., w których Puszkin uczestniczył (za to trafił do aresztu na kilka dni; był tam torturowany).

On sam już dużo wcześniej wiedział, gdzie jest miejsce Łukaszenki: w 1997 r., gdy pracował jako malarz fresków w cerkwiach i kościołach, w prawosławnej świątyni w rodzinnej wsi na obrazie Sądu Ostatecznego sportretował szefa państwa wśród grzeszników. W 2005 r. ten fragment pracy zamalowano, a sześć lat później cerkiew spłonęła.

ZAWODOWO zajmował się ostatnio restaurowaniem zabytków; pracował w firmie, która wygrała konkurs na freski w gro-

dzińskim Starym Zamku. Swoją koncepcję, skupioną na postaci króla Stefana Batorego, zaprezentował na otwarciu wystawy własnej twórczości w Centrum Życia Miejskiego w Grodnie w marcu 2021 r. Wśród wystawionych obrazów był też portret Jauhiena Żychara, namalowany jeszcze w 2014 r. w ramach cyklu „Białoruski opór”.

Żychar to białoruski partyzant, który po II wojnie światowej aż do śmierci w 1955 r. walczył z bronią w rękę z władzą sowiecką (wcześniej współpracował z III Rzeszą). W ten sposób zamachnął się na świętość: sprzeciwił się Sowietom. Na Białorusi ideologia jest bowiem prosta: Związek Sowiecki był dobry, a ci, którzy z nim walczyli, byli źli. Żychar był zatem zły, a Puszkin, który go namalował, również.

Na podobnej zasadzie za kraty trafił Andrzej Poczubot, działacz Związku Polaków na Białorusi, który napaść Sowietów na Polskę w 1939 r. nazwał agresją i został oskarżony o „podżeganie do nienawiści na tle rasowym, narodowym, religijnym i innym społecznym”. W dodatku wspominał o polskich żołnierzach wyklętych, którzy także na terenie obecnej Białorusi walczyli z władzą sowiecką.

SĄD uznał Puszkina winnym „znieważania symboli państwowych” (chodziło o performans z tatką) i „rehabilitacji nazizmu” (tu poszło o całą serię „Białoruski opór”, na których to obrazach są też inni antysowieccy partyzanci). Dostał pięć lat. Najpierw trafił do kolonii karnej nr 22 zwanej „Wilcze nory” (siedzą tam polityczni), a potem do więzienia nr 1 w Grodnie; schudł tam 20 kilo.

10 lipca trafił nieprzytomny do szpitala. Zmarł dzień później – na zapalenie otrzewnej i sepsę, wywołaną nieleczonymi w więzieniu wrzodami żołądka. Do trumny ubrano go w białoruską wyszywankę.

Puszkin nie jest pierwszym więźniem, który zmarł za kratami. W maju w Witebsku umarł bloger Mikołaj Klimowicz, uwięziony za karykaturę Łukaszenki, a w 2021 r. zmarł aktywista z Lidy Witold Aszurak.

Na Białorusi jest dziś co najmniej 1479 więźniów politycznych. ©

Autor jest dziennikarzem Bielsatu, prowadzi podcast „Po prostu Wschód”.

Blacharze z Safakisu

PAWEŁ BRAVO

Tunezja wystąpi w roli europejskiej straży granicznej. To kolejna z umów, którymi Unia chce ograniczyć imigrację przez Morze Śródziemne.

900 MILIONÓW EURO POŻYCZKI NA podtrzymanie niewydolnych finansów Tunezji – to kwota docelowa i uzależniona od tego, czy jej prezydent (a właściwie coraz bardziej dyktator) Kais Sajed ugnie się przed wymogami Międzynarodowego Funduszu Walutowego, który z kolei uzależnia swoją pomoc od paru reform, np. cięć posad w budżetówce i w dotacjach do cen żywności. Dopiero wtedy, ewentualnie, Bruksela dołączy swój czek. Ale „team Europe” – nieformalna, niemająca podstaw w żadnym paragrafie unijnych traktatów grupa zadaniowa, złożona z włoskiej premier Giorgii Meloni, ustępującego premiera Holandii Marka Ruttego i szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen – podczas wizyty w Tunisie zadeklarował też jakieś „drobne” pieniądze od razu.

105 MILIONÓW EURO ma pójść więc na wsparcie tunezyjskiej straży przybrzeżnej. Czyli na lepszy sprzęt do wylapywania migrantów, którzy coraz liczniej wypływają z portu w Safakisie w stronę Malty albo włoskiej Lampedusy, oddalonej zaledwie o parę godzin. W tym roku większość z ponad 70 tys. ludzi, którzy pokonali tę drogę, wyruszyła właśnie z Tunezji, a nie, jak w poprzednich latach, z Libii.

Skądinąd Libia od dłuższego czasu jest dofinansowywana przez Włochy i zbiórowo przez Unię w tym zakresie – mimo udokumentowanych praktyk brutalnego traktowania i prześladowania przybyszów z Sahelu. Organizacje humanitarne i instytucje międzynarodowe zajmujące się migrantami od dawna zgłaszały, że „pomoc” dla libijskich pograniczników to *outsourcing* brudnej roboty, której nie wypada wykonywać unijnej agencji Frontex.

Teraz czeka nas powtórka tego modelu w Tunezji, gdzie Sajed jakiś czas temu rozpętał kampanię nienawiści przeciw czar-



Od lewej: Giorgia Meloni, Ursula von der Leyen i Mark Rutte podczas spotkania z prezydentem Tunezji Kaisem Sajedem. Tunis, 16 lipca 2023 r.

nym Afrykanom – mówił o „hordach nielegalnych migrantów”, którzy napływają do Tunezji, by „zmienić demograficzny skład kraju” i zniszczyć jego arabsko-islamską tożsamość. Ostatnio kazał na pokaz wywieźć paręset osób na pustynię pod algierską granicę bez wody i żywności.

DODATKOWE 150 MILIONÓW „team Europe” wyasygnował na bezpośrednią pomoc dla budżetu Tunezji i projekty w sferze energetyki odnawialnej (w dalekich planach jest elektrownia słoneczna na pustyni, która podmorskim kablem zasili Włochy), edukacji oraz – żeby dopełnić absurdalności sytuacji – „lepszyc kontaktów między narodami”. To jednak tylko zasłona dymna, spowijająca fakt, że chodzi znów o awaryjną próbę zamykania kolej-

nej trasy migracyjnej. Choć Sajed gromko oświadczył, że Tunezja nie będzie robić za straż graniczną dla Europy, Europa tego dokładnie oczekuje – obiecane kwoty to tylko początek targu.

Osobliwy format polityczny, w jakim Unia zawiozła do Tunisu to memorandum (była to druga wizyta „teamu” w Tunisie w ciągu miesiąca, a w przypadku Meloni już trzecia), to też zasłona dymna – tym razem na użytek włoskiej opinii publicznej. Fakt, że tak ważne figury (gdy zaczął się cały proces, Rutte był jeszcze przed swoją dymisją) pomagają włoskiej premier w załatwieniu awaryjnej sytuacji z migrantami, która faktycznie trapi Włochy, miał służyć Meloni w zamaskowaniu faktu, że przez prawie rok od objęcia rządów nic konkretnego w kwestii zmian w polityce migracyjnej Unii „nie dowiozła”.

USTALENIA OSTATNIEGO SZCZYTU Rady Europejskiej – w Polsce przedstawiane jako radykalne – w istocie nic w fatalnym dla Włoch *status quo* nie zmieniają. Jednak Meloni musi pokazać wyborcom pozory skuteczności i szacunku dla problemów Włoch ze strony Unii. Uzyskała to, jak twierdzi włoska prasa, także za cenę ustępstw, a raczej rezygnacji jej rządu z postulatu istotnej reformy unijnego paktu stabilności i wzrostu. O możliwości poważnego poluzowania dyscypliny budżetowej w strefie euro było głośno, gdy w obliczu pandemii Bruksela zgadzała się na liczne wyjątki. Ale teraz, jak się wydaje, głównie pod wpływem twardego stanowiska Niemiec, pomysły idą do kosza.

GIORGIA MELONI dostała więc pompatyczne opakowaną prowizorkę w kwestii łodzi płynących przez Morze Śródziemne, zespawanych byle jak z blachy (skądinąd ich produkcja jest ważnym sektorem gospodarki w Safakisie). Tyle że okraszona pozorami solidarności europejskiej. Ale od czasów podobnej w gruncie rzeczy „pomocy” dla Turcji, wynegocjowanej przez Angelę Merkel w 2016 r. (umowa unijno-turecka zakładała, że Ankara zatrzyma u siebie migrantów w zamian za kilka miliardów euro), nic trwalszego w tej materii nie udało się uzyskać. Może więc działania włoskiej premier są całkiem pragmatyczne.

Podobne umowy Unia może zawrzeć także z Egiptem i Algierią. ©



JOHN FROSCHAUER / AP / EAST NEWS

Demonstracje przeciwników i zwolenników ustawy zakazującej dyskryminacji kastowej w Seattle, luty 2023 r.

Inżynier gorszy od małpy

MARTA ZDZIEBORSKA

W Kalifornii trwa bój o przepisy zakazujące dyskryminacji kastowej. To walka „na noże” – tak jakby nie toczyła się w USA, lecz podzielonych społecznie Indiach.

RAM KUMAR, INDYJSKI INŻYNIER Z SAN FRANCISCO, nie zapomni tamtych maili. Był październik zeszłego roku, gdy dostał serię wiadomości. Przeczytał w nich, że nie ma sensu zatrudniać w Ameryce takich jak on. Anonimowy nadawca tłumaczył, że dalci, czyli osoby wykluczone z indyjskiego systemu ka-

stowego, są mniej przydatni w pracy niż małpy z dżungli. W innym mailu nawoływano do deportacji z USA Hindusów uważanych za gorzej urodzonych i do niezaliczania egzaminów tym, którzy mimo niskiej pozycji w hierarchii kastowej dostali się na amerykańskie studia.

Adresaci takich wiadomości – indyjscy inżynierowie z Doliny Krzemowej i profesorowie z kalifornijskich uczelni – na hejt nie zareagowali publicznie. Jak mówi Ram, z pochodzenia dalit, tylko nieliczni odpowiedzieli na wiadomości, prosząc jedynie, by wyrzucić ich z listy odbiorców maili.

Pierwszy stan w USA

Do incydentu doszło kilka miesięcy przed tym, jak kalifornijski Senat – izba wyższa stanowego parlamentu – przyjął projekt ustawy zakazującej dyskryminacji o podłożu kastowym. Jeśli wejdzie ona w życie – dziś czeka ją jeszcze zatwierdzenie w izbie niższej i podpis gubernatora stanu – Kalifornia będzie pierwszym stanem w USA, który wprowadzi takie regulacje. Dotąd zakaz dyskryminacji kastowej udało się przeforsować tylko w Seattle, stolicy stanu Waszyngton, a także na kilku uczelniach, m.in. na

23 kampusach Uniwersytetu Stanowego Kalifornii, Uniwersytecie Harvarda i Uniwersytecie Brandeisa w Massachusetts.

Zwolennicy kalifornijskiej ustawy, w tym Ram Kumar – po godzinach szefujący organizacji Ambedkar International Center (wspiera „gorzej urodzonych” Hindusów) – uważają, że jest ona szansą na walkę z systemem kastowym.

Przeciwnicy, w tym amerykańskie stowarzyszenia powiązane z indyjską prawicą, argumentują, że przepisy stawiają w złym świetle imigrantów z Indii oraz z innych krajów Azji Południowej, a nawet, że mogą doprowadzić do ich dyskryminacji w USA.

Na dole hierarchii

Tymczasem „gorzej urodzeni” Hindusi już dziś mogą doświadczyć w USA złego traktowania. Z badania prowadzonego w 2018 r. przez kalifornijską organizację Equality Labs wynika, że co czwarty z ankietowanych dalitów (próba wynosiła 1,5 tys. osób) doznał w USA przemocy werbalnej lub fizycznej. Dwie trzecie deklaroowało, że doświadczyli gorszego traktowania w pracy. Co trzeci badany student-dalit był dyskryminowany na uczelni.



→ Okazuje się, że nawet tysiące kilometrów od Indii tamtejszy podział na cztery kasty jest bezlitosny: na górze hierarchii są bramini (kapłani), uważający się za wybrańców Boga i stanowiący dziś większość żyjących w USA Hindusów. Dalej są kszatrijowie (kasta wojowników), wajsjowie (kasta kupców) i śudrowie (kasta służących). Na końcu dalitowie, bezkastowi, którzy przez wieki predystynowani byli do wykonywania najgorszych zawodów, jak rzeźnik czy śmieciarz.

Według restrykcyjnych zasad hinduizmu dalici mieszkali na obrzeżach wiosek, nie mieli prawa wstępu do świątyni ani korzystania z okolicznych studni. Członkowie wyższych kast nie powinni spożywać przygotowanych przez nich posiłków ani w jakikolwiek sposób wchodzić z nimi w interakcje.

Czy nosisz świętą nić?

Ram Kumar mówi „Tygodnikowi”, że Indie opuścił właśnie z powodu dyskryminacji kastowej. Jako dalit ze stanu Uttar Pradeś od dzieciństwa słyszał, że jest gorszy. Wiele razy wyrzucano go ze szkolnego autobusu, bo nie mógł siedzieć obok uczniów z wyższych kast. Już po tym, jak dostał się na studia w New Delhi, przez krótki czas był bezdomny – władze akademika uznały, że nie chcą dalita.

Ram miał dość upokorzeń i jako świeżo upieczony inżynier postarał się o pracę w Stanach. Zatrudnił się w firmie technologicznej w Dolinie Krzemowej – amerykańskim zagłębiu innowacyjnym w Kalifornii. Przeszedł też na buddyzm, by uwolnić się od systemu kastowego. Ale i to nie pomogło.

– Moich indyjskich kolegów z pracy nie przekonywał argument, że nie jestem już wyznawcą hinduizmu, i z uporem dopytywali, do jakiej kasty należę. Gdy nie chciałem odpowiedzieć, szukali sposobów: pytali, czy jestem wegetarianinem, z jakiej części Uttar Pradeś pochodzę, czy noszę świętą nić zarezerwowaną dla mężczyzn z kasty braminów – wspomina Ram. Jak wielu gorzej urodzonym Hindusom, nadal towarzyszy mu strach, że informacja o pochodzeniu kastowym zaszkodzi mu w karierze.

– Znam historię inżyniera, który po wyjawieniu indyjskiemu menedżerowi, że jest dalitem, został oddelegowany z powrotem do Indii. Inni dostają gorsze projekty albo zakazuje im się uczestniczenia

w ważnych zebraniach. Boimy się też opinii kolegów, którzy mają wpływ na wynik okresowej oceny pracowniczej i dalsze awanse – tłumaczy Ram.

Miedzy nami Hindusami

W trakcie ponad 20-letniej pracy w USA strategią Rama było omijanie szerokim łukiem firm, w których pracuje dużo Hindusów. – Wiem, że prędzej czy później może to prowadzić do problemów – tłumaczy dziś.

O tym, że Dolina Krzemowa nie jest wolna od dyskryminacji o podłożu kastowym, głośno zrobiło się w Stanach w 2020 r. A to za sprawą pozwu przeciw koncernowi informatycznemu Cisco, którego inżynier, będący dalitem, miał dostawać niższą pensję niż reszta zespołu i był gorzej traktowany przez przełożonych należących do wyższej kasty. Inżynier dowodził w pozwie, że gdy sprzeciwił się takim warunkom pracy, za karę przeniesiono go na niższe stanowisko, był izolowany od reszty zespołu i zarzucano go zadaniami z góry niemożliwymi do wykonania.

Na fali burzy wokół koncernu Cisco, wobec którego trwa jeszcze proces, głos zabrała grupa 30 inżynierek-dalitek z Doliny Krzemowej. We wspólnym anonimowym oświadczeniu opublikowanym w „Washington Post” wyznały, że przynależność kastowa kandydatów miewa decydujące znaczenie w rekrutacji do firm, w których przełożonymi są Hindusy.

Kobiety pisały też o niewybrednych żartach na temat dalitów i indyjskiej polityki afirmatywnej, dzięki której bezkastowi uczniowie w Indiach od 1950 r. mogą korzystać ze stypendiów szkolnych i preferencyjnych zasad rekrutacji na uczelnie. W ramach walki z systemem kastowym, który doprowadził do przepaści rozwojowych, indyjskie uniwersytety powinny zagwarantować niemal 50 proc. miejsc dla dalitów, a także dla członków innych niższych kast i plemion. Miejsca dla gorzej urodzonych rezerwowane są także w administracji publicznej na poziomie centralnym i lokalnym.

Oficjalnie od ponad 70 lat dyskryminacja o podłożu kastowym jest w Indiach zakazana.

Dalit na Harvardzie

Kanishka Elupula mówi „Tygodnikowi” wprost, że nie zaszedłby daleko, gdyby nie indyjska polityka afirmatywna.

Dziś doktorant na Uniwersytecie Harvarda, jako uczeń podstawówki w rodzimym stanie Telangana wysłuchiwał od nauczycieli, że jako niedotykalny powinien pracować w polu. Ale się nie poddawał. Po zakończeniu podstawówki i liceum, do których dostał się tylko dzięki stypendium dla niedotykalnych, zdał na prestiżową uczelnię w New Delhi, a potem skorzystał z amerykańskiego stypendium dla doktorantów na Harvardzie.

Jak tłumaczy, wielu ze studiujących tu Hindusów nawet nie zakłada, że rozmawiają z dalitem. Kanishka sam nie pali się do mówienia o swoim pochodzeniu, chyba że w trakcie dyskusji pada pytanie o jego kaste.

Potem już nigdy nie jest tak samo. – Rozmowy stają się niezręczne i niektórzy zaczynają mnie unikać – tłumaczy Kanishka, podkreślając, że dyskryminacja, jakiej doświadcza, ma subtelny charakter. – Ludzie pochodzący z indyjskich elit, a tacy trafiają na Harvarda, nie powiedzą mi, że są lepsi, bo pochodzą z kasty braminów. Będą za to podkreślać, że są z dobrze wykształconej rodziny, gdzie panują nieskazitelne maniere i kultuwuje się tradycję.

– Pamiętam, jak jedna ze studentek opowiadała amerykańskiemu znajomym, że w każdym domu w Indiach podczas świąt religijnych czyta się poezję. To pokazuje, jak odrealnieni są ci ludzie – twierdzi Kanishka.

Długi cień Indii

Kanishkę denerwuje, że większość znanych mu Hindusów na Harvardzie jest przeciwnych polityce afirmatywnej. Ich zdaniem wzmacnia ona, a nie zmniejsza podziały w indyjskim społeczeństwie.

– Doszło do takiego absurdu, że wyższe kasty są przekonane, iż to niedotykalni odbierają im przywileje i odzierają ze statusu, na który bramini rzekomo ciężko zapracowali – twierdzi Kanishka, dodając, że wśród indyjskich studentów nie brakuje zwolenników premiera Indii Narendra Modiego, za którego rządów wyjątkowo dobrze ma się ideologia hinduizmu, nawołująca do zwalczania obcych religii i filozofii powstałych poza subkontynentem indyjskim.

Odkąd Modi został premierem, w siłę rosną bojówki hinduskich nacjonalistów. Atakują nie tylko muzułmanów (będących dziś w Indiach wrogiem nu-

mer jeden), ale też aktywistów wywodzących się z najniższych kast. W czerwcu głośno było o śmierci 22-letniego dalita ze stanu Maharasztra, który został zażgany nożem za to, że publicznie świętował rocznicę urodzin Bhimrao Ambedkara, współtwórcy indyjskiej konstytucji i działacza na rzecz niedotykalnych.

Według organizacji Human Rights Watch dalitki znacznie częściej niż kobiety z wyższych kast padają ofiarą gwałtu lub są zmuszane do prostytucji. Niedotykalni są też łatwym łupem dla policji: funkcjonariusze mają nadużywać władzy, aresztując ich, bijąc, a niekiedy wyłudzać pieniądze w zamian za wypuszczenie na wolność.

„To atak na dzieci i młodzież”

Teraz, gdy w Kalifornii waga się losy przepisów zakazujących dyskryminacji kastowej, hejt uderza w autorkę tej ustawy – senatorkę Aishę Wabab. Senatorka, która reprezentuje dystrykt zamieszkały przez liczną diasporę z Azji Południowej, dostaje telefoniczne pogróżki i nienawistne maile, a pod jej biurem senatorskim protestowali aktywiści z organizacji Coalition of Hindus of North America.

Najgłośniej przeciw ustawie występują stowarzyszenia powiązane z indyjską prawicą. Ajay Shah, lider koalicji Hindu PACT USA (działającej w ramach amerykańskiego oddziału ekstremistycznej organizacji Vishwa Hindu Parishad), twierdzi, że ustawa „atakuję indyjskie dzieci i młodzież pragnącą praktykować hinduizm”.

Z kolei stowarzyszenie Hindu American Foundation – znane z lobbingu przeciw amerykańskim ustawom godzącym w interesy Indii – argumentuje, że nie ma potrzeby reformowania przepisów antydyskryminacyjnych w Kalifornii. Przekonuje, że w przypadku nadużyć o podłożu kastowym wystarczy tak jak do tej pory sięgnąć po ustawę o prawach obywatelskich, która zakazuje m.in. gorszego traktowania z uwagi na pochodzenie.

Wpływy indyjskiego lobby

Na taką argumentację wścieka się Ram Kumar, który uważa, że indyjskie lobby po części dopięło już swego: na początku lipca komisja sprawiedliwości izby niższej parlamentu Kalifornii zatwierdziła projekt ustawy, ale w zmienionej wersji. Według tej nowej kasta nie będzie odrębną kategorią na liście chronionej



RAM KUMAR zna wielu Hindusów, którzy w USA zmienili nazwisko, jeśli wskazywało, że są dalitami.



KANISHKA ELUPULA skorzystał z amerykańskiego stypendium dla doktorantów na Harvardzie.

przez ustawę o prawach obywatelskich – obok rasy, płci, religii, orientacji seksualnej czy pochodzenia – lecz subkategorią w ramach tej ostatniej. Zwolennicy reformy w pierwotnej wersji twierdzą, że taka zmiana osłabia zamierzony efekt i chcą, by zakaz dyskryminacji kastowej miał pełnoprawne miejsce w przepisach.

– Tak właśnie to się kończy, gdy politycy Partii Demokratycznej idą na ustępstwa – denerwuje się również Kshama Sawant, radna z Seattle, która kilka miesięcy wcześniej przełamała zakaz dyskryminacji kastowej w tym mieście. Także w jej przypadku nie obyło się bez burzliwej debaty i hejtu ze strony Hindu American Foundation czy HinduPACT USA.

W rozmowie z „Tygodnikiem” Kshama Sawant (polityczka z partii Socialist Alternative) przekonuje, że takie organizacje jak Vishwa Hindu Parishad mają w Stanach zbyt duże wpływy. – To dla mnie niepojęte, że w naszym kraju prężnie działa organizacja, której członkowie zagrzewali do pogromu muzułmanów w Gujaracie – zaznacza Sawant, odnosząc się do zamieszek z 2002 r., podczas których na oczach biernych policjantów zginęło ponad tysiąc osób, głównie muzułmanów. Do ma-

sakry doszło w indyjskim stanie rządzonym wówczas przez Narendrę Modiego.

Gdy pod koniec czerwca Modi był goszczony przez Joea Bidena w Waszyngtonie, prezydent starał się unikać trudnych tematów – znaczenie Indii w świecie rośnie i są pożądanym partnerem.

Złe nazwisko

Kshama Sawant spekuluje, że to nie przypadek, iż zmienianie projektu ustawy w części dotyczącej dyskryminacji kastowej zbiegło się z wizytą Modiego w USA. Akurat 20 czerwca, czyli w dniu, w którym indyjski premier wyładował w Stanach, kalifornijscy parlamentarzyści Evan Low i Alex Lee zaproponowali, by zawiesić prace nad legislacją i przeprowadzić najpierw głębsze badania nad skalą dyskryminacji o podłożu kastowym w Ameryce.

– Polityków nie przekonuje najwyraźniej to, że o swoich trudnych doświadczeniach w USA przed kalifornijskim Senatem zeznawało ponad stu dalitów – mówi z przekąsem Ram Kumar, odnosząc się do kwietniowych przesłuchań przed senacką komisją sprawiedliwości.

Ram był obecny na sali. Usłyszał wtedy m.in. historię indyjskiej inżynierki, która została spoliczkowana, bo nie zgadzała się ze swoim przełożonym z wyższej kasty. Inna opowiadała, jak znajomi ze studiów nie chcieli mieszkać z nią w akademiku, bo dowiedzieli się, że je mięso, co przypisywane jest Hindusom z niższych kast.

Nie trzeba zresztą daleko szukać. Nepalczyk Prem Pariyar, jeden z najbardziej znanych orędowników ustawy, po przeprowadzce do Kalifornii miał zakaz spania w tym samym pokoju co nepalscy współlokatorzy z lepszej kasty. Zła karma prześladowała go nawet na uczelni California State University East Bay – podczas imprezy studenckiej azjatyccy koledzy poprosili go, by nie nakładał sobie sam jedzenia, bo jako dalit może je zanieczyścić.

– Prem podpadł kolegom, bo już po nazwisku można było poznać, że jest dalitem – mówi Ram Kumar. – Znam wielu Hindusów, którzy po przyjeździe do Stanów zmieniali nazwisko, by uniknąć tu problemów. Nie tak powinna wyglądać amerykańska wolność.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.

ROZMOWY Z NIEOBECNYMI

Zostało ich około pięciuset. Spośród tych powstańców warszawskich, których poznałam w mojej dziennikarskiej pracy, nie żyje już prawie nikt. To opowieść o nich.

PATRYCJA BUKALSKA

ILU WAS ZOSTAŁO, Z TWOJEGO ODDZIAŁU – zapytałam przed sześciu laty Annę Jakubowską, pseudonim „Paulinka”, rocznik 1927.

– Takich, którzy fizycznie mogą wziąć udział w obchodach 1 sierpnia, może cztery-pięć osób. Żyje trochę więcej, ale są już w złym stanie – odpowiedziała.

– Wydawać by się mogło, że powinno nas być więcej – zastanowiła się – skoro nasz batalion „Zośka” oparty był na członkach Szarych Szeregów, podziemnego harcerstwa, ludziach bardzo młodych. Co więcej, by dostać się do oddziału, nie raz zawyżali oni swój wiek.

Anna Jakubowska – w powstaniu 17-letnia sanitariuszka batalionu AK „Zośka”, po wojnie skazana przez komunistów za przynależność do AK (sędziła w więzieniach ponad 5 lat) – zmarła w lipcu 2022 r. To druga rocznica bez niej. Z jej batalionu, który na początku walk liczył 350 mężczyzn i kobiet, żyje dziś siedmioro.

Najmłodsi powstańcy, którzy w sierpniu i wrześniu 1944 r. uczestniczyli w bitwie o Warszawę jako mniej więcej 14- czy 15-latkowie, dziś mają prawie 95 lat lub więcej. Ich wspomnienia zostały utrwalone przez Muzeum Powstania Warszawskiego, napisano o nich książki. Wciąż organizowane są spotkania: ci, którym siły pozwalają, wypełniają swoje ostatnie zadanie – przekazywania, tłumaczenia

opowieści o powstaniu i swoich towarzyszach.

Według informacji Muzeum Powstania Warszawskiego zostało ich już tylko 526 (stan na 19 lipca), z tego trzystu w Warszawie. W obchodach udział weźmie może kilkudziesięciu.

Mur na Towarowej

Lipcowy niedzielny wieczór. Na Woli ruch jest mniejszy niż w tygodniu, ale i tak samochody oraz tramwaje co chwila przesłaniają betonowy słup i resztkę ceglanego muru na pasie zieleni między jezdniami przy ulicy Towarowej. Znak Polski Walczącej, widoczny z jednej strony słupa, wskazuje, że nie znalazł się tu przypadkiem.

„Tu wzdłuż torów ogrodzenia dawnego dworca towarowego, którego fragmentem jest ocalały słup bramy przy torach, oddziały zgrupowania Armii Krajowej »Chrobry II« przez 63 dni powstania toczyły zawzięty bój z najeźdźcą o arterię ulicy Towarowej w obronie Śródmieścia Północ” – mówi napis na glazie na chodniku przy rogu z ulicą Srebrną.

Umiejscowienie resztek bramy pokazuje, o ile węższa była wtedy Towarowa i jak niewielka odległość dzieliła powstańców od Niemców. Tę okolicę zwano „Żelaznym Frontem” – powstańcy utrzymali ją do końca.

„Baca” i „Biały”

O tym opowiadali mi Kazimierz Czasza „Baca” i Stanisław Szymański „Biały”, przyjaciele z ulicy Rybaki. Gdy razem szli do powstania, pierwszy miał 15, a drugi 16 lat. Na ulicy Towarowej stoczyli 1 sierpnia swój pierwszy bój. „Biały” został lekko ranny, a „Baca” był odcięty w płonącym budynku. Przeżyli, okrzepli, byli tu do końca. Chłopcy z Rybaków.

W ten niedzielny wieczór, gdy miasto oddycha po lipcowym upale, w szklanym biurówcu po drugiej stronie ulicy odbijają się różowe chmury. Tramwaj turkocze, życie idzie naprzód. Trudno tu wyobrazić sobie chaos pierwszego dnia powstania, który wyłaniał się z ich opowieści.

„W imię Boga, zaczynamy” – powiedział o godzinie 16.45 (zapamiętałem to) ich dowódca, porucznik Władysław Mizielski „Piotr”. Miał 25 lat, jego podkomendni mniej.

We wrześniu z kolei to „Baca” został ranny, odłamki zgruchotały mu nos. „Biały” opowiadał mi, że gdy przyjaciel palił papierosa, spod bandażu wydobywał się dym.

Na to „Baca” dodał ze śmiechem, że któryś z przełożonych – a może był to lekarz, tego już nie pamiętam – zwrócił mu uwagę: „Czy ty nie jesteś aby za młody na papierosa?”. „A na strzelanie nie jestem?” – odparł „Baca”.



Grupa powstańców z batalionu „Zośka” na Starówce. Drugi z lewej por. Bolesław Górecki „Śnica”, trzecia z lewej sanitariuszka Danuta Mancewicz „Danusia”; drugi z prawej kpr. pchor. Jan Myszkowski-Bagiński „Bajan”. U dołu kadru plut. pchor. Czesław Kraśniewski „Kryst”. Warszawa, druga połowa sierpnia 1944 r.

Także potem towarzyszyli sobie w życiu. Nawet umarli blisko siebie: „Baca” w maju 2012 r., „Biały” dziewięć miesięcy później.

Przedarta kartka

Mój obraz powstania kształtowały nie książki, lecz ludzie, z którymi rozmawiałam.

Pierwsza była Zofia Łazor „Zojda” z batalionu „Parasol” (rocznik 1928). Rozmowa z nią sprawiła, że inaczej zaczęłam patrzeć na Warszawę, do której niewiele wcześniej się przeprowadziłam. Dostałam od niej zapisaną na maszynie kartkę z listą nazwisk i numerami telefonów. – Jeśli chcesz pisać o powstaniu, powinąś się z nimi spotkać – usłyszałam.

Było to ponad 20 lat temu. Kartkę mam nadal; od składania i rozkładania przedarła się.

Jedną z moich pierwszych rozmówczyń z listy była Elżbieta Dziebowska „Dewajtis”: rocznik 1929, w lutym 1944 r. uczestniczka zamachu na Franza

Kutscherę (szefa SS i policji w dystrykcie warszawskim), w powstaniu łączniczka, po wojnie muzykolożka.

Potem kolejne osoby: Jadwiga Bielewszowa „Waligóra”, Jerzy Bartnik „Magik”, Tadeusz Chojko „Bolec” i inni. Lista się wydłużała, bo już sama dopisywałam nazwiska, a kolejne spotkania prowadziły do następnych. Jeszcze mogłam z nimi rozmawiać i rozmawiałam zachłannie, notując, a przede wszystkim starając się zrozumieć, co się stało w sierpniu i wrześniu 1944 r. – Takie były okoliczności. Proszę mi wierzyć, to było zupełnie zwyczajne – mówiła „Dewajtis”. Nie, to nie było zwyczajne, co do tego nie zdołałam mnie przekonać.

A potem – potem „moi” powstańcy zaczęli odchodzić. Niektóre rozmowy pozostały nieukończone. Inne ciągnęły się przez wiele spotkań, wychodząc poza pytania o powstanie. Podczas każdej odano mi coraz bardziej cenny czas, uczucia, część życia.

W czerwcu i lipcu 2023 r. dzwonię do dawnych rozmówczyń i rozmówców. Chcę tylko zapytać, jak się czują. „Halo? Przepraszam, tak mi przykro, ale ja nie słyszę” – ktoś podnosi słuchawkę. Postanawiam, że napiszę list. Gdzie indziej udaje mi się porozmawiać z córką. Pod kolejnymi numerami nikt już nie odpowie.

Wciąż te same miejsca

Jeden z moich pierwszych tekstów o powstaniu, zamieszczony w „Tygodniku” na 60. rocznicę w 2004 r., nosił tytuł „Miejsca”. Miejsca ważne w przebiegu tamtych walk, ale przede wszystkim miejsca szczególne dla moich ówczesnych rozmówców. Takie, w których stało się coś, o czym nie mogą i nie chcą zapomnieć. →

→ Opowiedzieli mi wtedy: Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf” o pałacyku Michła, Jerzy Bartnik „Magik” o barykadzie na ulicy Ślepej, Danuta Mancewicz „Danuta” o ogrodzie Saskim, Tadeusz Chojko „Bolec” o pałacu Krasieńskich, Jadwiga Bieleśzowa „Waligóra” o kanałach, a także wspomniani już „Baca” i „Biały” o ulicy Towarowej.

Wszyscy oni już odeszli. Wracam do ich opowieści i do tamtych miejsc.

„Gryf” z „pałacyku”

„Pałacyk Michła, Żytnia, Wola / Bronią jej chłopcy od »Parasola«” – słowa tej chyba najpopularniejszej powstańczej piosenki napisał Józef Szczepański „Ziutek”, żołnierz batalionu „Parasol”, właśnie w owym „pałacyku”. W rzeczywistości była to duża kamienica Karola Michlera, właściciela także pobliskich młynów i makaroniarni.

To były pierwsze dni powstania. Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf”, rocznik 1920, żołnierz już z doświadczeniem kampanii wrześniowej i potem pracy w wywiadzie AK oraz walk partyzanckich, podczas rekonesansu zobaczył przy ulicy Wolskiej dom z solidną żelazną bramą i tylnym wyjściem na teren młynów.

Pomyślał, że to znakomite miejsce na zasadzkę: aby uderzyć na powstańczą barykadę przy Młynarskiej, niemieckie oddziały musiały minąć tę kamienicę. Przekonał dowództwo, wziął 27 żołnierzy i zasadził się w „pałacyku” na Niemców.

Do pierwszego starcia doszło o świcie 5 sierpnia.

Dzień wcześniej, wieczorem, w salonie spotkali się chłopcy i dziewczyny z oddziału „Gryfa” i przyjaciele z innych jednostek. Było wino i rozmowy, wiara w przyszłość i nadzieja, nie – pewność zwycięstwa. To wtedy „Ziutek” napisał tekst swojej piosenki.

Kamień przy Wolskiej

„Gryf” tak opowiadał mi o tamtym wieczorze: – We wspaniałej atmosferze mieliśmy jedyną okazję, by porozmawiać. Snuły się opowieści o partyzantce, latach w harcerstwie, młodości, przeżyciach, o planach na przyszłość. Szczepański siedział przy fortepianie Bernstein. Mogłem porozmawiać z Krysia Wańkowiczówną „Anną”, córką Melchiora, łączniczką. Robiła notatki w notesie, chciała zostać dziennikarką.



Stanowisko przy ul. Marszałkowskiej 150, z lewej Jerzy Bartnik „Magik”, wrzesień 1944 r.



Anna Jakubowska
„Paulinka”



Elżbieta Dziębowska
„Dewajtis”



Jadwiga Bieleśzowa
„Waligóra”



Janusz Brochwicz-Lewiński
„Gryf”



Kazimierz Czasza
„Baca”



Stanisław Szymański
„Biały”

Następny dzień przyniósł serię niemieckich natarć, które oddział „Gryfa” odparł. Każde kolejne było jednak silniejsze, Niemcy ściągnęli czołgi. W końcu widząc, że grozi mu odcięcie, „Gryf” wycofuje swój oddział z „pałacyku”. Budynek zostaje całkowicie zniszczony. Po wojnie go nie odbudowano, zamiast niego pojawiły się bloki mieszkalne.

Dzisiaj to ruchliwy punkt Woli: przecinają się tu linie tramwajowe, przy Wol-

skiej gęsto parkują auta, w małych pawilonach handlowych ulokował się sklep z wędlinami, piekarnia, lombard i warzywniak. Są bary z kuchnią nepalską i wietnamską, kebab i pizza. Wysokie drzewa rzucają cień na pasaż między blokami a sklepikami.

Lubię to miejsce, może dlatego, że kiedyś moje dzieci chodziły do pobliskiego przedszkola i często wtedy przechodziłam, a odbierając je, robiłam tam zakupy.

W codziennym pośpiechu nie myślałam, co działo się tu kilkadziesiąt lat wcześniej. Teraz znajduję ślad: w miejscu, gdzie toczyły się walki o kamienicę Michlera, jest wielki kamień pamiątkowy. Ktoś ustawił przed nim znicz.

Wandzie

Podwórkami za pawilonami przechodzę do sąsiedniej ulicy Działdowskiej. Na ścianie budynku tablica informuje, że spalono tu zwłoki 600 Polaków. Wcześniej nieokreśloną liczbę w tym miejscu zamordowano. Data 5 sierpnia 1944 r. to nie tylko obrona „pałacyku”, to także początek mordów na cywilach, rzezi Woli, w której zginęło może 40 tys. ludzi, może więcej.

Skwer, przez który przechodzę, nosi imię Wandy Lurie, która przeżyła zbiorową egzekucję, będąc w zaawansowanej ciąży. Troje jej dzieci zginęło, ona została ranna i zdołała wydostać się spod ciał zabitych. 20 sierpnia 1944 r. urodziła syna.

Na skwerze jest plac zabaw, ścianka wspinaczkowa, plenerowa siłownia. Paru chłopców ściga się na hulajnogach. Przystają na ścieżce i omawiają z przejęciem jakąś ważną sprawę.

Nieco dalej na ścianie namalowano mural kobiety z dzieckiem wśród kwiatów. Napis: „Wandzie”.

Wanda Lurie zmarła w 1989 r., nazywa się ją polską Niobe.

Jest coś poruszającego w tym skwerku, blisko żłobka i przedszkola. Obecność dzieci i miejsce zabaw odsuwają grozę tego, co tu się stało, cierpienia, które wsiąkło w ziemię i mury.

Mijam pobliski budynek warszawskiej żydowskiej szkoły Lauder-Morasha. Przed wojną mieścił się tu Dom Starców Moszaw Zkenim. Potężny czteropiętrowy budynek – część tzw. kolonii Wawelberga, finansisty i filantropa – ocalał. Kiedyś mieszkali tu seniorzy, głównie z żydowskiej inteligencji, teraz wypełniają go dzieci. W swoim hymnie szkoła ma sentencję z Talmudu: „Oddech dzieci spieszących do szkoły podtrzymuje świat”.

Powtarzam w myśli to zdanie. Daje nadzieję wśród śladów tego, co stało się tu 79 lat temu.

Bój wśród aniołów

Po wycofaniu się z „pałacyku” oddział „Gryfa” przesunięto na róg Młynarskiej i Żytniej, blisko cmentarza ewangelickich. Idąc tam, przecinam ruchliwą ulicę

ANNA JAKUBOWSKA „PAULINKA”:

1 sierpnia zawsze będzie dla mnie symbolem tego, że w ludziach są siły zupełnie nieprzewidywalne.

Górczewską. Na pasie zieleni między jezdniami kolejna tablica: „Tu 5 sierpnia 1944 hitlerowcy rozstrzelali i spalili około 2000 Polaków”. Takie tablice i brzoźowe krzyże są tu co krok.

Kiedy wchodzę na cmentarz przy ulicy Żytniej, ogrodzony murem i wypełniony gęstą zielenią, czuję spokój. Małe siewki klonu, bzy, paprocie, bluszcz – otaczają, otulają, oplatają nagrobki i pomniki. Na niektórych widać wgłębienia po kulach.

Cmentarze były miejscem zaciętych kilkudniowych walk od 6 sierpnia. Siły niemieckie, wzmocnione posiłkami, po pierwszym zaskoczeniu przystąpiły wtedy do natarcia, zmuszając oddziały powstańcze do powolnego odwrotu z Woli do Śródmieścia. Obszar miasta, który udało im się zająć na początku, będzie się odtąd systematycznie kurczyć.

O tamtych walkach opowiadało wielu powstańców. Mówili o gradzie kul, o fragmentach rozbijanych pociskami nagrobków, które uderzały rykoszetem. O tym, że w ciemnościach wzrok zawodził i czasem pomniki nagrobne i figury aniołów brali za ludzi.

Bardziej potrzebne

Tutaj była 15-letnia Zofia Łazor „Zojda”. „Te walki na cmentarzach były nieprawdopodobnie ciężkie. Tam już byłam bardziej sanitariuszką niż łączniczką, bo sanitariuszki były bardziej potrzebne” – wspominała w wywiadzie dla Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego.

I dalej: „Myśmy sobie założyły pierwszy punkt opatrunkowy w starym grobowcu. Był on nadbudowany, osłaniany przed odłamkami i konarami drzew, które spadały. Były metalowe trumny i zbierałyśmy rannych – jakąś ławkę postawiłyśmy na ukos i na tej ławce opuszczaliśmy do grobowca rannych. Tam można było ich bezpiecznie na tych metalowych trumnach opatrzyć i dopiero

potem, z tą ławką, ich wyciągałyśmy na nosze i wynosiłyśmy na fachowy punkt opatrunkowy. To było dosyć daleko, trzeba było przejść przez cały cmentarz, przez część ewangelicką, potem przez część cmentarza żydowskiego. Trudno sobie wyobrazić, jak ciężki jest chłopak, którego się niesie na noszach”.

Byli tam także „Ziutek” Szczepański i „Gryf”. Ten ostatni został ciężko ranny.

„Anna”

Wcześniej „Gryf” był świadkiem, jak pocisk uderza w grupę jego podwładnych, i jak umiera córka Melchiora Wańkowi-cza, Krysia, pseudonim „Anna”. Ta, która mówiła mu, że chce zostać dziennikarką.

„Gryf” opowiadał mi: – Przez kilka godzin kulili się pod ścianą cmentarza ewangelickiego pod ostrzałem. Byli ze sto metrów od nas. Widziałem, jak trafił ich granatnik. Pobiegłem tam, nic nie mogłem zrobić. Kiedy ciężko ranna „Anna” umarła, mogłem tylko przykryć ją moją panterką.

„Gryf”: – Pamiętam, w którym miejscu ich pochowaliśmy, ale nigdy nie udało się odnaleźć jej ciała. Rysowałem plany dla jej rodziny, ale już po wojnie, po ekshumacji, okazało się, że jej tam nie ma.

Nigdy nie udało się jej odnaleźć.

Nazwy, których nie ma

W czasie powstania ginęli ludzie, ginęły też ulice.

Nie odbudowano ulicy Rybaki, przy której mieszkali przyjaciele „Baca” i „Biały”, i nie tylko oni. „Cała nasza sekcja to była z jednej ulicy. [Przy] Rybaki 4 mieszkał Stasio Szymański, Rybaki 8 Edek Szwajczerowski, Rybaki 12 dwóch Leitholzów, Rybaki 17, no to nas było sześciu z jednego domu. Z tym że już później, jak byłem na wiadukcie [na Towarowej – red.], no to nas już tylko z całej tej grupy, którą zaczynaliśmy 1 sierpnia, to było tylko nas trzech” – wspominał „Baca” w wywiadzie dla Archiwum Historii Mówionej MPW.

Nie ma też ulicy Ślepej na Starym Mieście. Zniszczona, podczas odbudowy Warszawy zniknęła na dobre z planu miasta. Nie ma domów, bruku ani nazwy. Na starych zdjęciach widać, że była wąska, łatwiej było tu utrzymać barykadę. Łatwiej, ale to nie znaczy łatwo.

Jerzy Bartnik „Magik” (rocznik 1930) opowiadał mi, jak zbliżał się do niej niemiecki goliat – zdalnie sterowany (przy →



PATRYCJA BUKALSKA

Mural na skwerze Wandy Lurie na warszawskiej Woli, lipiec 2023 r.

→ pomocy kabla) pojazd opancerzony, wypełniony ładunkiem wybuchowym. Powstańcze butelki z benzyną były skuteczną bronią – choć trzeba było podejść blisko – ale tym razem goliata nie trafiły.

– Byłoby po nas, gdyby nie „Bosman”, który był tak silny, że strzelał z karabinu maszynowego na stojąco. Wyskoczyliśmy przed barykadę, złapałem kabel od goliaty, a „Bosman” przeciął go uderzeniem saperki – opowiadał mi. Odznaczono ich Virtuti Militari. 14-letni „Magik” był najmłodszym, który dostał ten order, przyznawany za wyjątkową odwagę.

„Danuta”

Gdy pierwszy raz spotkałam się z Danutą Mancewicz (rocznik 1922), rozmawiała niechętnie, jakby nie wierząc, że ktoś może zrozumieć doświadczenia jej i jej kolegów z „Kolegium A” Kedywu AK – oddziału, który od 1943 r. wykonywał specjalne akcje. Potem rozmawialiśmy częściej, u niej w domu na Żoliborzu.

Podczas tego pierwszego spotkania „Danuta” (miała taki pseudonim jak imię) opowiedziała mi o ogrodzie Saskim: o słynnym przebiegu się batalionu „Zośka” do Śródmieścia. Jako jedyny oddział zdołali wydostać się ze Starego Miasta nie kanałami, lecz górą. Brawurowa akcja – polegająca na tym, że „zośkowcy” przeszli przez pozycje Niemców nocą, udając oddział niemiecki (udało się, bo mieli

niemieckie mundury panterki i hełmy, zdobyte wcześniej w magazynach) – jest już dokładnie opisana.

„Danuta” opowiedziała mi jednak o szczegółach: o tym jak w kościele św. Antoniego, przez który przechodzili, znalazła porzucone przez kogoś surowe jajka. Zabrała je i potem, gdy czekali na zapadnięcie zmroku w wypalanej, wciąż gorącej piwnicy, dawała je kolegom do picia. Nie było nic innego, a czekać musieli 14 godzin. Szczegół, który pokazuje dramat sytuacji, determinację i poczucie odpowiedzialności za innych.

Pantofelek

W tamtym kościele „Danuta” zauważyła też coś jeszcze: – Wcześniej spędzono tam chyba cywilów, w głównej nawie było pełno porzuconych bagaży. Na środku leżał złoty pantofelek. Robiło to niesamowite wrażenie. Kto bierze takie buty na tułaczkę, tancerka czy szekspirowska Julia?

Danuta Mancewicz marzyła, by zostać aktorką, i po wojnie tak się stało, stąd może skojarzenie z Szekspirem. A może myślała o swojej starszej siostrze Halinie, która była tancerką? Halina także przeżyła powstanie, była w nim łączniczką.

Jej pytanie nie ma odpowiedzi, ale jest ważne – stanowi część opowieści o mieszkańcach miasta, o tym, kim byli i co stracili. Złoty pantofelek musiał być dla jego

właścicielki ważny. Może aby jej przypominać, że istniało życie poza ruinami, i dawać nadzieję, że kiedyś to życie wróci. Chciałabym wiedzieć, kim była.

„Paulinka” raz jeszcze

Rozmawiając w lipcu 2017 r. z Anną Jakubowską, zapytałam, co czuła, gdy zaczęło się powstanie. Odparła, że była szczęśliwa: – I nie tylko ja. Pamiętam szczęśliwych ludzi na Woli, pomagających budować barykady, drących prześcieradła na bandażę, gotujących. Wszyscy byli radośni. Tego uczucia nie da się zapomnieć.

– 1 sierpnia zawsze będzie dla mnie symbolem tego uczucia – dodała. – I tego, że w ludziach są siły zupełnie nieprzewidywalne. Że jeśli jest ważny cel, to ludzie są w stanie robić rzeczy niezwykle.

Potem emocje się zmieniały: – Wola to był entuzjazm, wiara w powodzenie. I w to, że powstanie się szybko skończy. Przekonanie, że Zachód nam pomoże. Wydawało nam się niemożliwe, że nas zostawią. Stare Miasto to był już zmasowany atak Niemców. Tam chyba najwięcej ludzi zginęło, a rannych zaczęło być więcej niż zdrowych powstańców.

Ona sama była już wtedy ranna, choć mogła się poruszać. Jej siostra, bardzo ciężko ranna, zginęła, gdy niemieckie samoloty zbombardowały szpital (był oznaczony czerwonym krzyżem).

Zapytałam ją także, co chciałaby powiedzieć tym, którzy mieli wkrótce, razem z powstańcami, obchodzić rocznicę 1 sierpnia.

– Chciałabym, żeby zostało poczucie, że wolność jest w nas – odpowiedziała. – Zawsze i w każdych warunkach powinniśmy zmierzać do tego, żeby w tym kraju ludzie byli wolni i szczęśliwi, mogli starać się zrobić coś dobrego dla siebie nawzajem. Żebyśmy byli wspólnotą. To wszystko. Więcej nie trzeba.

©© PATRYCJA BUKALSKA

Autorka (ur. 1972) jest dziennikarką „Tygodnika”. Opublikowała książki o tematyce historycznej, w tym o uczestniczkach powstania warszawskiego „Sierpniowe dziewczęta ’44” i „Szkoła pod powieką” (wspólnie z Anną Jakubowską „Paulinką”). Pracowała przy projektach historii mówionej (Muzeum Powstania Warszawskiego i United States Holocaust Memorial Museum) i filmach dokumentalnych (np. „Zdobycie miasta”). Dziś dzieli życie między Warszawę i Szkocję.

TOMASZ

Stawiszyński: Śmierć i mem



RÓWNIE BŁYSKAWICZNIE, CO TE DWA NAGRANIA – z nocnego rajdu po Krakowie zakończonego fatalną kraksą oraz morderstwa i samobójstwa z opętańczą złością w tle, do którego doszło w Poznaniu – rozprzestrzeniać się zaczęły

w mediach społecznościowych liczne powstałe na ich bazie memy i przeróbki.

Reprodukowane setki, tysiące razy, w atmosferze radosnego luzu, opatrywane coraz to bardziej komicznymi, absurdalnymi komentarzami. Stop-klatki, na których człowiek, który przed chwilą zabił innego człowieka, stoi nad jego ciałem, a obok przerażona dziewczyna bezzradnie unosi ręce. Zapętlone kadry, kiedy ten człowiek strzela sobie w głowę i upada. GIF-y, czyli ruchome obrazki, z żółtym samochodem ślizgającym się po jezdni i taranującym kolejne barierki. Unieruchomione chwile, o których doskonale wiemy, jakiej ciemnej sekwencji są ogniwem i do czego prowadzą. Tu wszakże – przemienione w mem – naraz tracą cały swój mrok i tragizm, a stają się farsą, ćwiczeniem z asocjacji, obiektem, z pomocą którego można zdemontować przepastne zasoby własnej ironii.

Są w tym bezliku, owszem, dzieła niezwykle pomyślowe. Są takie, które wywołują mimowolną wesołość także w kimś, kto by wcale nie chciał z czegoś takiego się śmiać. Są też i takie, które nawet zaprawionego w makabrycznym humorze odbiorcę czy odbiorczynię przyprowadzą o poczucie przekroczenia. Niektóre udostępniane masowo przez anonimową armię trolli, spośród których jakaś nieokreślona część to zapewne pozbawione świadomości i intencjonalności boty zaprogramowane wyłącznie do mechanicznego ubijania internetowej piany. Niektóre – jak się wydaje, sądząc po ortografii, składni i treści towarzyszących im wynurzeń – obsługują emocjonalne zapotrzebowania użytkowników i użytkowników o cokolwiek niewyrafinowanych gustach i skromnym kapitale kulturowym. Inne znowu propagują się wśród nominalnej inteligencji. W tym z kolei przypadku, tak przynajmniej można wnosić, mamy (w przekonaniu komentujących) do czynienia ze swoistą grą znaczeniami dla samej gry, demonstracją dystansu, intelektualną wprawką, badaniem i katalogowaniem niezliczonych form i odmian internetowych reakcji na koszmara. Zwłaszcza tutaj najbardziej radykalnym transgresjom estetycznym i moralnym towarzyszy lekkość, porozumiewawcze mruganie okiem, emotikon z roześmianą buźką. Skądinąd, często dotyczy to osób, które przy innych okazjach chętnie

manifestują oburzenie i afektowany moralizm – np. piętnując tych, którzy w ich tożsamościowym kokonie uznawani są za obcych. Kiedy jednak rzecz nie dotyczy ich świeckich świętości, przyjmują najwidoczniej zupełnie inny *modus operandi*. Jest to zresztą zjawisko samo w sobie zastanawiające, będące częścią szerszego fenomenu współczesnej plemienności i podwójnych standardów.

Ale stawką jest tutaj coś więcej. Zamiana tragedii w farsę to oczywiście skuteczny sposób radzenia sobie z nieodwołalnością i okrucieństwem życia. Nic tak nie rozmontowuje nieznosnego ciężaru egzystencjalnej grozy jak siarczasta puenta. Umiejętnie skonstruowany mem – ta osobliwa mieszanina obrazu i (w śladowych ilościach) tekstu transformująca ciąg zdarzeń w punktowy kondensat sensu, ten czynnik wytrącający z najbardziej nawet nieśmiesznej sytuacji kwant absurdu, a następnie rozdymający go do niebotycznych rozmiarów, jak gdyby nic innego tam wcześniej nie było – posiada w kulturze obrazkowej moc równą energii uwalnianej w procesie rozszczepiania atomu. Z wyjściowej sytuacji pozostaje nieledwie pył.

A przecież gdzieś tam, po drugiej stronie sieci zalewanej memami zbudowanymi ze zdjęć wypadków, tragicznych morderstw i samobójstw, po drugiej stronie sieci zalewanej nienawistnymi komentarzami (o czym niedawno na łamach „Tygodnika” pisałem przy okazji historii dziewczyny zamordowanej na wyspie Kos) są ludzie bezpośrednio tymi tragediami dotknięci. Świadkowie, rodziny ofiar, ich bliscy, przyjaciele, mężowie, żony, rodzice. Nasuwa się więc, czy raczej natarczywie narzuca pytanie: jak czuje się ktoś, czyje tragicznie zmarłe dziecko/mąż/zona/rodzic stają się nagle obiektem rozprzestrzeniającego się we wszystkie możliwe strony śmiechu? Jak czuje się ktoś, czyje tragicznie zmarłe dziecko/mąż/zona/rodzic stają się nagle tworzywem dla budzących powszechne rozbawienie praktyk humoru, dekonstrukcji, dekontekstualizacji, a może raczej zwykłej „beki”?

Z pewnością zostanie posądzony o brak stosownego dystansu – nie mogą się jednak oprzeć tym pytaniom, ilekroć widzę, jak beztropko rozsiewane są w internecie takie treści. I nie chodzi tu wcale o jakąś hipernadwrażliwość, o jakąś emocjonalną sterylność, utopijne pragnienie, żeby nikt nigdy nie czuł się niczym dotknięty. Jestem – proszę mi wierzyć – jak najdalszy od tego typu doktryn. Nie tylko dlatego, że są czystą fikcją, ale przede wszystkim dlatego, że najczęściej mają wymiar plemienny, to znaczy dotyczą wyłącznie „naszych”, a z „tamtymi” pozwalają poczynąć sobie bez litości.

Ale to temat na inne rozważania. Tu chodzi mi wyłącznie o postawę elementarnej powagi i milczenia wobec niewypowiedzianego bólu, tragizmu i śmierci – zachowywaną w sferze wirtualnej, w której na co dzień wszystko wymyka się nam spod kontroli. Tymczasem sprawa jest w gruncie rzeczy bardzo prosta: wystarczy powściągnąć odruch i nie klikać „lubię to” albo „udostępnij”. ©

MITY Z JASKINI KOŚCI

Rzadko się zdarza, żeby film Netfliksa był w centrum sporu o istotę człowieczeństwa. Jego bohater, odkrywca Homo naledi, ogłasza przewrót w myśleniu o ewolucji, łamiąc reguły nauki. Ale może mieć rację.

ŁUKASZ KWIATEK

JEŚLI TO BYŁA ZWYKŁA KOINCYDENCJA, to wyszło zabawnie. Zapowiedź filmu dokumentalnego opartego na badaniach Lee Bergera „Nieznane oblicze planety: Jaskinia kości”, Netflix opublikował 12 lipca. Tego samego dnia czasopismo „eLife” upubliczniło łącznie 11 recenzji trzech artykułów naukowych przygotowanych przez zespół Bergera. Zawierają one tezy podobne do tych, które pojawiają się w filmie: *Homo naledi*, dziwny gatunek człowieka sprzed 230-330 tys. lat, o małym mózgu (niewiele większym od mózgu szympanśów i ponad dwukrotnie mniejszym niż nasz) oraz małych ramionach, ale ludzkich dłoniach i stopach, rytualnie grzebał zmarłych i uprawiał sztukę. Małpolud miał robić coś, czego spodziewalibyśmy się wyłącznie po ludziach takich jak my, obdarzonych wielkimi mózgami. I robił to może nawet 100 tys. lat wcześniej niż pierwsi *Homo sapiens*.

Zapowiedź filmu sugerowała, że Berger dokonał jednego z największych odkryć dotyczących naszych przodków, zmieniających sposób, w jaki myślimy o ewolucji człowieka. Recenzenci artykułów nie zostawili na ich autorach suchej nitki.

Rozpadliny, jamy i jaskinie

Pisaliśmy na łamach „Tygodnika” o *H. naledi* i Bergerze kilka razy z dobrych powodów, ale przypomnijmy, o kim mowa i jak doszło do kluczowych odkryć.

W 2013 r. do Lee Bergera, profesora Uniwersytetu Witwatersrand w Johannesburgu, zgłosił się jego były student, Pedro Boshoff, który po nieudanej karierze poszukiwacza diamentów zapragnął wrócić do nauki. Tym razem szczęście się do niego uśmiechnęło. Berger przy użyciu epokowego wynalazku ludzkości – aplikacji Google Earth – ukończył właśnie mapowanie w RPA setek miejsc potencjalnie interesujących dla paleoantropologów, a wciąż niezbadanych. To rozmaite rozpadliny, jamy i jaskinie, wyżłobione najczęściej w wapiennej skale, czasem ukryte pośród kępy drzew, w których z różnych powodów mogły zachować się skamieniałości.

Tysiące lat temu jakieś szczątki mogły do takich miejsc spłynąć z wodą – wtedy na odkrywców czekałyby beładnie wymieszane kości, uwiecznione w scementowanej już skale osadowej (brekcji). Mogły to być również legowiska prehistorycznych drapieżników, w których spożywały kolacje – wtedy w brekcji dałoby się znaleźć nadgryzione kości ofiar róż-

nych gatunków zwierząt (zbyt wybredny drapieżnik często chodzi spać głodny). Wreszcie: mogły to też być śmiertelne pułapki, takie jak stanowisko Malapa, gdzie w 2008 r. Berger i jego dziewięcioletni syn Matthew odkryli pierwsze skamieniałości *Australopithecus sediba*. To szkielety dwóch pechowych dwunożnych małp – dorosłej samicy i być może jej młodocianego potomka – które dwa miliony lat temu wpadły do dziury i nigdy z niej nie wyszły, najpewniej nie przeżyły upadku.

Berger postawił Boshoffa na czele zespołu mającego spenetrować właśnie

MATERIAŁY PRASOWE NETFLIKSA





Wnętrze Jaskini Wschodzącej Gwiazdy w RPA. Na jej dnie odkryto szczątki *H. naledi*

takie nowo skatalogowane miejsca. Wkrótce usłyszał, że w Jaskini Wschodzącej Gwiazdy istnieje odległa komora, na dnie której leżą szczątki hominidów. Szybko zabezpieczył środki, ściągnął współpracowników z całego świata (musieli mieć nie tylko wiedzę paleoantropologiczną i doświadczenie w chodzeniu po jaskiniach, ale także odpowiednią sylwetkę, by przeciskać się przez wąskie korytarze) – i rozpoczął wykopaliska. Spieszył się: jego speleolodzy prawdopodobnie nie byli pierwszymi *H. sapiens*, którzy dotarli do komory z kośćmi. Ktoś zo-

stał tam wcześniej ślady wyglądające niepokojąco świeżo. Berger nie chciał ryzykować, że amatorscy odkrywcy wrócą do jaskini i ją jeszcze bardziej zanieczyszczą. Dla paleoantropologów każde stanowisko badawcze jest jak miejsce zbrodni dla kryminologa – to scena, która skrywa pewną historię i tylko drobiazgowo śledztwo może ją ujawnić.

Istoty z Dinaledi

Prymitywne cechy anatomiczne *H. naledi* zasugerowały odkrywcom, że gatunek ten występował ok. 2-3 mln lat

temu. Mógłby być jakimś dziwnym eksperymentem ewolucji – ludzko-malpią hybrydą, świadectwem tego, że wcześni przedstawiciele naszego rodzaju krzyżowali się z australopitekami i przybierali rozmaite formy, które nie przetrwały późniejszej ekspansji „właściwych” ludzi. Tych o dużych mózgach i zdolnych do wielkich rzeczy – np. regularnych polowań z użyciem kamiennych ostrzy. Jednak dokładne datowania pokazały, że *H. naledi* występował zaledwie ok. 230-330 tys. lat temu – a więc w czasie, gdy Afrykę, także południową, →

⇒ przemierzali już ludzie o mózgach porównywalnych z naszymi, choć może inaczej zorganizowanych – bo mieszczących się w nieco mniej zaokrąglonych czaszkach.

Skala pozyskanego materiału kopalnego *H. naledi* jest zdumiewająca, nawet biorąc poprawkę na to, że Jaskinia Wschodzącej Gwiazdy leży w tzw. Kolebce Ludzkości. W regionie tym od stu lat, na takich stanowiskach jak Swartkrans, Sterkfontein czy Taung, paleoantropolodzy wykopali setki kości naszych odległych przodków. Do dzisiaj niektórzy wierzą, podobnie jak Raymond Dart, odkrywca australopiteków, że to właśnie tu rozegrały się pierwsze etapy ewolucji naszego rodzaju. W ciągu niespełna dekady z samej Jaskini Wschodzącej Gwiazdy wydobyto przeszło 2 tys. fragmentów kości *H. naledi* pochodzących od kilkunastu osobników w różnym wieku. Tylko jedno miejsce na świecie dało nam więcej równie cennych okazów: Sima de los Huesos (czyli „jama pełna kości”) to studnia krasowa w miejscowości Atapuerca w Hiszpanii, z której wydobyto szczątki ok. 30 wczesnych neandertalczyków (ponad 7 tys. fragmentów szkieletu).

Skamieniałości *H. naledi* nie były bezładnie przemieszane – więc raczej nie trafiły do jaskini wraz z wodą. Kości nie były pogryzione – nie zostały zatem zawleczone przez drapieżnika. I choć do komory Dinaledi, w której się znajdowały, prowadzi dziś kilkunastometrowy, pionowy „zsyph” (ang. *The Chute*, w polskiej wersji językowej dokumentu Netfliksa nazywany Rękawem) – niezbyt bezpieczne miejsce na spacer – to jednak tych szczątków było dużo, pochodziły z różnych okresów, a niektóre znajdowały się w sporej odległości od „zsyphu”. To zdaje się wykluczać nieszczęśliwy wypadek.

Skąd w takim razie skamieniałości *H. naledi* wzięły się w tym miejscu? W jaskini niemal nie było śladów obecności innych istot – jej geologia mogła się do dzisiaj zmienić, ale także w czasach *H. naledi* musiała być trudno dostępna. Berger uznał, że pozostało tylko jedno wyjaśnienie: wszystkie te ciała musieli przynieść na dno jaskini inni przedstawiciele tego gatunku. Początkowo badacz postulował się enigmatycznym sformułowaniem „celowe pozbywanie się zwłok”. Dla jego kolegów po fachu i tak brzmiało ono podejrzanie blisko pojęcia „pochówek”.



Berger używał tego określenia jeszcze w 2021 r., w rozmowie z Wojciech Brzezińskim dla „Tygodnika”, choć już na naszych łamach niedwuznacznie sugerował, że ma dowody na coś więcej. Z dokumentu Netfliksa dowiadujemy się, że w 2017 r. nabrał przekonania, iż *H. naledi* mieli swoje rytuały – w tym pochówki. Co innego jednak samemu w coś uwierzyć, a co innego przekonać do tego cały świat. Ostatnie lata Berger spędził więc na gromadzeniu dowodów. Owocem tej pracy są trzy wspomniane artykuły właśnie upublicznione w „eLife”. Film Netfliksa, ładnie zrealizowany i wciągający, dostępny na platformie od 17 lipca, opowiada zaś o tym procesie.

Obca inteligencja

Trudno powiedzieć, czy zrobił to bardziej z myślą o filmie, o sobie czy o dalszych badaniach. W każdym razie Berger – mężczyzna o posturze utrudniającej przeciskanie się przez skalne tunele – postanowił jeden jedyny raz osobiście zejść do komory Dinaledi. Musiał schudnąć ponad 20 kg, by w ogóle mieć szansę przedostać się przez Rękaw. Wewnątrz komory, pośród ciągle spoczywających tam kości istot, które opisywał od blisko dekady, najwyraźniej doznał iluminacji. Wyobraził sobie *H. naledi* przeciskających się przez ciasne korytarze, noszących na

rękach związane zwłoki swoich bliskich, wykonujących synchroniczne ruchy w świetle żarzących się pochodni. Twórcy filmu wyrazili te sceny w sugestywnych animacjach. Pochodowi małpoludów do tajemniczej jaskini nie bez powodu towarzyszy muzyka niczym z filmów o kosmitach. Berger rozmyślnie buduje opowieść, w której mamy do czynienia z „obcą inteligencją”. Wprawdzie nie pozaziemską – raczej podziemną – ale zdolną do myślenia symbolicznego i odmienną od naszej.

Argumenty przemawiające za takim scenariuszem nie są jednak wystarczające. W pierwszym z trzech nowych artykułów z „eLife” zespół Bergera pisze o przynajmniej trzech rzekomych pochówkach odkrytych w jaskini. To płytkie doły wypełnione kośćmi. W jednym, ekshumowanym na miejscu, znajdowało się ciało dorosłego osobnika, prawdopodobnie ułożone w pozycji embrionalnej, a potem przysypane ziemią i błotem. Drugi grób badacze pozostawili nienaruszony – w przyszłości będzie go można dokładniej zbadać. Trzeci wycięto z podłoża w całości i przetransportowano na powierzchnię w bryle pokrytej gipsem. Cyfrowy skan ujawnił, że znajdują się w nim szczątki kilku osobników, w tym jeden najbardziej kompletny – szkielet dziecka. I że leży przy nim kamień, być może noszący ślady prostej obróbki. Mogłoby to



MATERIAŁY PRASOWE NETFLIXA

Lee Berger nad szkieletem *Homo naledi*.

więc być prymitywne narzędzie – pierwsze, które dałoby się przypisać *H. naledi*.

Drugi artykuł poświęcony jest domniemanym przejawom sztuki. W komorze Dinaledi Berger jako pierwszy spostrzegł, że jedna ze ścian została pokryta geometrycznymi wzorami, celowo wyrytymi i układającymi się w abstrakcyjne symbole. Jego zdaniem wymagało to nie tylko pewnego trudu, ale i sporego planowania. Ściana została wcześniej przygotowana – ktoś ją wygładził twardym kamieniem, a potem pokrył piachem i błotem.

W trzecim artykule autorzy dopisują do tych odkryć ewolucyjną narrację, a nawet pozwalają sobie na psychologiczne spekulacje. Zastanawiają się, czy miejsce, które u współczesnych ludzi wywołuje tak silne przeżycia, niczym praprawna świątynia (film pokazuje zarówno euforyczny śmiech Bergera, jak i jego łzy), nie prowokowało *H. naledi* do jakiegoś rodzaju metafizycznej refleksji i rytuałów. Już wcześniej Berger opowiadał w wywiadach, że w jaskini znaleziono ślady ognia – wydawało się zresztą oczywiste, że nikt nie mógł zapuszczać się do tego miejsca w całkowitych ciemnościach. O ile, oczywiście, w dawnych czasach nie było łatwiejszej drogi (w takim przypadku jednak jaskinię odwiedzałyby także inne gatunki).

Jeśli *H. naledi* faktycznie rozpalali ogień, wytwarzali narzędzia, uprawiali sztukę i grzebali zmarłych, to musimy sobie na nowo zadać pytanie o to, jaką rolę odegrał w naszej ewolucji wzrost rozmiaru mózgu. Temu dziwacznemu hominidowi do wszystkich jego ekscesów w jaskini musiał wystarczyć mózg niewiele większy od szympansego. A przecież całe nasze rozumienie pochodzenia człowieka opiera się na założeniu, że to rosnący w toku ewolucji mózg (jego objętość zwiększyła się trzykrotnie w ciągu 2 mln lat) umożliwiał naszym przodkom coraz bardziej wymyślne praktyki kulturowe i coraz bardziej złożone zachowania.

Mitotwórca

Można było przewidzieć, że recenzenci nie zareagują entuzjastycznie na spekulacje. Ale recenzje tych artykułów to jednak dużo więcej niż brak entuzjazmu – w opinii jedenastu specjalistów zespół Bergera forsuje hipotezy nieoparte dowodami, a część twierdzi wręcz, że artykuły nie spełniają standardów paleoantropologii. To brzmi jak naukowy wyrok śmierci.

W żadnym czasopiśmie tak ocenione prace nie miałyby szans ukazać się bez fundamentalnych poprawek – autorzy zresztą przyznają, iż inny prestiżowy periodyk wcześniej odmówił im publikacji. Ale, szczęśliwie dla autorów, redakcja „eLife” zmieniła niedawno reguły gry. Zamiast odrzucać negatywnie ocenione artykuły, publikuje dokładny rejestr zmian oraz treść recenzji. Prace trafiły więc do obiegu naukowego w najbardziej spekulatywnej formie.

Oczywiście naukowcy mają prawo do spekulacji, jednak powinni przy nich stawiać znaki zapytania. A tego Berger tym razem nie zrobił. Jak każda nauka empiryczna, paleoantropologia opiera się na formułowaniu testowalnych hipotez i ich systematycznym podważaniu. „Nie ma dla badacza lepszej porannej gimnastyki jak codziennie przed śniadaniem zniweczyć jedną ze swych umiłowanych hipotez — pozwala to na utrzymanie młodszej formy” – pisał w połowie ubiegłego wieku zoolog Konrad Lorenz. Tylko te hipotezy, które samotnie ostaną się na placu boju, mogą zostać zaakceptowane.

Tymczasem Berger swej formy nie osiągnął metodą Lorenza. Nie tylko nie chce

niweczyć swoich umiłowanych hipotez – nie podjął nawet wysiłku, by je przetestować. Przyjął inną strategię: przekroczył granice nauki, by zostać twórcą mitu.

Berger jest wybitnym popularyzatorem – uwielbia kamerę, potrafi pisać i opowiadać, a także doskonale wie, że ludzie kochają dobre historie. I właśnie taką historię próbuje stworzyć. Ta opowieść ma dwa elementy: pierwszym jest nowy scenariusz ewolucji człowieka, w którym nie wszystko sprowadza się do rosnącego mózgu; drugim – historia samego odkrycia *H. naledi*. To cała ta opowieść, a nie dowody empiryczne, mają uwieść odbiorców i przekonać ich, że Berger ma rację. Stąd jego miesiące odchudzania i ryzykowne zejście na dno jaskini (nie oglądajcie tych scen, jeśli macie klaustrofobię), stąd metafora „obcej inteligencji” (nawet swój zespół speleologów badacz nazywa „podziemnymi astronautami”), stąd nieodłączny kapelusz, w którym, niczym Indiana Jones, odbywa *tournée* po studiach telewizyjnych. Stąd także najbardziej osobliwe sceny filmu – pielgrzymowanie po jaskini z rozpalonymi gałązkami, co ma dać widzom wyobrażenie o tym, jak mogły wyglądać rytuały *H. naledi*. Nie tylko widzom – także współpracownikom (zaskoczony tym obrządkiem antropolog Agustín Fuentes ma w filmie taką minę, jakby uznał, że jego kolega oszalał).

W dokumencie sformułowanie „zmiana paradygmatu” pada bodaj tylko raz, ale jest ono kluczem do zrozumienia Bergera. To techniczne określenie na rewolucję naukową – radykalny przewrót w naszym myśleniu. Taki jak te, które zapoczątkowali Kopernik, Darwin czy Einstein. Dzięki nim zaczęliśmy inaczej myśleć o naszym miejscu w świecie, o naszym pochodzeniu oraz o prawach rządzących wszechświatem. Berger to prorok kolejnej rewolucji, mającej nam wskazać właściwe miejsce w szeregu pośród naszych najbliższych krewnych. W filmie sam stwierdza, choć z pewną nieśmiałością, że możemy mieć do czynienia z jednym z największych odkryć w dziejach.

Wszystkie pytania

Krytycy Bergera nie wierzą w złożone rytuały u *H. naledi* i razi ich cała ta mitologia, ponieważ alternatywne wyjaśnienia nie zostały dotąd wykluczone. ➔

→ Nie jest jasne, czy doły z ciałami w jaskini musiały zostać rzeczywiście wykopane przez *Homo naledi*. A jeśli nawet, to czy zwłoki zostały umieszczone w nich celowo – być może wpadły do nich przypadkiem? A jeśli nawet kryła się za tym intencja, to jaka? Może chodziło o pozbycie się zwłok z widoku? A choćby to faktycznie był „pochówek”, to czy musiał być elementem quasi-religijnego rytuału, który sugeruje Berger? I jeśli nawet mamy do czynienia z obrzędami pogrzebowymi, to dlaczego pochowane zostały zwłoki tylko kilku osobników, a nie wszystkich w jaskini? Czyżby to było świadectwo zmiany rytuału i ewolucji kulturowej u *H. naledi*? Jeżeli tak, trzeba by wykazać przynajmniej, że pochówki pochodzą z innego okresu niż pozostałe zwłoki rozrzucone na podłożu jaskini – a nie ma na to na razie dowodów.

Idźmy dalej: rzekome narzędzie może nie być artefaktem, tylko geofaktem – naturalnym kawałkiem skały, który nie był nigdy poddany obróbce. W filmie Berger wyobraża sobie, iż włożono je w dłoń pochowanego dziecka jako dar pogrzebowy – a wcześniej tego samego kamienia użyto do wyrycia znaków na ścianie. Tyle że nie wiemy, czy kamień nie leżał po prostu w pobliżu dłoni dziecka – ani nawet tego, kto, jak i kiedy wyrzył znaki na ścianie. Na razie odkrywcy nie przeprowadzili żadnych datowań i analiz powstania tych znaków – opisali tylko ich wygląd i wkomponowali w swój mit. Jeden z recenzentów zauważył, że znaki przypominają układ jaskini – i mogą być prostą mapą wyrytą przez bardziej współczesnych speleologów, którzy, jak pamiętamy, dotarli do komory Dinaledi przed zespołem Bergera.

Bergerowi nie udało się nawet potwierdzić, że ślady ognia z jaskini są równie stare jak szczątki *H. naledi*. Wstępne badania sugerowały zaś, że są od nich znacznie młodsze. Nie da się więc wykluczyć, że jaskinia nie miała po *H. naledi* innych, bardziej zaawansowanych lokatorów. Nie wiemy też, czy odpowiedzi na przynajmniej niektóre z tych pytań nie leżą gdzieś w nieodnalezionych jeszcze, być może zawałonych już dziś korytarzach. Niewykluczone, że mamy błędne wyobrażenie na temat tego, jak *H. naledi* do stali się na miejsce spoczynku.

Z tymi wszystkimi pytaniami zespół Bergera powinien się uczciwie zmierzyć.

Odkrycie *Homo naledi*
to jedna z najwspanialszych
historii paleoantropologii,
która zmienia
to, jak myślimy
o ewolucji człowieka.
Nie trzeba jej ubarwiać.

Nie da się ich zagłuszyć choćby najbardziej porywającą opowieścią.

Nawet jeśli z tą opowieścią może być coś na rzeczy.

Ludzie o małych mózgach

Nielatwo rozstrzygnąć, które znaleziska archeologiczne dokumentują najstarsze pochówki czy sztukę. Przykładowo jakiegoś zamysłu artystycznego mogły wymagać żłobienia skalne w kształcie półkuli, znane ze ścian jaskiń w Indiach czy na Bliskim Wschodzie. Nikt ich precyzyjnie nie datował, ale uważa się, że mogą mieć setki tysięcy lat. Najstarszym przykładem rzeźby może być tzw. *Wenus z Tan-Tan* – kontrowersyjny kamień o ludzkich kształtach, barwiony ochrą, datowany na 300-500 tys. lat. Około pół miliona lat ma muszla z Trinil, na której zapewne *H. erectus* wyrzył sekwencję zygzaków. Żłobienia z Jaskini Wschodzącej Gwiazdy – nawet jeśli stanowią dzieło rąk *Homo naledi* sprzed 200-300 tys. lat – nie są najstarszym znaleziskiem, w którym można się dopatrywać artystycznego zamysłu czy symbolicznego znaczenia.

Podobnie sprawa wygląda z pochówkami. Berger podkreśla, że najstarszy bezsporny grób znaleziony w Afryce pochodzi sprzed 78 tys. lat (zawierał ciało trzyletniego dziecka *H. sapiens*). Z Bliskiego Wschodu znamy zaś groby liczące nieco ponad 100 tys. lat (z jaskiń Qafzeh, Skuhl i Tabun w Izraelu). To nadal daty odległe od czasów *H. naledi*. Jeśli jednak rozszerzymy poszukiwania na inne domniemane przejawy rytuałów pogrzebowych, to powinniśmy wziąć pod uwagę wspomniane stanowisko Sima de los Huesos. Ciała wczesnych neandertalczyków (sprzed ponad 400 tys. lat) zostały tam celowo zepchnięte do dołu. Być może i to był jakiś rodzaj rytuału – a przynajmniej

„celowego pozbywania się zwłok”, o którym w kontekście *H. naledi* Berger mówi od lat.

Wiemy, że nawet szympansy reagują specyficznie na świeże zwłoki innych małp – wykazują mieszaninę konsternacji i zadumy. Śmierci wśród nich raczej nie towarzyszą rytuały, ale zwłoki z pewnością nie są dla nich obojętne. Po śmierci bliskich osobników małpy mogą zmienić zachowanie – stają się mniej aktywne, gorzej się odżywiają, jakby przeżywały smutek lub żalobę.

Ludzie i szympansy mieli wspólnego przodka 5-7 mln lat temu. Nie wiemy, jak blisko jesteśmy spokrewnieni z *H. naledi*, ale jeśli rzeczywiście należą oni do rodzaju ludzkiego, to musieliśmy mieć wspólnego przodka nie później niż 2-3 mln lat temu. Przyzwyczajaliśmy się do tego, że w przypadku cech fizycznych, takich jak wielkość mózgu, widzimy zróżnicowanie – u niektórych gatunków cechy te są bardziej rozwinięte, u innych mniej. Jeśli to samo zjawisko dotyczy cech psychicznych (a czemu miałyby być inaczej, skoro są one zakorzenione w mózgu?), to łatwo sobie wyobrazić, że rytuały, obrzędy pogrzebowe czy sztuka nie narodziły się nagle, w jakimś okresie, wyłącznie za sprawą naszego gatunku. Powinny je poprzedzać bardziej prymitywne zachowania u naszych przodków, takie jak celowe pozbywanie się zwłok, powiązane z jakąś formą myślenia o śmierci, czy żłobienie znaków na skale.

Być może *H. naledi*, a także inne dawne gatunki człowieka o małych mózgach, takie jak hobbici z Flores i Luzon, fatycznie miały swoje rytuały – na tyle złożone, na ile pozwalały im niewielkie mózgi. Może nawet były z sobą bliżej spokrewnione niż z nami! Byłaby to duża zmiana w rozumieniu ewolucji naszego rodzaju. Ale nierównoważna stwierdzeniu, że wielkość mózgu nie odegrała w tej ewolucji ważnej roli.

Odkrycie *Homo naledi* to jedna z najwspanialszych historii paleoantropologii, której nie trzeba w ogóle ubarwiać. Gdyby zespół Bergera powstrzymał się od forsowania tez, których na razie nie da się udowodnić, nie spotkałby się nawet z ułamkiem krytyki, jakiej doświadczył. Ale wtedy Netflix musiałby nakręcić inny film.

ELIZA

Kącka:

Autobus w powstaniu



519, JAZDA W STRONĘ DWORCA. STARSZA z dorosłą córką w mojej pakamerze siedzeniowej. starsza: „ty mi powiedz, co znaczy to słowo »pijar«?”. „nie wiem, chyba, że się umie nabierać ludzi”. „a, to tego teraz uczą”. pauza. starsza: „uważam,

że to jest straszne nadużycie w stosunku do zakonu”. „ma-maaa, to skrót z angielskiego”. „tym bardziej! pijarzy powinni złożyć pozew”. „jak?”. „przeciw Anglii. ma odwołać ten skrót!”. „błagam, nie nakręcaj się”. „tak ich Polska boli! że mamy wiarę!”. „ech”. „ech», »ech», a ja ci mówię, diabeł w tym maczał rogi! to kolejne imię bestii, ten twój cały skrót! a Polska nic z tym nie robi!”.

II 8, kobieta kiele siedemdziesiątki donośnie, na przodzie autobusu: „wszyscy, jak tu siedzimy, wiemy, na kogo głosować”. gość z prawej: „a na kogo?”. „proszę pana, Polak wie”. „ja jestem Polak – i nie wiem”. obruszyła się: „proszę pana, po tylu powstaniach i walkach pan nie wie, na kogo?”. „ale ja nie walczyłem w powstaniu”. „proszę pana, wstyd się przyznawać publicznie”. młody spod okna: „cały ten autobus był w powstaniu”. kobieta: „prawdziwy Polak walczy i wie”.

Park Morskie Oko, późny wieczór. siadam w ocienionej części parku. światła lokalnego piwogrodka zwanego „grzybkiem” ćmią zza zasieków późnowieczornych liści. zimna wilgoć od stawu, z rzadka uderzenia kaczych skrzydeł o ciemną taflę. i cykania świerszczy, też z rzadka. zaczynam płakać. płaczę sobie cicho, nawet się nie rozglądam. raptem z sąsiedztwa: „dobrze popłakać bez świadków”. tak, obracam się, dwie ławki ode mnie rezyduje staruszka. widzę jej profil wycinankowo czarny na tle podświetlonego tunelu ścieżki. uśmiecham się: „no, widzę, że nie tak całkiem bez świadków”. „że ja? ja nie świadek”. „aha, a kto?”. cisza. psia awantura niesie się spod „grzybka”. przemyślała: „ja nie świadek, ja jak duch”. uśmiecham się znów: „duch z okolic Promenady. ale przecież duchy świadkują”. „tak, ale lepiej od ludzi”. „bo?”. „człowiek zawsze jest wścibski, duch nie”. „a zatem pani jest duchem, trzymającym wartość?”. chwila ciszy. „ja tylko trzymam miejsce. jak nikt nie będzie trzymał, zniknie”.

Pocztą przy Kopernika. przy okienku trzy zakonnice ze stertą listów do nadania. pani w okienku: „ile tego! do jakiegoś przystojnego księdza pewnie?”. najmłodsza dyszkancikiem: „ahaha, nienienie, to zaproszenia na rekolekcje”. „no mówiłam, do przystojnego księdza”. „ahaha, nienie, to do rodzin”. starsza siostra: „my mamy kapelana w miejscu, nie musimy sprowadzać duchownych”. okienkowa: „uuu, wysoki standard. a to rodziny do sióstr z wizytą?”. „ahaha, nie, to nie nasze, to dzieci boże”. „siostry to mają energię. kiedy siostry wezmą urlop?”. siostra średnia: „od Pana Boga nie ma urlopu”. dziewczyna z kolejki do mnie: „dlaczego one mają różnokolorowe doniczki?”. ja: „białe kornety to nowicjuszek, ciemne po ślubach”. „aaa”. okienkowa: „szczerze, ja to siostry podziwiam, ja bym bez męża nie mogła”. siostra średnia: „ale my mamy męża Jezusa”. młoda: „ahaha, każda z nas”. okienkowa: „o mój Boże, najgorzej”.

Wolibórz, ranek, pole namiotowe przy Leśnym Dworze. widzę z okna, jak przy jednym z namiotów drepce podrośnięty szczeniak, brązowy z białym podbiciem. z namiotu wypelza maluch, podbiega do pieska, łapie go w pasie i niesie, postępując „mam, mam, mam!”. chwilę trwa ta bez troska, i ciach, podbiega matka: „puść psa, znowu się osika-łeś! biedny piesek!”. mały, zataczając się: „ale to on!”. matka: „rzuć psa, zły pies!”. leci ojciec: „pies dopiero co łął, kłamiesz!”. babka z leżaka: „no i widzisz, jaki jesteś. sikasz i kłamiesz”. szczenię już na gruncie, dziecko w płacz. matka: „będziesz sechł teraz sam za karę, nie zmienię ci majtek”. ojciec: „ototo, pies ma miejsce na łapach, tak powiem, Maciej, pies ma stać, nie latać”. dziecko zawodzi bardzo, pies liże je po kolankach. babka z leżaka: „rozdzielcie ich i już. dzieciak się przyzwyczai”. „będzie się darł”. „to róbcie kolejnego dzieciaka, niech go osika”. matka: „dość już tych dzieci”. babka z leżaka: „dość tych zwierząt, dzieciak ma się zajmować dzieciakiem, bo się religia skończy!”. ojciec: „coś w tym jest, co wyczuwam, że jest”.

Nowa Ruda, żabka niedaleko rynku. kolejka. staruszka za mną: „pani festiwalowa?”. ja, że owszem. staruszka do sąsiada: „chyba tak średnio, jak suche bułki kupuje”. do ekspedientki: „macie teraz większe obroty na Tokarczukowych?”. „że festiwal? oj tak, dużo ich, kupują”. „co kupują?”. „no nie wiem, tak ogólnie”. „no ale co? no, nie chleb. papieros specjalny, alkohol specjalny”. „no jakby, tak, te rzadkie”. „wiedziałam! że z bułkami to podszywanie się”. ja blisko kasy. matka z dziećmi z końca kolejki: „no ale co taki noblista je? nie może na petach wytrzymać. musi zjeść masło czasem”. staruszka: „nie! jakiś inny tłuszcz! noblista nie je masła!”. ekspedientka: „ale ja nie wiem, czy ci ważni byli u mnie”. staruszka: „kochanie, ci ważni się szanują, nie byli u ciebie”. sklepowa opada emocjonalnie. staruszka: „ja wam powiem, skoro jestem przy głosie: ci ważni biorą cały towar od razu z kawiarni”. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

RAPERZY NA ROWERY

ŁUKASZ ROSTKOWSKI (L.U.C.), MUZYK:

Przez wiele lat tak dużo pracowałem, że nie byłem nawet w stanie wydawać pieniędzy. Nie było kiedy, tylko koncert za koncertem. Teraz myślę raczej o barierkach dla dziecka, zupełnie inna skala.

JOANNA WIŚNIEWSKA: Kim Ty właściwie jesteś?

ŁUKASZ ROSTKOWSKI (L.U.C.): Zależy, przez jaki pryzmat się popatrzy. Dziś mogę powiedzieć, że jestem ojcem, twórcą i rowerzystą.

A raperem, dyrygentem, kompozytorem – już nie?

Może troszkę też. Często się nad tym zastanawiam i nie mam satysfakcjonującej odpowiedzi. Ale na pewno jestem opowiadaczem historii. Robię to na swój sposób, łącząc różne gatunki i dziedziny sztuki.

No właśnie – „różne”. Mimo że kiedyś ustyszałeś: „Jak nie masz swojego pudełeczka, szukaj trumnę”?

Hm... Na pewno te moje przeskoki i poszukiwania, ale także problemy ze zdrowiem i zmniejszenie liczby koncertów odcięły mnie trochę od słuchaczy. Porównuję to do kuligu: cisnę od bandy do bandy, więc wiele osób nie jest w stanie utrzymać się na tylnych sankach i wypadają. Przepraszam, ale jest tyle rzeczy, których muszę jeszcze spróbować.

Przez lata mierzyłem się z tym, że na festiwalach jazzowych byłem zbyt hip-hopowy, dla hip-hopowców byłem za bardzo odklejony i jazzowy. A dla klasyki by-

łem... Choć właściwie, paradoksalnie, klasyka zawsze mnie zapraszała.

Jesteś ciekawostką?

Chyba tak. Całe życie się siłowałem, żeby być w hip-hopie, bo go kocham. Ale on nigdy mnie nie zaakceptował. Pewnie nie potrafiłem się do końca odnaleźć w stylistyce i tematach, które były tam akurat popularne. Przez lata sprawiało mi to dużo bólu, poczucia samotności i odrzucenia.

Do tego pracoholizm.

To mieszanka wybuchowa, która może źle się skończyć, i tak kilka razy się stało. Kiedy odkryłem muzykę – i to, że nie muszę już być prawnikiem, studiować umów, rozwiązywać sporów, których nie znoszę – chciałem ją robić non stop, permanentna eksplozja.

Dobry przepis na sukces, ale także na wypalenie.

Tak, ale wtedy przede wszystkim czułem, że muzykę odkryłem za późno. Więc gdy chłopaki z mojego pierwszego zespołu Kanał Audytywny kładli się spać, ja trzaskałem do rana pokracczne bity ucząc się nieznanym programów. Przekleństwa leciały jak bomby, ale byłem zdeterminowany.

Niepokój niekoniecznie jest twórczy.

Mam taki nałóg: analizuję rzeczywistość. I ją kontestuję. Ale tak samo robię z moimi pomysłami, które non stop podważam. Zawsze znajdę kontrargument dla argumentu. I tak bez końca.

Musi być męczące.
Jest.

To kiedy wreszcie nie myślisz?





KAROL KACPERSKI

Umysł najlepiej odpoczywa na rowerze. Skupiam się wtedy tylko na balansie, który jest esencją życia. I słucham orkiestry zębatek i łańcucha – to jest dopiero muzyka. Najlepsza do medytacji.

Często mówisz o zdrowiu – kwestia wieku?

Doceniam je, bo mam powody. Skręcenie karku po wpadnięciu do zapadni, problemy cukrowe od stresów i zlej

diety, kilka godzin dzieliło mnie od utraty widzenia w jednym oku. Zawsze wydawało mi się, że jestem He-Manem, że z wszystkim dam radę. Teraz uczę się odpuszczać.

Z musu?

Nie. Z wyboru. Mam rodzinę, jestem za nią odpowiedzialny. Już nie jestem tylko dla siebie i fanów. O godz. 16 muszę skończyć pracę i przejąć małego, a zwykle pra-

ŁUKASZ ROSTKOWSKI (L.U.C.), ur. w 1981 r., jest raperem i producentem muzycznym. Za nowatorskie łączenie dziedzin i gatunków otrzymał Paszport „Polityki”. Autor licznych albumów muzycznych, inicjator ruchu „Pospolite ruszenie”, organizator Dnia Słowa „Rymoliryktando”, założyciel orkiestry Rebel Babel Ensemble. Dyrektor artystyczny festiwalu BrassWood, którego najbliższa edycja odbędzie się 29 lipca w Sopocie.

cowałem do godz. 22-23. Nie wiem, czy mi się udało pogodzić karierę z rodziną, ale bardzo się staram. Kiedyś pracowałem cały tydzień – calle, e-maile, logistyka i produkcja bitów w międzyczasie. Przychodził piątek, jechałem na koncert, po występach dochodzenie do siebie trwa dwa-trzy dni. Nie zdążyłem nawet spuścić adrenaliny i kortyzolu, a już był poniedziałek. I tak przez kilkanaście lat. Teraz częściej wyjeżdżam na urlopy, jeżdżę na rowerze i pracuję nad asertywnością.

Co dostajesz w zamian?

Niedawno zorganizowaliśmy koncert „Zrozumieć Śląsk”, na scenie stuosobowa orkiestra, chór, czternastu solistów. Pomyslałem wtedy w Arenie Gliwice, że oni wszyscy są tu przeze mnie i dla mnie. Bardzo mocne doznanie.

Miałeś w którymś momencie dość muzyki?

Tak, nawet teraz mam dość. Spory problem. Ale to chyba normalne, zwłaszcza po 16 wydanych płytach. Chciałbym zamknąć muzykę do „Chłopów”...

To film animowany wg powieści Reymonta, tworzony przez autorów „Twojego Vincenta”...

Tak. Chciałem ją skończyć i odpocząć, ale dopieszczanie tej produkcji wciąż trwa. Jestem więc przeciążony muzyką, dlatego mało jej słucham, raczej wsłuchuję się w rozmowy z filozofami na podcastach. Nadal kocham muzykę, ale coraz częściej mówię jej „nie”. Uciekam więc czasem w inne strony.

Gdzie?

W stronę ciszy lub rozmów. Przy całej tragedii, którą przyniosła pandemia – dla mnie była błogosławieństwem, →

→ bo mogłem się zatrzymać. Choć wielu moich kumpi muzyków faktycznie miało przymusowe wakacje, ja pracowałem w studio ucząc się nowej dziedziny – muzyki filmowej.

Z pracą w samotności jakoś mi się nie kojarzysz.

Od lat pracuję nad projektem Rebel Babel Ensemble, czyli orkiestrą 360, która łączy amatorów i zawodowców na płytach, festiwalach, warsztatach i koncertach. W ciągu kilku lat połączyliśmy ponad 10 tysięcy instrumentalistów z ich idolami i wysokiej klasy solistami z różnych gatunków muzycznych. To wiąże się z ogromnymi komplikacjami – składy, utwory i goście. Każdy koncert RBE jest jak festiwal.

Boli, gdy przez chęć robienia swojego tracisz fanów?

Byłbym obłudnym kłamcą, gdybym powiedział, że utrata uwagi mi nie dośkwiera. A dzisiaj wszystko jest policzalne i mierzalne – hype, fame, lajki. Chociaż często ludzie, którzy mają setki tysięcy followersów, nie mają publiki, dla której mogą grać, a ci z paroma tysiącami wypełniają sale. Współczesność jest bardzo złożona i cyrkowa.

Jak ta sytuacja wpływa na Twoją karierę?

Pewnie gdybym miał bardziej popkulturową pozycję, łatwiej byłoby mi znaleźć sponsorów na festiwal BrassWood, realizować moje wizje i marzenia. Festiwal, który kocham, który chcę robić, w który wkładam całe serce, ostatecznie jest dla mnie gehenną i zmorą. Zamiast radości tworzenia jest walka o finanse. Łatwiej byłoby realizować swoje wizje, gdyby były na to środki. Gdy masz mocną pozycję, wszyscy cię kochają, oglądają, foliują, chcą wsadzić ci reklamy i zarobić na tobie, dając ci też zarobić.

Wiele razy odmawiałem reklamowania różnych produktów i czasem zastanawiam się, czy była to dobra decyzja.

Podaj przykład.

Nie chciałem reklamować choćby coca-coli, bo ma dużo cukru.

Ale teraz byś sobie to wybaczył?

Zwłaszcza jakbym zobaczył przelew na koncie (*śmiech*). Moi słuchacze pew-

Na rowerze umysł odpoczywa. Skupiam się tylko na balansie, który jest esencją życia.

I słucham orkiestry zębatek i łańcucha – to jest dopiero muzyka.

Najlepsza do medytacji.

nie też by mi to zapomnieli – wyrozumieli ludzie. Gość ma 40 lat, rodzinę, no to co ma zrobić? Przez wiele lat myślałem tylko tydzień naprzód, tak dużo pracowałem, że nie byłem nawet w stanie wydawać pieniędzy. Jedzenie dostawałem na koncertach, Nike dawał mi buty. Teraz myślę raczej o barierkach dla dziecka, zupełnie inna skala. Ale nie mówię, że flirt z komercją już mi się nie przydarzy, mam trochę dość tego, jak jest. Bez środków trudno tworzyć na poziomie. Coraz bardziej otwieram się więc na współpracę z markami. Ale musi to być zgodne z moją filozofią i tym, w co wierzę.

A nie lepiej byłoby w piosenki wpleść „jo!” i rapować o „hajsie i dziwkach”?

Może i lepiej, ale to nie byłoby dla mnie autentyczne. Dlatego nie irytują mnie postaci polskiej sceny, które tak rapują, bo są w tym autentyczne. Nie jestem człowiekiem z biedy, z osiedla. Owszem, lubię kozackie auta i design, ale generalnie wolę rower.

Raperzy na rowerach, fajne.

Miewałem w związku z tym kompleksy i lęki. Ale ostatnio poznałem Kubę Orlińskiego, który śpiewa w operze i robi breakdance. Od razu pomyślałem o sobie jakoś lepiej. Rapuję i dyryguję orkiestrami – to jest moje i unikatowe. Nie muszę się decydować tylko na jedno, jak wielu mi doradza.

Płyta jest jednak odpowiedzią na zapotrzebowanie rynku.

No oczywiście! Sam miałem po piętnastu latach twórczości poczucie, że może muszę być bardziej profesjonalny, patrzeć pod kątem rynku, marketingu, sprzedaży i trendów. Rozważałem ryzyka...

Bo balans to esencja życia...

No właśnie. Założmy, że będzie hype, oznacza to, że będę musiał potem grać na koncertach coś, czego nie czuję. Ale jak nie wyjdzie, to jeszcze gorzej, bo zostanę tylko z poczuciem, że zrobiłem coś, co nawet mnie samemu nie sprawiło radości. Więc jednak lepiej zrobić coś, co będzie autentyczne, moje, wtedy będę szczęśliwy. Choć prawdopodobieństwo, że nie będzie sukcesu, jest większe, bo to, co lubię, raczej nie idzie w parze z gustami statystycznych Polaków.

To egoistyczny sposób myślenia?

Trochę tak, co mi też nie odpowiada. Bo przecież nie chodzi tylko o to, żeby sobie zrobić dobrze, ale by muzyką pomóc innym. To było dla mnie wielkim przeżyciem, gdy po koncercie ktoś mi powiedział, że uratowałem mu życie, bo miał próby samobójcze, a moja muzyka zadziałała lepiej niż liczne terapie. Był to dla mnie punkt zwrotny. Od tego czasu robiłem płyty przemienne – jedną płytę dla siebie, a jedną bardziej dla ludzi, wczuwając się w potrzeby fanów.

Kariery muzyków przypominają tworzenie biznesplanu?

Tak. Ale to jest słodko-gorzkie. Z jednej strony, kiedy rynek się profesjonalizuje, powstają takie zjawiska jak Dawid Podsiadło, który wypełnia w Polsce stadiony, i to jest piękne. Z drugiej strony profesjonalizacja może oznaczać zabicie entuzjizmu i czystej radości tworzenia.

Czyli?

Kiedyś spotkałeś innego artystę, wymieniliście się pomysłami, jeśli była energia, padało hasło: zrobimy to wspólnie! Dzisiaj o tym zapomnij. Menedżer najpierw sprawdzi twoje zasięgi, żeby wiedzieć, czy warto współpracować.

Sztab IT i ludzie od algorytmów to teraz podstawowe zaplecze muzyków?

Kiedy zaczynałem, rynek już był trudny, płyty się nie sprzedawały, weszły pliki mp3, ciężko było ściągać pieniądze na kolejny album. Dzisiaj działają o wiele bardziej skomplikowane filtry. Nigdy nie inwestowałem zbyt dużo w swój kanał na YouTube, nie czułem tego. A to jest podstawowy filtr. Jak się nie orientujesz w social mediach, to wypadasz z gry.

Ale nie ma co tragizować, to wszystko ma też swoje plusy.

Znowu wychodzi, że jesteś Wagą.

Bo jestem. Może nie byłbym dobrym adwokatem, ale byłbym niezłym sędzią?

Wtedy to dopiero byłyby dla Ciebie trudne czasy.

Żyjemy w polityczno-ekonomicznym cyrku. W wielkim shit-comie. Wypowiedziałem się na ten temat na ostatniej płycie „Dialog 2” i już odczuwam straty.

Jakie?

Nie chcę o tym mówić.

Jest gorzej z pozyskaniem sponsorów?

Ubolewam, że mecenat prywatny w Polsce prawie nie istnieje. Sponsoring to z reguły banki i producenci piw wspierający festiwale. Bardzo niska jest u nas kultura mecenatu i filantropii. Duże firmy sponsorują tylko najbardziej masowe i komercyjne zjawiska. Pracowaliśmy więc często z ambitnymi instytucjami kultury, które zostają coraz bardziej upolitycznione. W tym roku na BrassWood nie dostaliśmy żadnej z czterech dotacji, o które wnioskowaliśmy. Zostaliśmy w bardzo trudnej i stresującej sytuacji.

Młodzi raperzy zabierają głos w ważnych społecznie sprawach?

Artyści wiedzą, że najlepiej sprzedają się piosenki o miłości. Nawet mój najbardziej znany utwór, który trafił do radia i TV, „W związku z tym”, jest właśnie o miłości. Dlatego, niestety, muzycy nie chcą opowiadać o ważnych sprawach, takich jak pokój, dialog, tolerancja, ekologia, bo ludzie nie chcą o tym słuchać. Już nawet hip-hop nie mówi o zasadach, tylko o robieniu sześciu zer na koncie. Nie jestem tutaj żadnym prorokiem, ale mam poczucie, że niewystarczająco dużo mówi się o wspólnotcie, empatii czy dialogu.

Festiwal BrassWood jest właśnie o tym?

Jest o oddechu, relaksie, wyciszeniu, ale także o ważnych społecznie sprawach. Obecne podziały nie do końca przebiegają na granicy lewica-prawica. U nas często prawica jest bardziej lewicowa od lewicy i na odwrót. Mam wrażenie, że to konflikt tradycji i postępu, jedni żyją



KAROL „JAKAKUM” MAKURAT / MATERIAŁY PRASOWE

Koncert podczas festiwalu BrassWood. Sopot, 8 sierpnia 2021 r.

przywiązani do przeszłości, inni z wielką nadzieją i otwartością patrzą w przyszłość. Moim zdaniem społeczne tarcia przebiegają po tej linii. Na BrassWood zestawiamy dawne instrumenty, przeszłość, folk z nowoczesnością, żeby łączyć te światy i tworzyć dialog.

W kraju disco polo?

Dlatego rozwijamy ten stutonowy dywan powoli i z wielkim trudem (*śmiech*). Pewnie gdybyśmy zrobili festiwal piwa, byłoby nam dużo łatwiej. Ale my czujemy potrzebę realizacji misji edukacyjnej, która w Polsce leży i kwiczy, jak mleczna maciora z połamanymi nogami. Chcemy młodych ludzi zarażać pasją nie tylko do muzyki i żywych instrumentów, ale też do wspólnej pracy. Dlatego tak bardzo promujemy orkiestry – bo w nich żyją podstawowe zasady wspólnoty społecznej.

Ale w Polsce – raczej skrzypce i pianino, a nie dęciaki, które królują w Twojej orkiestrze.

W ramach akcji „Pospolite ruszenie” przemaslowaliśmy żółte i różowe bloki, żeby pokazywać inne wzorce estetyczne. Potem, gdy widziałem gdzieś na osiedlu neutralnie odmalowane bloki, miałem nadzieję, że może to trochę dzięki mojej akcji. Może tak będzie też z dęciakami? Już obserwujemy rozwój tej kultury w Polsce, oddolnie.

W październiku wreszcie ma dojść do premiery „Chłopów”, do których napisałeś muzykę. Spędziłeś nad tym prawie cztery lata.

Szok, nie? To ważna lekcja. Nawet gdybym mógł zrobić muzykę do „Mission Impossible”, to „Chłopi” wydają mi się ważniejsi. Już samo powstawanie tego filmu o wspólnocie to opowieść tworzona przez wielką wspólnotę. Ten niesamowity, wręcz nadludzki wysiłek twórców to coś absolutnie zgodnego z moją filozofią. Malowanie filmu klatka po klatce! To było jak lot na Marsa! Twórcy, którzy chcą się świadomie skatować dla wyższej idei, dla wizji, dla uwrażliwiania społeczeństwa na piękno. Orkiestra artystów z różnych dziedzin. I dużo magii – spełnienie moich marzeń.

Rzeczywiście, co projekt, to inna bajka. Ale może film jest właśnie Twoim pudełeczkiem?

Gdy miałem 16 lat, marzyłem, żeby pójść na reżyserię do Łodzi, bo film był rzeczywiście moją największą pasją. Teraz wracam do ukochanego świata. Może wszystko po drodze było tylko po to, żeby nauczyć się różnych gatunków muzyki i być gotowym do udźwiękowienia każdej formy?

Wtedy koniec z rapowaniem?

Myślałem, żeby zrobić imprezę „Pożegnanie z mikrofonem” – o, twój kolega zatyka uszy [siedzi z nami Krystian, fan L.U.C.-a – przyp. JW]. Ale wiesz, chyba tego nie zrobię, nie jestem zwolennikiem wielkich zakończeń, a potem come backów – to tanie chwyt. Zresztą kogo by to obchodziło, że przestałem rapować, kiedy dziś raperów jest więcej niż programistów?

© Rozmawiała JOANNA WIŚNIEWSKA

Kobieta z prowincji

MICHAŁ SOWIŃSKI

Miejskie, akademickie, lewicowe środowisko zmierza w stronę egocentryzmu, co sprawia, że rozmowa z nimi jest męcząca, a oni sami są wyprani z resztek dystansu i poczucia humoru – twierdzi Juli Zeh.

CZY PRZY POMOCY LITERATURY MOŻEMY zmieniać świat na lepsze? Juli Zeh, niemiecka pisarka, prawniczka i polityczka, autorka wydanej niedawno u nas powieści „Wśród sąsiadów”, jest pod tym względem sceptyczna. Choć w swoich książkach drobiazgowej analizie poddaje zarówno relacje międzyludzkie, jak i problemy polityczne i ekonomiczne współczesnych Niemiec, to jednak w rozmowie z „Tygodnikiem” przyznaje, że w powieści nie da się rozstrzygać konfliktów: – Dzięki literaturze możemy jedynie zrozumieć, o co tak naprawdę się spieramy – twierdzi. Tylko tyle albo aż tyle.

Jej powieści, szczególnie te napisane z panoramicznym rozmachem, przypominają socjologiczne laboratorium. Ich ramą, zazwyczaj subtelnie zaznaczoną, jest sytuacja rozprawy sądowej. Jako pisarka i prawniczka (specjalizuje się w prawie międzynarodowym, jest także honorowym sędzią Sądu Konstytucyjnego Brandenburgii) Juli Zeh lubi zacierać granice między tymi dwoma porządkami, sugerując, że muszą się one uzupełniać i testować własną wiarygodność oraz wytrzymałość.

Witamy na prowincji

– Dzisiejsze czasy cechuje mocny powrót chrześcijańskiej świadomości religijnej. To zapewne odpowiedź na coraz częstsze w kulturze i debacie publicznej apokaliptyczne wizje przyszłości – mówi Zeh.

Jakie są tego skutki?



SOEREN STACHE / DPA / AFP / EAST NEWS

Juli Zeh. Poczdam, 27 kwietnia 2023 r.

– Coraz silniej formułowane są wszelkie osądy moralne, a co za tym idzie – coraz większa jest potrzeba dążenia do osobistego oczyszczenia, prowadzenia życia w poczuciu niezachwianej słuszności własnych działań i poglądów. Pod tym względem określiłabym te czasy mniej jako nihilistyczne, a bardziej jako neoreligijne – dodaje.

Ta polaryzacja, którą doskonale znamy z własnego podwórka, stała się tematem dwóch ostatnich powieści Zeh, czyli „Witamy w Unterleuten!” i „Wśród sąsiadów”. Akcja jednej i drugiej rozgrywa się w podobnych do siebie (a nawet sąsiadujących ze sobą) małych miasteczkach na brandenburskiej prowincji, mniej więcej godzinę drogi samochodem od Berlina.

Cisza, spokój, przyroda – ale już na pierwszy rzut oka widać, że miejsca te dalekie są od idylli, o jakiej fantazjuje wielkomiejska klasa średnia. Głębokie spory i urazy sięgają tam jeszcze czasów NRD,

a na nie nakładają się kolejne, których źródłem są pogłębiające się podziały ekonomiczne, a także narzucane z Berlina i Brukseli decyzje administracyjne.

W „Witamy w Unterleuten!” osię sporu są farmy wiatrowe. Część mieszkańców kategorycznie sprzeciwia się obecności monstrualnych, głośnych i szpecących krajobraz konstrukcji, inni z kolei widzą w nich okazję zarobku, byle oczywiście stanęły z dala od ich domów. Rusza więc skomplikowana machina intryg, w którą zaangażowanych jest kilkunastu bohaterów powieści. Co ciekawe, Zeh w kolejnych rozdziałach zmienia perspektywę, z której śledzimy ten biurokratyczno-socjologiczny kryminał – w ostateczności poznajemy punkt widzenia każdej z postaci.

Różni się rozłożenie akcentów, ale sama sceneria społeczno-ekonomiczna jest dla polskiego czytelnika aż nadto znajoma. Mamy tu więc lokalnego biznesmena, który w nie do końca uczciwy

sposób (tak przynajmniej twierdzi część mieszkańców) uwłaszczył się w 1990 r. na państwowym majątku, wójta niewzruszenie trwającego na swoim stanowisku od kilku dekad, wielu robotników i rolników, którzy do tej pory nie odnaleźli się w kapitalistycznej rzeczywistości, milionera z „zachodu” kupującego ziemię pod wiatraki jako kolejną z wielu inwestycji, a także młodych berlińczyków, których marzenia o życiu na wsi są brutalnie weryfikowane przez lokalne realia społeczne. W pozornie sennym Unterleuten wrze, a ostateczna i dla wielu katastrofalna konfrontacja jest nieunikniona.

Niezadowoleni i wykluczeni

– Dlaczego piszę o prowincji? Po pierwsze, sama mieszkam w małej miejscowości w Brandenburgii, dobrze więc znam to środowisko. Po drugie, wieś jest mikrokosmosem, gdzie jak w soczewce skupiają się wszystkie współczesne problemy. Życie w wielkim mieście jest bardziej płynne, można w nim bez problemu zmienić mieszkanie, pracę, znajomych, jeśli coś się komuś nie podoba. To sprawia, że ludzie stają się bardziej drażliwi i mniej tolerancyjni. Na prowincji jest inaczej, ludzie często nie mają wyboru i muszą się pogodzić z rzeczywistością, w której żyją – odpowiada na pytanie, które słyszy od zawsze.

Choć Zeh nie przyznaje tego wprost, z jej powieści przebija wyraźna sympatia (tak mało popularna wśród miejskiej inteligencji) dla tych zaściankowych, a momentami wręcz egzotycznych z perspektywy Berlina miejsc. Więcej nawet – widać tu także zrozumienie dla wielu postaw i poglądów, wrzucanych zazwyczaj do jednego worka, oznaczonego etykietką „postenerdowski konserwatyzm”.

Zdaniem Zeh powody narastającego niezadowolenia mieszkańców niemieckiej prowincji, które często przekłada się choćby na głosowanie na AfD, są w wielu przypadkach prozaiczne: kiepska jakość usług publicznych (np. brak komunikacji publicznej czy trudny dostęp do opieki zdrowotnej), pogarszająca się sytuacja gospodarcza wielu regionów, a do tego pogardliwy (często też coraz mniej zrozumiały) język elit z całego właściwie politycznego spektrum.

Znów brzmi to bardzo znajomo: – Wzrost popularności prawicowych

populistów, nie tylko w Niemczech, wynika z tego, że od kilku dekad żyjemy pod presją ciągłych zmian. To wyzwanie, z którym nie wszyscy dobrze sobie radzą. Wiele osób lęka się, że to wszystko zmierza w złą stronę. Problem polega na tym, że każdy, kto wyrazi wobec tego swój sprzeciw albo obawę, jest natychmiast piętnowany jako „nazista” i wykluczany z debaty publicznej. A to tylko pogłębia podziały i wzajemne niezrozumienie, czasem rodzi nawet agresję.

Zeh, która jest aktywna politycznie i należy do partii SPD, krytykuje także samą lewicę: – Ludziom mieszkającym na prowincji i zmagającym się z podstawowymi problemami żywymi coraz trudniej odnaleźć się w języku współczesnej lewicy, która stała się z jednej strony bardzo akademicka, z drugiej zapomniiała, że istnieją inne niż wielkomiejski style życia.

Wioskowy nazioł

Tę gorzką diagnozę najlepiej widać w ostatniej powieści autorki, czyli „Wśród sąsiadów”. Jej bohaterka, Dora, jest trzydziestoparolatką z Berlina, pracującą w branży reklamowej. Gdy wybuch pandemia, nie wytrzymuje życia w klaustrofobicznym, pogrążonym w lockdownie mieście i przeprowadza się do Bracken, małej miejscowości w Brandenburgii. Bez samochodu, nie znając nikogo, zaczyna po omacku mapować lokalne relacje sąsiedzkie. Za płotem mieszka Gote, „wioskowy nazioł”, jak sam się przedstawia. I to właśnie z nim – wyborcą AfD, myśliwym, do tego rzucającym na prawo i lewo mocno niepoprawnymi politycznie żartami – Dora w ciągu kilku miesięcy nawiązuje szczególną, niezwykle głęboką przyjaźń.

I nie chodzi o to, że ludzie z Bracken są inni, niż stereotypowo zakładają to lewacy z Berlina – wręcz przeciwnie, często bywają dokładnie tacy, a przy okazji czerpią dużą radość z bycia wcieleniem mrocznych fantazji mieszczuchów. Oczywiście przy bliższym poznaniu wszystko okazuje się bardziej skomplikowane i mniej oburzające (z perspektywy Dory). Wspólnota, którą tworzą mieszkańcy miasteczka, jest dużo bardziej inkluzywna i zniuansowana, a Dora szybko znajduje w niej swoje miejsce.

Pandemia, która właśnie się rozkręca, odgrywa w powieści bardzo ważną rolę.

To pod wieloma względami bezprecedensowe wydarzenie. Obok oczywistych konsekwencji uaktywniło także nowe podziały społeczne i spowodowało radykalizację niektórych postaw indywidualnych. Najżarliwsi uczestnicy sporów o noszenie maseczek, zachowywanie dystansu czy potem o obowiązek szczepień oczywiście odwoływali się do rozmaitych, dobrze już znanych wartości polityczno-ideologicznych. Jednak dramaturgia towarzysząca nieznanemu zagrożeniu sprawiła, że dawne spory nabrały nowego fanatyzmu, a sama komunikacja społeczna (jeszcze bardziej niż do tej pory zakleszczona w internecie) pobiła nowe rekordy egzaltacji.

Na początku powieści Dora rozstaje się ze swoim partnerem, typowym samozwańczym covidowym szeryfem, który całe dnie spędza na karceniu tych, którzy do pandemii nie podchodzą z należytą (czytaj: taką jak on sam) powagą (Dora powiedziałaaby – z histerią).

– To miejskie, akademickie, lewicowe środowisko zmierza w stronę egocentryzmu, co sprawia, że rozmowa z nimi jest męcząca, a oni sami są wyprani z resztek dystansu i poczucia humoru. Wielu uważa się za centrum świata i inwestuje ogromne pieniądze w rozwój zawodowy, fizyczny i moralny. Wierzą, że przyszłość zależy od tego, co jedzą lub gdzie robią zakupy. Aczkolwiek to tylko mentalność, a więc coś, co może się w przyszłości zmienić – twierdzi Zeh.

Pokój za wszelką cenę

Kryzysy społeczno-polityczne, których doświadcza dziś Zachód, są dla Zeh czymś naturalnym, wynikającym z samej natury demokracji, a nie, jak twierdzi wielu, przejawem jakiejś zapowiadającej jej rychły koniec aberracji: – Ważne jest, abyśmy znów nauczyli się ze sobą rozmawiać w sposób dorosły. To, jak obecnie prowadzone są dyskusje publiczne, często nie jest godne demokracji.

Często zabiera także głos w debacie politycznej jako sędzia i prawniczka, zazwyczaj krytykując lokalnych i zagranicznych polityków za wykorzystywanie sytuacji kryzysowych do ograniczania lub zawieszania praw jednostki. Na początku XXI wieku ostro sprzeciwiała się narracji o globalnej wojnie z terroryzmem, w ramach której powstawały ustawy zwiększające możliwości inwigilacji →

→ obywateli. Później krytykowała pomysł paszportów biometrycznych, a w czasie pandemii wprowadzanie, jej zdaniem, chaotycznych i w wielu przypadkach kontrskutecznych lockdownów.

W 2002 r. wydała głośny i tłumaczony na wiele języków esej reporterski „Cisza jest dźwiękiem”, będący zapisem jej podróży po Bośni kilka lat po zakończeniu wojny. Ten pierwszy od zakończenia II wojny światowej duży konflikt zbrojny w Europie, gdy trwał, budził u wielu obywateli Zachodu przerażenie swoją brutalnością, jednocześnie wytrącając ich z poczucia bezpieczeństwa i przekonania o stabilności świata

Zdaniem Zeh wojna na Bałkanach wytrąciła obywateli Zachodu z przekonania o stabilności świata, ale wraz z nastaniem pokoju niepokój błyskawicznie się ulotnił.

A ona sprzeciwia się tej wciąż powracającej amnezji.

(a przynajmniej jego europejsko-atlantycznej części). Jednocześnie, zdaniem Zeh, lęk ten wraz z nastaniem pokoju błyskawicznie się ulotnił. „Cisza jest dźwiękiem” to przede wszystkim głos sprzeciwu wobec tej przywracającej dobre samopoczucie zbiorowej amnezji.

Przeszło rok temu, kilka tygodni po rozpoczęciu pełnoskalowej rosyjskiej inwazji na Ukrainę, Zeh podpisała list otwarty do kanclerza Olafa Scholza, nawołujący do jak najszybszego zakończenia wojny, nawet za cenę ustępstw wobec brutalnego agresora. Ten kontrowersyjny apel, który odbił się szerokim echem w całym, nie tylko literackim świecie, uzasadniany był ryzykiem niekontrolowanej eskalacji konfliktu, z doprowadzeniem do III wojny światowej włącznie.

Na autorkę, zresztą nie pierwszy raz w jej karierze, posypały się słowa krytyki, choć w samych Niemczech było

ich najmniej. Tłumaczy: – Niemcy znajdują się w innej sytuacji historycznej i moralnej niż pozostałe kraje europejskie czy USA. Z wojny w byłej Jugosławii można się wiele nauczyć – także o wojnie w Ukrainie. Na przykład tego, że zakończenie wojny jest możliwe tylko za cenę bolesnych, również moralnie, kompromisów.

I dodaje: – Pokój jest jednym z najważniejszych warunków postępu ludzkości i konstruktywnej drogi ku przyszłości; nigdy nie powinniśmy zapominać o tej prostej mądrości.

O co się spieramy?

Wiele głosów polemicznych wobec niej było bardzo emocjonalnych, jednak w tym kontekście, szczególnie w przypadku samych ofiar wojny, również jest to uzasadnione. Zeh z pewnością zdawała sobie z tego sprawę, podpisując ten list, przez co ta decyzja może być odczytywana także jako akt wiary w fundamentalną rolę i znaczenie debaty publicznej.

Dla Zeh polityka i prawo, a także wartości, w ramach których one funkcjonują, nie różnią się w zasadniczy sposób od literatury. W obu przypadkach chodzi bowiem o budowanie opowieści, przy pomocy których możemy sobie i innym tłumaczyć chaotyczny i skomplikowany świat. Spór na gołe fakty, do tego unurzane w ideologicznym sosie, nie może niczego zmienić na lepsze – pogłębia jedynie wzajemną niechęć i niezrozumienie. Idee, poglądy i postawy tylko przepuszczone przez filtr opowieści, gdzie pojawiają się setki wcześniej niedostrzeganych niuansów, dzięki którym słabnie siła wstępnych uprzedzeń i temperatura emocji, zyskują społeczną realność.

Literatura nie ma nas pogodzić, zdaje się twierdzić Zeh od samego początku swojej kariery literackiej, nie ma nawet bezpośrednio pomagać w rozwiązywaniu konfliktów – ma nam jedynie pomóc uświadomić sobie, o co właściwie się spieramy.

© MICHAŁ SOWIŃSKI



Juli Zeh
WŚRÓD SĄSIADÓW,
przeł. Dariusz Guzik,
Sonia Draga,
Katowice 2023

Nolan, szkiełko i oko

MICHAŁ WALKIEWICZ

Oto jeden z ostatnich reżyserów, na których chodzi się do kina, bo i nazwisko samo „sprzedaje” filmy masowemu widzowi.

KIEDY ROBERT OPPENHEIMER ZAMYKA oczy, widzi świat rozpadający się na atomy; rozedrgane cząsteczki zdezerują się o siebie, układają się w drgające, fluorescencyjne wzory, pulsują przy akompaniamencie narastających basów. Gdy je otwiera, powidoki stają się dla niego drogowskazem, zamienia je w żelazną teorię mechaniki kwantowej.

Pytanie, czy to już materiał na kino, byłoby pewnie retoryczne, gdyby tegoż kina nie kręcił Christopher Nolan. Gdy on zamyka oczy, myśli pewnie o czasie, przestrzeni, snach, astrofizyce oraz bohaterach uwikłanych w nierozwiązywalne, moralne dylematy. Gdy je otwiera, widzi przelew.

Era Barbieheimera

„Oppenheimer”, zamaszysta biografia „ojca” bomby atomowej, wchodzi na arenę wakacyjnych premier w atmosferze marketingowej zawieruchy. W różowym narożniku czeka już najsłynniejsza lalka świata, Barbie, zamieniona przez reżyserkę Gretę Gerwig w ikonę nowoczesnego feminizmu. Najjaśniejszy dzień w Nibylandii kontra najciemniejsza noc w Ameryce – starcie interesujące wyłącznie z pozafilmowych powodów.

Po pierwsze, po niemal dwudziestu latach owocnej współpracy Nolan opuścił studio Warner Bros. w proteście przeciw równoczesnej premierze jego filmu „Tenet” w kinach i na platformie streamingowej. Gdy zaś wyznaczył już datę premiery „Oppenheimera” na koniec lipca, Warner, w ramach źle widzianej



MATERIAŁY PRASOWE

Na planie filmu „Oppenheimer”, reż. Christopher Nolan, 2023 r.

dystrybucyjnej praktyki, zorganizował tego samego dnia imprezę w domu dla lalek.

Po drugie, to pojedynek dwóch rodzajów kina, na które w Hollywood raczej nie ma dziś miejsca. Z jednej strony rozciągnięta do pełnego metrażu reklama zabawkarskiego molocha, z której kielkuje krytyka kapitalizmu (w Fabryce Snów przymyka się na nią oko, jeśli, coś... przynosi zysk). Z drugiej – nakręcony za 100 milionów dolarów trzygodzinny film biograficzny o facetach, którzy wypisują na tablicy matematyczne wzory. *Spoiler*: wygrają obydwa, choć to „Barbie” zarobi więcej pieniędzy.

Urodzony w londyńskim Westminsterze, 52-letni Christopher Nolan może być ostatnim reżyserem w Hollywood, który potrafi zjeść ciastko i mieć ciastko. Zadowolona producentów szukających tzw. ambitnej komercji, widzów spragnionych wielkiego kinowego spektaklu, filmoznawcze koła akademickie oraz pasjonatów nauk ścisłych. Początki jego kariery to klasyczny „mit założycielski”; opowieść o gruntownym katolickim wykształceniu, magisterce z literatury angielskiej, studenckich klubach filmo-

wych, fascynacji Spielbergiem i Lucasem, kamerach Super 8 i eksperymentalnych krótkich metrażach. I o tym, że będąc filmowcem na dorobku, nie możesz robić pustych przebiegów.

Swoją pierwszy film, „Śledząc” (1998), kręcił bez oświetlenia, z udziałem przyjaciół, wyłącznie w weekendy. Kolejny, „Memento” (2000), przyniósł mu już nominacje do Oscara i Złotego Globu za scenariusz. Następny zaś, „Bezsennosc” (2002) z Alem Pacino i Robinem Williamsem, przypieczętował jego wieloletni związek ze studiem Warner Bros. Przysługa za przysługę, jeden film dla studia, drugi dla siebie – „Batman. Początek” (2005) za „Prestiż” (2006), „Mroczny Rycerz” (2008) za „Incepcję” (2010), „Mroczny Rycerz powstaje” (2012) za „Interstellar” (2014). „Panu Bogu świeczkę, diabłu ogarek” to niby sprawdzona hollywoodzka zasada. Z tą różnicą, że w przypadku Nolana i świeczka, i ogarek kosztują setki milionów dolarów.

Ta autorska strategia artystyczna zaprowadziła Brytyjczyka na sam szczyt. Jasne, Nolan nigdy nie pasował do nowofalowej definicji kina autorskiego, w zgodzie z którą powinien sygnalizować swoje te-

matyczne obsesje i formalne fascynacje. Nie chciał też – jak zalecał Renoir – „kręcić jednego filmu przez całe życie”. A jednak trudno nie dostrzec w nim spadkobiercy wielkich hollywoodzkich perfekcjonistów – Kubricka (minus modernistyczne przekonanie, że bez samospalenia nie ma dobrej sztuki) oraz Spielberga (minus założenie, że bohater jest ważniejszy od struktury opowiadania).

Hokus pokus

W debiucie Nolana, „Śledząc”, bezrobotny pisarz obserwuje przechodniów w poszukiwaniu inspiracji do swojej powieści. Zanim spotka na swojej drodze włamywacza, złodzieja tożsamości i bezwzględnego trickstera, który zaprosi go do świata żywych i bolesnych emocji, w ludziach dostrzega przede wszystkim zafiksowane na celu, chodzące na niewidzialnych żyłkach automaty. Przedziwne ogląda się ten film dziś, gdy jest już oczywiste, że ludzie Nolana raczej nie interesują, że są dla niego fascynujący głównie w relacji z abstrakcjami – czasem, przestrzenią, snami albo... kinem.

W swoich filmowych poszukiwaniach Nolan nie cofnął się nigdy do dzieciństwa, →

→ nie próbował kopiować „Powiększenia” Antonioniego, nie opowiadał o swojej relacji z dziesiątą Muzą wprost, choć zdradzał intymną fascynację naturą samego spektaklu. Tak jest w „Śledząc”, w którym *modus operandi* bohatera pozostaje odzwierciedleniem strategii narracyjnej reżysera. Podobnie w „Batmanie. Początku”, czyli quasi-realistycznej reinterpretacji opowieści o Człowieku Nietoperzu, w której walczący ze złem superbohater przypomina aktora na niewidzialnej scenie. Pomijając bezbrzeżne bogactwo i starożytną sztukę walki, jego supermocą jest przede wszystkim fałszywa tożsamość, sceniczny wizerunek wzniesiony na psychoanalitycznych fundamentach. Uwielbiam scenę, w której Batman spada w głąb miejskiego labiryntu w całym swoim mrocznym majestacie, by usłyszeć od arcywroga: „Chyba potraktowałeś moją radę o teatralności nieco zbyt dosłownie”.

Kumulacją tych wątków jest „Prestiż” – opowieść o rywalizacji dwóch XIX-wiecznych iluzjonistów. Jeden to geniusz-samouk, który za grosz nie potrafi sprzedać własnego talentu. Drugi to sceniczne zwierzę, choć bez bożej iskry. Łączy ich natomiast przeświadczenie o pewnym dramaturgicznym *constans* sztuki iluzjonistycznej. A zatem i sztuki filmowej. Każda magiczna sztuczka składa się z trzech faz. Pierwsza faza to „obietnica”. Magik pokazuje widzom zwyczajny przedmiot, wycinek oswojonej rzeczywistości. Kolejna faza to „zwrot” – magik nadaje temu, co oswojone, znamiona niesamowitości, bawi się percepcją odbiorcy, sprawia, że przedmiot znika. Wreszcie – faza trzecia, czyli „prestiż”. Przedmiot musi pojawić się ponownie, a chwila, w której wietrzyliśmy podstęp, ustępuje miejsca erupcji dziecięcego zachwytu.

Obietnica

Zarówno „Memento”, jak i „Bezsensowność” są destylatem gatunku zwanego neo-noir – czarnego kryminału przeniesionego we



Christopher Nolan. Cannes, maj 2018 r.

współczesne realia, lecz zachowującego kluczowe elementy konwencji: opresyjną naturę miejsca akcji, bohatera działającego w zgodzie z moralnym imperatywem sprawiedliwości, kobiety sprawdzone do ról bezwolnych ofiar albo bezwzględnych *femme fatales*.

W „Memento” podążamy za mężczyzną cierpiącym na zanik pamięci krótkotrwałej, poszukującym mordercy swojej żony. Z przypadłością „detektywa” zestrojona jest cała forma, achronologiczna opowieść rozpoczyna się ostatnią sceną, a finał każdej kolejnej sekwencji jest zarazem początkiem poprzedniej. W „Bezsensowności” stary wiarus z wydziału zabójstw szuka na Alasce mordercy kobiet. Jednocześnie zмага się z wyrzutami sumienia – w trakcie pościgu za podejrzanym omyłkowo zastrzelił kolegę, który miał zademonstrować go u przełożonych za fabrykowanie dowodów. Osłepiająca śnieżna połać oraz niekończąca się biała noc – na podwójnej kontrze do reguły czarnego kryminału oraz symboliki barw – staje się metaforą egzystencjalnej matni.

W obydwu tych filmach Nolan dał się poznać przede wszystkim jako reinterpreter klasycznych hollywoodzkich gatunków. Jego twórczość działała na prostym silniku: forma ma odbijać treść, a struktura dramaturgiczna musi być odzwierciedleniem podświadomości bohatera. Motyw stracenia, uginającego się pod ciężarem rozmaitych traum, ustawionego na kursie kolizyjnym ze zdemoralizowanym światem, powracał regularnie w kolejnych „Batmanach”. Najlepszy z nich, „Mroczny Rycerz”, zderza figurę detek-

tywa o miękkim sercu i ciężkiej ręce z innym popkulturowym monolitem: personifikacją chaosu w postaci Jokera. Koniec końców największym lękiem Batmana okazuje się rzeczywistość pozbawiona jakichkolwiek zasad, punktów odniesienia oraz logiki, organizującej działanie przestępczego podziemia. W przeciwieństwie do barokowej wizji Tima Burtona, w której starcia Batmana i Jokera przypominały walkę postu z karnawalem, u Nolana biło się dwóch socjopatów na przeciwnych krańcach społecznej adaptacji. Niepohamowana siła (chaosu) uderzała w nieporuszalny (moralnie) obiekt.

Zwrot

Nakręcona za 200 milionów dolarów „Incepcja” zwiastowała nowy kierunek w twórczości Brytyjczyka. To opowieść o snach – o ich strukturze, a nie naturze, z symptomatycznym brakiem sceny seksu albo szybowania w powietrzu („Czy nie o tym śnią normalni ludzie?” – pytał ironicznie jeden z krytyków). W historii faceta, który wciąga ludzi w kolektywne, wielopiętrowe sny, aż do granic zatracenia jaźni, są i strzelaniny, i pościgi, i kaskaderskie fikołki. Ale chodzi głównie o koncept snu jako narracyjnego labiryntu, który dla Nolana jest ważniejszy niż seks i marzenia o lataniu; ważniejszy niż człowiek.

Jeszcze ambitniejsze koncepcyjnie „Tenet”, „Interstellar” i „Dunkierka” podążają tym samym szlakiem. Podobnie jak w „Incepcji”, głównym bohaterem i zarazem czarnym charakterem jest w nich czas. „Interstellar” to zapewne najatrakcyjniejsza wizualizacja teorii dotyczących tuneli czasoprzestrzennych – nieudana o tyle, że wpisana w schemat kiczowatego melodramatu o rodzicielskiej miłości pokonującej czas i przestrzeń. „Tenet” to z kolei powrót najstarszej magicznej sztuczki w dziejach kina, czyli odwróconego ruchu. W praktyce – dwa filmy w jednym, o przeciwnych narracyjnych wektorach. „Dunkierka” zaś to rzecz o horrorze wojny, opowiedziana językiem teorii względności. Uwięzieni na plaży brytyjscy żołnierze muszą przetrwać tydzień pod wrogim ostrzałem. Ruszający im na pomoc w ramach pospolitego ruszenia rybacy mają zaledwie dzień, by dopłynąć do brzegu. Natomiast samotny pilot RAF-u potrzebuje godziny, by oczyścić

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

www.radiokrakow.pl

niebo z samolotów Luftwaffe. W obiektywie Nolana całość zostaje sprasowana do pojedynczej chwili odwagi i desperacji, strachu i bezradności.

Najciekawsze jest to, że – pomijając z oczywistych względów „Dunkierkę” – reżyser nigdy nie miał ambicji mocowania tego rodzaju historii w realistycznej konwencji. W „Interstellar” superpilot wsiada do zaparkowanej w ogródku rakiety i leci w gwiazdy, by uratować umierającą planetę. W „Incepcji” superspieg włącza fikumikator elemeledudkowy i już może buszować po cudzych snach. Liczy się wyłącznie to, by sam przedmiot „badań” nie był elementem blagi – nie bez powodu „Interstellar” oraz „Tenet” doczekały się laudacji ze strony środowisk naukowych. I żeby wybrzmiało klarowne przesłanie: czas jest wszystkim, co mamy. Warto myśleć o nim jak o walucie, której zawsze brakuje.

Prestiż

Robert Oppenheimer, bohater najnowszego filmu Nolana, również ściga się z czasem. Chce wyprzedzić nazistów w nuklearnym wyścigu, uprzedzić rząd USA w regulacjach dotyczących arsenału jądrowego, zmienić świat, zanim zmienia go jego prywatni bogowie – europejscy fizycy z przewagą kilku lat praktyki.

Jest najciekawszym bohaterem Nolana nie tylko z powodu potwornego balastu, który zaciąży na nim po wojnie. Jasne, reżyser opowiada i o tym, w kilku poetyckich sekwencjach „opóźnionego zapłonu” pokazuje, jak doniesienia z Hiroszimy i Nagasaki powoli odciskają piętno na psychice bohatera. Sednem filmu nie są jednak pytania natury etycznej.

Nolan w równym stopniu,
co bohaterem, jest
pochłonięty abstrakcją,
czyli atomem.

Jak coś tak ulotnego
i pięknego w swojej
efemeryczności
**może stać się tak
dosłowne, namacalne
i śmiertelne?**

Oppenheimer to jednocześnie geniusz zaglądający pod podszewkę rzeczywistości, głupiec, któremu umyka refleksja nad potencjalnymi konsekwencjami małżeństwa z armią, a także ofiara sił politycznych, których natury nigdy nie rozumiał. Nolan zaś w równym stopniu, co bohaterem, znów jest pochłonięty abstrakcją, czyli atomem. Jak coś tak ulotnego i pięknego w swojej efemeryczności może stać się tak dosłowne, namacalne i śmiertelne?

W jednej ze scen bohater przykładą dłoń do dłoni swojej żony i eksplikuje tę refleksję: życie to ciągle podtrzymywanie iluzji, że coś namacalnego i żywego wypełnia przestrzeń pomiędzy tymi drobinami (cytuje z pamięci).

„Oppenheimer” to wspaniałe kino. Nie tylko z powodu absurdu nagromadzenia oscarowych ról na milimetr taśmy filmowej (wcielający się w fizyka Cillian Murphy oraz Robert Downey Jr. jako wyraźnie inspirowany formanow-

skim Salierim antagonistą Lewis Strauss mają to jak w banku). Najważniejsza jest tu sama optyka, w zgodzie z którą wszystkie medialne wizerunki Oppenheimera składają się na coś w rodzaju „nieświadomej woli”. Elsa Morante w eseju „Bomba atomowa: za albo przeciw” pisała o niej tak: „Nikt nie chce poprzestać na wierze, że mamy tu do czynienia z przypadkiem, że do decydującego kryzysu w dziejach ludzkości doszło wyłącznie dlatego, że w pewnym momencie ludzka inteligencja, zawsze poszukująca nowych przygód, podażyła mroczną ścieżkę (...) Wszyscy doskonale wiedzą, że w wydarzeniach zbiorowych, jak i w indywidualnych, również to, co jawi się jako przypadek, jest niemal zawsze czymś, co nazywamy losem, nieświadomą wolą. A więc ostatecznie – wyborem”.

Nolan potwierdza tę prawdę z całą bezwzględnością filmowca. I kręci kolejny, najlepszy po „Mrocznym Rycezu”, film Christophera Nolana. Jego kino musi być drogie, ale budżetów przekraczać nie wolno. Jeśli w scenariuszu jest katastrofa samolotu, nie ma wyboru – trzeba rozbić samolot. Dziesiąta muza żyje tylko na ekranach IMAX. Telefony komórkowe jedynie przeszkadzają w pracy. Popielate garnitury to najlepsze służbowe uniformy. Kolega po fachu śmieje się, że od czasu Davida Leana nie było w kinie popularnym takiej figury – wypranego z emocji „mózgu pod kloszem”; stuprocentowego Brytyjczyka, który wie, jak wykorzystać amerykańskie pieniądze. Parafrazując Bruce’a Wayne’a: bohatera, na którego Hollywood nie zasłużyło, ale którego właśnie teraz potrzebuje.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie w II Wydziale Cywilnym pod sygn. akt II Ns 195/21 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Piotrze Tomaszu Nowińskim, zm. 28 października 2008 r., ostatnio stale zamieszkałym w Warszawie przy ulicy Geodetów 2/161.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m. st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy dla Krakowa-Podgórze w Krakowie I Wydział Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt I Ns 683/22/P z wniosku Gminy Miejskiej Kraków o stwierdzenie nabycia spadku po Joannie Szydło, córce Krzysztofa i Krystyny, zmarłej w dniu 2 września 2021 r. w Krakowie, ostatnio stale zamieszkałej przy ul. Bałuckiego 7g/20 w Krakowie.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosiły się w Sądzie Rejonowym dla Krakowa - Podgórze w Krakowie i wykazały swoje prawo do dziedziczenia, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postanowieniu stwierdzającym nabycie spadku.

Różowy nagrobek patriarchatu

ANITA PIOTROWSKA

Grecie Gerwig nie wystarcza „tiktokowy feminizm”. Kiedy mowa o jej filmie, równie często co „wywrotowość” pada słowo „samoświadomość”.

GRETA GERWIG ZACZYNAŁA JAKO SCENARZYSTKA I AKTORKA W amerykańskim kinie niezależnym, m. in. przy filmach swojego partnera Noaha Baumbacha („Greenberg”, „Frances Ha”, ostatnio „Biały szum”). Jej samodzielny debiut scenopisarsko-reżyserski to pełna osobistych wątków „Lady Bird” (2017). Kolejny tytuł, swobodna adaptacja „Małych kobietek” (2019), otrzymał aż sześć nominacji do Oscara.

Kiedys łatwo było zrobić z niej lalkę do bicia lub od razu spalić ją na stosie. Drewno do tego ognia dokładano i z lewa (za promowanie konsumpcjonizmu i wywoływanie dziewczęcych kompleksów), i z prawa (za permissywne „możesz być, kim chcesz”). Seksualizacja dziecięcego gadżetu i wpisany weń pop-feminizm mogły drażnić obie strony. Najlepsze w filmie „Barbie” jest właśnie uchwycenie tego paradoksu i granie nim na kilku plastikowych bębenkach jednocześnie.

Reżyserka mówi, że chciała, by stworzone na ekranie uniwersum w neonowych kolorach łączyło sztuczność z autentycznością. Miała na myśli samą inscenizację, ale chodziło jej pewnie o coś więcej – żeby w rozrywkowej formie, za pomocą przebudzonej Barbie, dotychczas symbolu próżności i kiczu, opowiedzieć o zmieniającym się świecie, ograniczających rolach społecznych, popkulturowych wzorcach. I pokazać, jak wiele tracą pod ich dyktando i kobiety, i mężczyźni.

Już na wstępie zdezawuowana zostaje tak zwana „mistyka kobiecości”, czyli

fantazja o życiu zamkniętym w domku dla lalek. A finalnie także wojna płci, której celem byłoby ukaranie Kena (w tej roli brawurowy Ryan Gosling) za to, że ośmielił się zatęsknić za patriarchatem. Scenarzyści – Gerwig i Baumbach – reprezentują bowiem feminizm nowoczesny, w którym nie chodzi o zwycięzców i pokonanych. W następstwie wielkiej różowej rewolucji wygrać mają wszyscy.

Oczywiście najpierw musiały być wykpięte stare porządki. Kraina Barbie oznacza świat tyleż idealny, co naiwny: kobiety są tu prezydentkami, noblistkami i sędziami Sądu Najwyższego, choć wiadomo, że w prawdziwym świecie to jedynie chwyt marketingowy, skierowany do możliwie zróżnicowanej grupy rodziców, również tych bardziej postępowych. Stąd też lalki o różnym kolorze skóry czy na wózek inwalidzkim. One wszystkie rządzą jedynie w Barbie Landzie, podczas gdy po drugiej stronie lustra rzeczywistość ciągle skrzeczy. Rewolucja polega jednak na tym, że to Barbie Stereotypowa, która chodząc non stop w szpilkach nie dotknęła ziemi ni razu, zaczyna – niczym bohater „Truman Show” – dostrzegać wreszcie fikcyjność tego świata. Uświadomiona przez żyjącą na marginesie utopii Dziwną Barbie wyrusza do realu, by tam, w asyście nudnego Kena, odnaleźć dziewczynkę odpowiedzialną za jej egzystencjalne „popsucie”. Wszak Barbie, będąca produktem na sprzedaż czy zbiorowym pragnieniem, może się okazać także czyjąś bardzo osobistą projekcją, zresztą nie tylko dziecięcą.

Zagrana przez Margot Robbie idealna Barbie jest właściwie taką wyszczuploną matryoszką, z której co chwila wyskakuje jakaś inna Barbie i wszystkie one toczą ze sobą walkę o siebie autentyczną. Z rzeczywistości fałszywie pastelowej, gdzie nie ma miejsca na cellulit i myśli o śmierci, bohaterka ucieka więc do świata ludzkiego, rządzonego przez kowbojów i Kenów w garniturach, po czym rozpętuje lalczyzną rewolucję, pragnąc odzyskać Barbie Land, przemianowany pod jej nieobecność na Kenstwo (brawa dla tłumacza!). Przy tym Gerwig nie wystarcza „różowy koń trojański” czy „tiktokowy feminizm”. Kiedy mowa o jej filmie, równie często co „wywrotowość” pada słowo „samoświadomość”. Albowiem „Barbie” to mistrzostwo marketingu z wykorzystaniem autoironii. Nawet satyra i (samo)krytyka stają się tu zakamuflowaną (auto)pochwałą. Nawet wplecione do akcji zmaskulinizowane szefostwo firmy Mattel, producenta Barbie i zarazem filmu „Barbie”, pozwala się tu łagodnie ośmieszyć. Zabieg opłacalny, bo za pewno wizerunkowy lifting.

Również reżyserka, tworząc z plastiku nagrobek patriarchatu i pomniczek zabawkarskiego potentata, który dał jej ponoć wolną rękę przy pisaniu scenariusza, zgrabnie asekuruje się autorską ironią. Jeszcze przed premierą podzieliła się imponującą listą filmowych referencji, wśród których znalazły się „2001: Odyseja kosmiczna”, „Parasolki z Cherbours”, „Jeanne Dielman, Bulwar Han-





MATERIAŁY PRASOWE WARNER BROS

BARBIE

– reż. Greta Gerwig.
Prod. USA 2023.
Dystryb. Warner
Bros. W kinach.

dłowy, 1080 Bruksela” czy musicale w technicolorze (satyryczno-choreograficzne wstawki robią naprawdę dobrą robotę). Te cytaty pozwalają smakować film na wielu poziomach i sprawiają, że nie jest on bezwstydłą franczyzą skąpaną w barwach fuksji.

Jeśli można coś poważnego „Barbie” zarzucić, to tyle, że bywa zbyt dosłowna i nazbyt poważna. Że nie wyciska, wzorem choćby „Toy Story”, całego potencjału z zabawkowego świata i za mocno gra na emocjach przyniesionych do Barbie Landu z zewnątrz. Spotkanie bohaterki ze swą sędziwą stwórczynią czy wątek zatrudnionej w Mattel samodzielnej matki (America Ferrera) i jej córki (Ariana Greenblatt), których losy splotły się z losem lalki, chwytają za serce, lecz zamulają czułościowością i przegadaniem. Programowe tyrały i akty samokrytyki wbrew swoim zacytnym intencjom nie przysługują się filmowi kręconemu pod hasłem „wyzwolić Barbie”.

Za to główni aktorzy w pełni dają radę. Wówczas, gdy prześmiewczo wcielają się w doskonałe istoty bez genitaliów i z ograniczonym mózgowiem, i wtedy, gdy ich sztuczne postacie cierpią naprawdę, a spod grubego makijażu wychodzi faktyczny wiek. Wtedy opowieść zyskuje nieco inny wymiar, staje się jeszcze bardziej autotematyczna, przypomina o żywej fizyczności aktorów. Wszak Hollywood to jeden wielki Barbie Land, a co dopiero w epoce sztucznej inteligencji fabrykującej wszystko i wszystkich.

Oczywiście, balansowanie między nostalgią i flirtem ze znanymi markami a szaloną zabawą i wyartykułowaną wprost rebelią musiało wpłynąć na spójność przekazu, nie mówiąc o narracyjnej potoczności. Mimo to cele zostały osiągnięte. Na filmie Greta Gerwig spotkają się fani i antyfani długonogie lalki, feministki i (umiarkowani) obrońcy patriarchy, kinofile i niedzielni oglądacze. Być może będą się śmiać w różnych momentach, ale przecież o takie popolite ruszenie właśnie chodziło: wytwórcom zabawki i filmu, którzy z pewnością mogą już odtrąbić podwójny sukces, oraz twórcom, którzy ożyli na ekranie syntetyczne królestwo.

Miejmy nadzieję, że nie tylko wielcy i bogaci z różowego dywanu na tym zyskają. „Barbie”, wierna formule „uczyć bawiąc”, ma do przekazania coś istotnego i stylistycznie nie daje się łatwo zamknąć w celofanowym pudełku. Dlatego tym razem wypada cieszyć się faktem, iż mamy do czynienia z ogladaną przez miliony superprodukcją, a nie jedynie z manifestem feministycznym o niszowym zasięgu. ©

Lektor: Sprawiedliwi z Podlasia



■ Mikołaj Grynberg
JEZUS UMARŁ W POLSCE
Wydawnictwo Agora,
Warszawa 2023,
ss. 328

JEZUS – ISSA JERJOS – BYŁ SYRYJCZYKIEM, CHRZEŚCIJANINEM, miał 24 lata. Zmarł jesienią ubiegłego roku na polu we wsi Klimówka na Podlasiu, pochowano go na cmentarzu prawosławnym w Sakach. Jest jedną z czterdziestu pięciu osób na liście tych, którzy szukali lepszego świata i umarli na polsko-białoruskiej granicy. Tych, których śmierć udokumentowano do chwili zamknięcia pracy nad książką. Listę zamyka suche zdanie: „Na prośbę bliskich Grupa Granica wciąż poszukuje 344 osób zaginionych”.

Trudno się czyta tę książkę – ale, jak pisze Maja Ostaszewska, która na pograniczu jeździła, nie można jej nie przeczytać. „Naszą powinnością moralną jest nie uciekanie od prawdy. Niektórych bohaterów Mikołaja Grynberga poznałam osobiście. Widziałam, jak całe swoje życie podporządkowali niesieniu pomocy i jaką cenę przychodzi im za to płacić. (...) Jeszcze inni pozostaną anonimowi do czasu, kiedy nie będą zagrożeni. Kiedyś dzieci będą uczyć się w szkołach o ich odwadze, empatii. Będą pytać, jak to było możliwe i jak zachowali się w tym czasie”.

Bo rozmowy z ludźmi zaangażowanymi w pomoc uchodźcom usiłującym przedostać się przez granicę i zwracającym siłą na Białoruś to także historia milczącego przyzwolenia większości na usankcjonowane odgórnie przeraźliwe okrucieństwo. Opowieść o buncie nielicznych, ich odwadze, determinacji – i ostatecznie często bezradności, bezsilnej furii. Jedną z rozmówczyń Grynberga wyznaje: „Pomagam na tyle, na ile jestem w stanie, i będę to robić do momentu, kiedy nie zwariuję”. I nawet najdzielniejsza z dzielnych, lekarka Paulina Bownik, mówi w pewnej chwili: „Nie mam już siły”. Wśród zbuntowanych jest były wojewoda podlaski i wicemarszałek województwa Maciej Żywno. „Gdy zaczął się kryzys w Usnarzu, siedziałem spokojnie. (...) Byłem święcie przekonany, że system pomocy humanitarnej i zarządzania kryzysowego będzie funkcjonował”. Okazało się inaczej. Grynberg rozmawia też z dwoma anonimowymi funkcjonariuszami Straży Granicznej – także i te rozmowy, choć przygnębiające, warte są lektury.

Mikołaj Grynberg, fotograf, pisarz i psycholog, znakomicie opisywał dotąd traumy z przeszłości. „Ostatnie wydarzenia otwierają stare blizny i widzimy, że nigdy się nie zagoiły” – zauważa Agnieszka Holland. Czekamy teraz na jej film o pograniczu. ©©

OLGA

Drenda:

Zielone pojęcie



JEDEN Z NAJBARDZIEJ PORUSZAJĄCYCH momentów, jaki można samodzielnie przeżyć, to zderzenie z sobą samym. Rozumiem przez to uświadomienie sobie, czasem szokujące, że jesteśmy zdolni do czegoś, o co się nie podejrzewaliśmy. Ten

moment niespodziewanej jasności bywa przyjemnym zaskoczeniem, np. gdy odkrywamy, że jednak nie czujemy tremy na scenie, albo kiedy wykazemy się odwagą cywilną. Ale może być też odwrotnie, jak zimne ostrzeżenie, porażenie prądem: „a więc to też ja” – kiedy odkrywamy w sobie coś niebezpiecznego czy podatnego na łatwe pokusy, kiedy pojawia się ten przeblysł: „a może jeśli skłamię, to nikt się nie dowie”, albo: „a gdyby tak zwalić winę na kolegę”. Wtedy dostajemy szansę, by porzucić jakieś iluzje o sobie samych, i by w porę wdrożyć środki ostrożności.

Zawsze doceniam, gdy ktoś opowiada o takim doświadczeniu (uważam to bowiem za przejaw niezbyt poważanej, a pożytecznej cechy, jaką jest pokora). Ostatnio natrafiłam na taką opowieść u Daniela Pinchbecka, reportera zainteresowanego bardziej tajemniczą stroną świata i niestroniącego od fascynacji ezoteryką czy alternatywnymi filozofiami, nie tylko z ciekawości poznawczej, ale z przekonania. Osobiście uważam te eksploracje za zbyt daleko idące, ale jednocześnie uznaję, że warto czytać różne głosy, by pozwolić sobie przez przypadek odkryć coś ciekawego. Wiele ścieżek wszak może wieść do wiedzy. I tak się stało: Pinchbeck napisał o tym, jak omal nie uwierzył w niesławną teorię QAnon. Jako sympatyk alternatywnej myśli, a jednocześnie optymiści wierzący w pozytywną przemianę zbiorowej świadomości sądził, że jest odporny na doszukiwanie się wszędzie wrogów czy wiarę w tajemniczych „onych” sekretne sterujących

wydarzeniami. W porę udało mu się jednak przyznać przed samym sobą, że choć uznał teorie QAnon za absurdalne, to coś kusiło go, by wsiąknąć na dobre w z pewnością ekscytujący, lecz zgubny świat „łączenia kropek”.

To swoje „osobiste Altamont” (festiwal, podczas którego na koncercie Rolling Stonesów doszło do zabójstwa, uważany jest za symboliczny koniec epoki hippisowskiej) Pinchbeck połączył z zaobserwowaną tendencją w swoim środowisku. Ludzie, którzy dążyli do oświecenia i wierzyli w przemianę świata na lepsze poprzez pracę ze świadomością, nagle odkrywali rozkosze podejrzliwości, tropienia wroga, a nawet nienawiści, wchodząc na drogę być może bez powrotu.

By wyjaśnić to zjawisko, powołał się na teorie Kena Wilbera, niegdyś – w optymistycznych latach 90. – bardzo wpływowego, dziś trochę zapomnianego psychologa i myśliciela, twórcę teorii integralnej, bardzo synkretycznej i niekoniecznie ściśle naukowej koncepcji rozwoju świata i ludzkości. Sądzę, że próby stworzenia „teorii wszystkiego” warto traktować z więcej niż szczyptą sceptycyzmu, ale jedno, do czego z pewnością się przydają (w tym pisarzom), to metafory. W tym przypadku to „wredna zieleń” (*mean green*), ponieważ Wilber używa kolorów dla określenia różnych stadiów rozwoju osobowości czy kultury. Zieleń jest „hippisowska”, otwarta, uznaje, że „wszystko jest dla ludzi”, i że „punkt widzenia zależy od punktu siedzenia”, jednocześnie ma jednak w sobie załączek arogancji. Może zatem wszystkie opinie są równe, ale moja jest najrówniejsza, a przede wszystkim – nikt nie będzie mi mówił, jak mam myśleć.

To paradoks „antysystemowości”, która obiecuje drogi wyjścia i alternatywy, a jednocześnie zasklepia i zaciemnia. Do tego prowadzi zdumiewająco podobną ścieżką – od rozsądnego sceptycyzmu i dopuszczania różnych możliwych scenariuszy po punkt, w którym te najmniej prawdopodobne przejmują kontrolę nad nami (z pewnością pomagają w tym algorytmy, które podpowiadają, co chcemy znaleźć). Wyłączamy zatem TV i włączamy myślenie, szukając wiedzy u niezależnych źródeł. I tak gospodarz kanału na YouTubie, który wczoraj radził nam, jakie zażywać suplementy i prawidłowo oddychać, jutro może zaprosić do programu wyznawcę Reptilian i przeprowadzić z nim bez mrugnięcia okiem w pełni poważną rozmowę. Czy myślenie nadal pozostaje włączone? A może już w ogóle nie chodzi o myślenie, tylko porywa nas pragnienie sprawdzenia, co by było, gdyby – i zaczynamy myśleć, że zapewne świat nie jest rządzony przez jaszczury, ale też nikt nie może udowodnić, że nie jest. Jeśli tkwi w nas wrednozielone ziarno arogancji, będziemy chcieli coraz mocniej domagać się dowodów na nieistnienie Reptilian, aż w końcu sami uwierzimy, że coś jest na rzeczy.

To być może ostatni moment na test kontaktu z rzeczywistością, tak jak w przytoczonej anegdocie. Czy odmówimy sobie wtedy przyjemności posiadania (zawsze) racji? Przed wredną zielenią chroni bowiem najskuteczniejsza stara, dobra, szarobura pokora.

©

To zieleń
łagodna
i dla
kumatych



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo:

Pijcie, co wam się zachce



PIĘTNAŚCIE PUSZEK TZW. DIETETYCZNEJ COLI dziennie może wypić mężczyzna średniej budowy ciała bez narażania organizmu na niepożądane skutki działania aspartamu. Czyli słodzika dającego pretekst dla „diety” w nazwie tego rodzaju napojów,

o ile rozluźnimy aż po bezsens granice tego pojęcia. Jedyną bowiem pośrednią korzyścią dla ciała z obecności aspartamu lub podobnych mu substancji jest zastąpienie cukru, a zatem niższa kaloryczność, dzięki czemu można przynajmniej na krótką metę jeść i pić na słodko, a przy tym nie utyć.

Owszem, rozumiem potrzebę bycia przekonanym, że się o siebie „dba” – cudzysłów wyraża niezbędną dawkę autoironii uodparniającą na fanatyzm. Nie będę więc się wymądrzać, komu jaka dieta przystoi. Ale jednak dziwi, że można chcieć wypranej z cukru wersji czegoś, co z definicji technicze czułe miejsca w mózgu odpowiedzialne za niezdrowe uzależnienia. Przecież urok coli polega głównie na tym, że jest bombą kaloryczną i służy za nagrodę, małe święto. Gdy w najgorszy gorąc przycinał niedawno krzaczki w winnicy pod Goszycami, około południa przyszła do mnie piękna wizja lodowatej coli na koniec roboty, po którą zejść ze wzgórza do gees przy remizie. Na bieżąco pochłaniałem wysokozmineralizowaną wodę, ale ta obietnica coli pomogła mi przetrwać jeszcze kilka godzin w towarzystwie głodnych gzów. One nie potrzebowały ani minuty sjęsty.

Gees w odróżnieniu od gzów okazał się czynny tylko do czwartej, czego w swoim wielkomięskim, całodobowym umyśle nie przewidziałem. Z powodu słabego zasięgu nie byłem też świadom, że tego samego dnia dwie agendy Światowej Organizacji Zdrowia ogłosiły wnioski z nowych metaanaliz badań nad aspartamem. Panel ekspercki ds. dodatków żywnościowych potwierdził wcześniej już podawaną bezpieczną dawkę, 40 mg na kilogram masy ciała, z czego się bierze owo uśrednione piętnaście puszek dla przeciętnego faceta (kobietom, jak zwykle, każe się korzystać z ich wyższej inteligencji, muszą same to przeliczyć...).

Międzynarodowa Agencja Badań nad Rakiem (znana pod angielskim skrótem IARC, choć siedzibę ma we Francji) przesunęła tymczasem aspartam do kategorii 2B, czyli substancji „być może” rakotwórczych. To najniższy poziom, raczej sygnał „uwaga na ten składnik, musimy go dalej badać”. Ale eksperci tworzący tabele IARC są świadomi ryzyka uproszczeń, więc sumując wyniki z kilku rodzajów źródeł działają z przesadną raczej ostrożnością. Taka kwalifikacja ma więc swój ciężar naukowy, ale niestety także polityczny i pieniężny: dla producentów spożywczych już sama obecność na półce z „dwójką” jest niebezpieczna – choć w tej samej kategorii występują np. fale radiowe z telefonu, wyciąg z aloesu, talk do ciała, a także... azjatyckie pikle. Wyżej, w kategorii 2A

– czyli „prawdopodobnie” – mieści się praca na nocną zmianę, a także np. glifosat – a jednak odpowiednie agendy unijne dopuszczają używanie u nas tego herbicydu. Od tabelki IARC do decyzji urzędowych droga bowiem daleka, zwłaszcza kiedy – jak w przypadku np. Ameryki – w obronę „niezależności” urzędu ds. żywności angażują się wspólnie i solidarnie wielcy, na co dzień śmiertelnie wroży sobie, giganci z rynku napojów, finansując coś o nazwie „Koalicja na rzecz bezpiecznych wyborów żywieniowych”.

Jest o co walczyć – nie dość, że aspartam został „2B”, to nie dalej jak w maju WHO ogłosiło, że wcale nie pomaga on na dłuższą metę stracić wagi i nawet zwiększa ryzyko cukrzycy typu drugiego. Nie dziwota, że do kierowania tą, jakże obywatelską i oddolną, organizacją sponsorzy wynajęli pospołu byłych sekretarzy zdrowia z administracji Trumpa i Clintona.

I znów się okazuje, że prawdziwie ponadpartyjne są tylko zera po jedynce. Ale nie będę wam tydzień po tygodniu zatruwał przyjemności węszeniem spisków. Pijcie, co wam się zachce, o ile zdrowie jeszcze pozwala, choć namawiam raczej na wersję z cukrem. Tamtego popołudnia po pracy skończyło się na pysznych lodach (o smaku *crema catalana*) w pobliskiej Baranówce. O tym, jak wybitnie rozwinięła się kultura lodziarska w Polsce gminnej, napiszę niebawem z godną zagadnienia namiętnością. Na razie rekrutuję ekipę ochotników do tego zadania, wolnych od cukrzycy i niedbających o wagę. Wcale niełatwe w moim pokoleniu. ©P

*Mamy kolejny z ulubionych momentów granicznych – jeszcze da się znaleźć ostatnie truskawki, a już wkraczają dobre polskie brzoskwinie. Wiecie już, dzięki tej rubryczce, co zrobić z tymi drugimi – czyli przygotować **Belliniego**: po 2 brzoskwinie na osobę miksujemy (jeśli nie macie miksera, to można obrać, rozdrobnić w misce i przetrzeć przez sito) i łączymy ok. 1:1 z **musującym winem** (kiedy nie mam otwartego szampa – czyli przez 360 dni w roku – dodaję spokojne, mocno wytrawne wino, nawet taką wersję wolę). Ale podobną przyjemność daje **Rossini**: tutaj po prostu łączymy z **winem** zmiksowane i koniecznie przetarte przez sito (pesteczki!) **truskawki**. Nazwa nie ma nic wspólnego z muzyką, tylko ze słowem rosso w nazwisku kompozytora. Za to malarskie, i to całkiem słuszne, skojarzenie ma jeszcze inny wenecki, rzadziej spotykany koktajl – **Tintoretto**: białe wino musujące z dodatkiem świeżego soku z granatów.*



PAWEŁ BRAVO

ZMYŚŁY

WAWEL OD KUCHNI

BARTEK KIEŻUN, ANTROPOLOG KULTURY:

Piwo pili wszyscy. Leszek Biały odmówił
papieżowi udziału w krucjacie, bo na
Wschodzie, gdzie miał się udać,
nikt nie warzył piwa.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Czy na Wawelu jadali zdrowo?

BARTEK KIEŻUN: Kuchnia przełomu średniowiecza i renesansu przypomina dzisiejszy trend spod znaku diety keto.

Niskokaloryczna dieta pudełkowa?

Dieta pudełkowa kojarzy się raczej z nadmiarem kalorii, a przypuszczam, że mało kto na Wawelu miał problemy z tustą. Mięsa nie brakowało, ale na królewskim stole pojawiały się też warzywa: brukselka, rzepa, rzodkiew, pory. I owoce sezonowe: jabłka i gruszki, poziomki i wiśnie. Część owoców suszono, w tym śliwki. Było też mnóstwo kiszonek – kapusta, dereń. Kiszone rydte to znakomita baza dla zup.

Kiszono barszcz?

To jedna z pierwszych polskich polewek zakwaszana kiszonymi liśćmi barszczu zwyczajnego. Dodawano do tego kawałki ryby, mięsa, czasem kaszę lub jajko. Potem zaczęto wykorzystywać zakwas chlebowy. Powstała zupa, ale nadal nie ta, którą znamy z dzisiejszego wigilijnego stołu. Czerwone buraki czy raczej „ćwikielki”, jak je nazywano w czasach Mikołaja Reja, wykorzystywano do barwienia kapusty. Kolejnym krokiem było ich kiszenie, by sprawdzić, jak smakują bez kapusty. Smakowały dobrze, więc ugotowanie na nich zupy było naturalną kolejną rzeczą.

Menu narzucał kalendarz liturgiczny. W XVI wieku w ciągu roku obowiązywało dwieście dni postu.

Ale mówiono: post dla smakoszy daje krocie rozkoszy! I trzeba wiedzieć, że post ewoluował. W pewnym momencie zabroniony był nabiał i jajka. Potem jednak przyszedł i taki okres, w którym post dopuszczał raki, ogon bobra, wydrę, gęś albo kaczkę, co uzasadniano tym, że to wodne zwierzęta.

A ryby?

Kiedy przyjeżdżali do nas posłowie z zagranicy, cieszyli się widząc je na stole. Uważali, że Polacy przygotowują je znakomicie. Choćby szczupaka w sosie szafranowym. Karpie królewskie sprowadzano na Wawel ze stawów w Zatorze założonych na polecenie Bolesława Krzywoustego, śledzie – z Gdańska. Transport żywych ryb odbywał się w beczkach z wodą słodką lub słoną. Były też sandacze, łososie, pstrągi dzikie. Bo te hodowlane pojawiły się dopiero w XIX wieku.

Szafran do szczupaka? Przecież był niebotycznie drogi!

Trzymano go pod kluczem – prawie jak w skarbcu. Na Wawelu pracowali ludzie odpowiedzialni za pilnowanie drogich produktów. Spizarnie nie stały otwarte, nie można było podejść i zabrać to, na co miało się ochotę. Szafran ceniono również dlatego, że uważano go za antidotum na żółtaczkę i przeziębienie.

Powiedziałeś: „mięsa nie brakowało”. W „Uczcie na Wawelu” piszesz, że w trakcie uczty przypadały dwa kilogramy na głowę.

Jednak na co dzień jadano odrobinę skromniej. Wołowina wypierała wieprzowinę zajmującą czołową pozycję do XIII wieku. Była cielęcina, rzadziej baranina, jagnięcina. I dzi-

czynna przywieziona z królewskich polowań w Puszczy Niepołomickiej. Oraz ptactwo: kury, kaczki, cietrzewie, kwiczoły, gołębie, przepiórki. Czasem łabędzie. I pawie.

Pawie?

Przed upieczeniem wtykano im w pierś goździki, by aromatyzowały mięso. Ale dość szybko moda na pawie minęła, w XVII wieku były już archaizmem. Zdarzało się, że łączono różne mięsa i przyrządzano je razem. Pieczono mięso na mięsie: kawałek chudej cielęciny kładziono na kawałku kapłona – wykastrowanego koguta. Chodziło o to, że taki masywny kogut obrosnięty był tłuszczem, który wytapiając się podczas pieczenia zalewał cielęcinę nie pozwalając, by się wysuszyła.

Liczba dań?

Wybierało się to, na co miało się ochotę. Na posiłkach spotykano się dwa razy dziennie. Na *prandium* między 9 a 12 i na *cena*, między 15 a 18. Jadwiga i Jagiełło jadali osobno – król preferował posiłki wyłącznie w męskim gronie. Jadwidze towarzyszyli fraucymer, żony mieszczan, czasem duchowni, posłowie i goście przybywający na Wawel. No i Jadwiga prosiła o chleb i piwo przed snem, łamiąc ustalony porządek posiłków.

Jakieś egzotyki?

Cytryny. Tak lubiane, że koszt ich sprowadzenia nie miał znaczenia. Bona miała też słabość do pomarańczy. Twierdziła, że dobrze robią na bóle brzucha Zygmunta Starego. Dlatego ściągnięto do Polski sadzonki pomarańczy. Rosły w specjalnej altanie w ogrodach wawelskich.

I to Bona sprowadziła do polski kalafior?

Nie. Kalafiozem zjadał się już Władysław Jagiełło. Tyle że nazywano go wówczas kapustą cypryjską. Bona sprowadziła sporo ziół – tymianek, lawendę, bazylię. Mianem włoszczyzny określano zaś nowinki, takie jak karczochy czy szparagi, które stały się popularne w renesansie. Mówi się, że miała wpływ na menu podczas jej ślubu *per procura* z Zygmuntem Starym w Castel Capuano w Neapolu. Na stole pojawiła się słodka pignolata, deser z orzeszków piniowych. Potem podano jelatinę z tuńczyka, czyli danie przypominające polską studzieninę. Postawiono na stole misy z makaronami. Nie zabrakło mięs: gołębi, bażantów, królików. Wydanie wszystkich dań zajęło kucharzom ponad dziewięć godzin.

Pomidory?

Pierwszy europejski przepis na sos pomidorowy pochodzi dopiero z końca XVII wieku z Hiszpanii, włoskie receptury są późniejsze. Wiemy, że włoski kucharz carycy Katarzyny podawał jej sos z pomidorów. Jednak na upowszechnienie się pomidorów w naszych kuchniach należało poczekać do XIX wieku.

Dlaczego?

Decydowały o tym uprzedzenia kulinarne. Pomidory, tak samo jak papryka i ziemniaki, należą do rodziny psiankowatych. A istniało przekonanie, że to są rośliny trujące. I rzeczywiście są, tyle że ich zielone części – łodygi oraz liście. Przez stulecia, według Włochów, bakłażan – najpiękniejszy i najsmaczniejszy z psiankowatych – wywoływał debilizm. Włoscy Żydzi

Szczupak w sosie szafranowym

→ nie mieli tych uprzedzeń i dlatego najlepsze włoskie dania z bakłażana mają żydowski rodowód. Psiankowate miały też wchodzić w reakcję z cynowymi naczyniami psującymi ich smak. Tak więc niektóre z warzyw i owoców odbyły na stoł drogę długą, krętą i wyboistą. Ale jak już się przedarły, to opanowały kuchnię.

Alkohol?

Dużo piwa, ale zupełnie innego niż dziś. Prawdopodobnie już siedem tysięcy lat temu odkryto, że dzikie drożdże w połączeniu z cukrem, który zawierają wszystkie zboża, odpowiadają za spontaniczną fermentację. Po zrozumieniu tego mechanizmu zaczęto go stosować w przyrządzaniu piwa. Fermentację wywoływano wrzucając do beczki kawałek chleba. Powstający napój był gęsty, kleisty, a ilość alkoholu śladowa. Takie piwa-niepiwa przygotowywano już w Mezopotamii, Egipcie, Grecji i Rzymie. Początkowo piwo dosmaczano mieszaną ziół, a chmiel pojawił się w składzie dopiero w IX wieku. Produkcja rozwinęła się zwłaszcza na północy Europy – na ziemiach, gdzie trudno było uprawiać winorośl. Zamiłowanie Chrobrego do piwa pozwala przypuszczać, że mógł istnieć specjalny królewski browar, ale podstawowym miejscem produkcji były karczmy. Piwo pili wszyscy, w Krakowie głównie studenci. Doprowadzali tym mieszczan do furii. Leszek Biały odmówił papieżowi udziału w krucjacie, bo na Wschodzie, gdzie miał się udać, nikt nie warzył piwa.

A wino?

Na Wawelu pojawiło się w X wieku, na potrzeby liturgii. Winnice założono dość szybko również w okolicach Zielonej Góry, za co odpowiedzialni byli przybysze z Francji. A także na Podkarpaciu, gdzie pierwsze krzewy winorośli posadzili zakonnicy przybyli na te tereny z Bizancjum. W rachunkach z okresu panowania króla Władysława Jagiełły, który był abstynentem, wino występuje niezwykle rzadko. Częściej – w rachunkach Kazimierza Jagiellończyka. A w XVI wieku stanowi już niemal codzienny zakup.

Ślodycze?

Zdrowe. Pierniki ówczesne to głównie bakalie, miód oraz pieprz, który miał właściwości lecznicze. Marcepan: odrobina cukru, migdały, plus coś wilgotnego, choćby kropla wina. Miódownik: bakalie, mnóstwo miodu, a za wypełniacz robi pokruszony stary chleb, czyli bułka tarta. To pożyczka ze świata islamu, o czym mało kto wie. Konfekta: owoce gotowane i konserwowane w cukrze. Wszelkiej maści melasy, czyli długo odparowywane soki owocowe. Bo choć rozmawiamy o najbogatszych ludziach w kraju, to na Wawelu cukier, właśnie ze względu na cenę, nadal był towarem deficytowym. Dopiero w baroku spada



PRZEMEK KRUPSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

BARTEK KIEŻUN z wykształcenia jest antropologiem kultury, z zamiłowania – kucharzem. Absolwent Krakowskiej Szkoły Sommelierów i Academia Barilla w Parmie. Wykłada w Centrum Interpretacji Zabytku oraz Collegium Civitas. Autor książek: „Italia do zjedzenia”, „Portugalia do zjedzenia”, „Stambuł do zjedzenia”, „Hiszpania do zjedzenia”, „Farina. Kuchnia śródziemnomorska” (współautorstwo: Monika Turasiewicz), „Ateny do zjedzenia” i „Uczta na Wawelu. Książka nie tylko kulinarna”.

jego cena, co jest efektem tego, że Hiszpanie i Portugalczycy zaczynają uprawiać cukier na Azorach, Maderze, Wyspach Kanaryjskich. I teraz najzabawniejsze: najdroższy wówczas cukier jest zupełnie biały, te brązowe z resztkami melasy, dziś zdecydowanie droższe, wtedy były najtańsze.

I rzeczywiście królowa Jadwiga zjadała się cukierkami?

Korzennymi karmelkami z cukru i przypraw: kwiatu muszkatołowego, cynamonu, kubeby, pieprzu gwinejskiego i anyżu. Ale dużo bardziej kojarzy mi się z białym pieczywem. Przepadała za obwarzankami – najstarsza o nich wzmianka pochodzi z 1364 r. Wypiekane były z białej mąki w Wielki Piątek. A sam proces produkcji białej mąki rozwijał się latami. Za czasów Jadwigi jeszcze trudno było uzyskać jej wysoką jakość. Natomiast Jadwiga nie tknęła się złego chleba. Kiedy w Nowym Mieście Korczynie podano jej chleb kiepskiej jakości, odmówiła zjedzenia.

To wszystko wiadomo z królewskich rachunków?

I to bardzo skrupulatnych. Dotyczą też każdego innego zakupu dokonanego na Wawelu – można się dowiedzieć, ile wydano na blachę, ile na gwoździe, ile na okiennice, ile zapłacono architektowi. Władcy stosunkowo dużo pieniędzy przeznaczali na jedzenie, ale to nie może dziwić, przecież rozmawiamy o najbogatszych ludziach w kraju. I tu znów wszystko zależało od tego, kto wydawał. Wiemy, że w 1539 r. Bona przeznaczyła na potrzeby kulinarne grubo ponad sześć tysięcy florenów, a jej mąż tylko niewiele ponad cztery tysiące. Wiemy, co przyjechało na Wawel z powodu wesela Zygmunta III Wazy z Anną Habsburżanką: zdobne namioty i trony. Część półmisków i talerzy pożyczono od konwisarza Pawła Kostana, z czego oddano mu połowę, bo biesiadnicy naczynia porozkradali.

Który z naszych władców miał najbardziej wyrafinowane podniebienie?

Zdecydowanie Bona. Dbała o dodatki, przyglądała się panującym w Europie modom. Za jej czasów działały trzy kuchnie – Bony, Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta. To było najlepsze rozwiązanie ze względów tyleż ekonomicznych, co emocjonalnych. Bona nie lubiła swojej drugiej synowej, Zygmunt August nie lubił matki, Zygmunt Stary był stary i chciał mieć święty spokój. Dlatego ster władzy oddał w ręce żony. Co było wielkim zgrzytem dla polskiej szlachty.

Może docenili ją za łazanki?

Gdy pada hasło „łazanki”, wszyscy myślą o polskim danu, które jest mieszaniną kapusty i makaronu. Mało kto skojarzy polskie słowo „łazanki” z włoskim słowem „lasagne”. Choć samo danie wymyślili Grecy: ciasto zgniecione z mąki i wody wrzucało się na wrzątek lub smażyło w tłuszczu, a potem mie-

szało z tym, co było pod ręką: zieleniną, kawałkiem mięsa, słoniną. Grecy mówili „lagana”. Rzymianie przejęli od Greków pomysł i nazwę – dostawałeś miskę czegoś, co rzeczywiście jako żywo przypominało łazanki. I to królowa Bona ściągnęła je do Polski.

Dlaczego zrobiła awanturę o parmezan?

To było świetne zagranie! Księżniczka Elżbieta, pierwsza i świeżo upieczona żona Zygmunta Augusta, na Wawel przybyła w towarzystwie Jana Marsupina, który oficjalnie był jej tłumaczem i opiekunem, nieoficjalnie – habsburskim szpiegiem. Bona świetnie wiedziała, kim on jest naprawdę, i kombinowała, jak pozbyć się Marsupina z Wawelu. Pomogła jej w tym Elżbieta, która nakazała swojemu szafarzowi zabrać ser ze spiżarni teściowej.

Bona zrobiła awanturę, która została odebrana jako kłótnia między teściową a synową i miała dowodzić głupoty królowej przywiązującej wagę do drobiazgów. Rzecz w tym, że Bona kalkulowała na zimno. Zdawała sobie sprawę, że awantura uruchomi plotki, plotki wyciekną z zamku... Poskarżyła się Zygmunтови: „Marsupin gada po całym Krakowie, że robię awanturę o ser”. Dorzuciła: „Na pewno wynosi na zewnątrz inne informacje, trzeba go stąd usunąć”. Zigmunt posłuchał matki, Marsupin został odeślany. Jak widać, jedzenie może być częścią polityki.

Wawel był międzynarodowym tygłem?

Wawel też nie jest ani dziełem jednego czasu, ani jednego człowieka. Jeżeli prześledzić historię architektoniczną tego miejsca, to pojawi się niemiecki architekt, potem sporo Włochów, jest też Szwajcar. Jagiełło przyjeżdża tu z Litwy, Walezy z Francji, Batory z Węgier. A z władcami przybywa grupa ludzi, w tym kucharze. I oni proponują swoje potrawy, zwyczaje, smaki, rozwiązania.

To jak było naprawdę ze słynnym widelcem?

Katarzyna Medycejska, matka królowej Margot i Henryka Walezego, była Włoszką z Florencji. Wydana za króla Francji, zabrała ze sobą przepis na lody i zupe cebulową. Oraz przywiozła widelec. Bo on najpierw pojawił się we Włoszech, potem we Francji, na końcu na Wawelu. To nie Polak wymyślił widelec, tyle.

Kultura jedzenia?

Setki lat była na dość niskim poziomie. Najpierw surowe stoły, potem nakryte obrusem, w który wycierano tłuste ręce. Nie używano kompletu sztućców, jedynie łyżki. Jedzono przy pomocy chleba lub palcami. Wszystkich potraw należało spróbować przed królem, wiadomo: istniało ryzyko otrucia. Po czym objaśniano mu ich skład i smak. W rezultacie król zjadał na końcu zimny posiłek.

Gdzie były wawelskie kuchnie?

Pod numerem 5, pod dzisiejszym budynkiem administracyjnym. Aby je zwiedzić, trzeba zajrzeć na wystawę „Wawel zaginiony”. Kiedy dochodzi się do odnalezionej przez Szyszko-Bohusza rotundy św. Feliksa i Adauktę, można zobaczyć coś na kształt cokołu. To resztki jednego z czterech pieców. Kucharze mieszkali w budynku kuchni: na dole się gotowało, a na górze żyło. Co było wspaniałym pomysłem w zimie i strasznym w lecie.



Raki w śmietanie

W samej kuchni pracowało około trzydziestu osób. Szafarz odpowiadał za zaopatrzenie. Piwnice i służba kredensowa podlegały podczaszemu. Ten zaś przynosił wino na królewski stół. I pilnował, by nikt nie zdołał dosypać do niego trucizny. Obok kucharzy różnych szczebli był piekarz, rzeźnik, dróżnik, czyli tragarze. Ludzie do skubania kur i noszenia wody. Znamy też nazwisko serowara – Nicolo Cola. Włoch, oczywiście. Z ksiąg rachunkowych wynika też, że zagraniczni kucharze byli lepiej opłacani niż polscy.

Tą załogą dyrygował kuchmistrz?

O karierze kuchmistrza na dworze polskim można napisać pracę magisterską. Początkowo był on zwykłym kucharzem, dalej szefem wszystkich pracujących w kuchni. Jego status rósł wraz z upływem czasu. Znamy nazwisko Jakusza z Boturzyna, kuchmistrza królowej Jadwigi. Podobno świetny logistyk i organizator. Zdarzało mu się także występować w roli kanclerza królowej. Był legendarny Sigismondo Fanelli, kuchmistrz Zygmunta II Augusta. Król ufał mu do tego stopnia, że wysłał go do Bari, by zajął się zabezpieczeniem majątku po otrutej Bonie.

Kuchmistrz musiał mieć wysokie morale?

Kuchnia to nie tylko sztuka gotowania. To sprawa polityczna – podkreślam to z całą mocą. Choćby ucieczka z Wawelu Henryka Walezego. Kto ją zauważył pierwszy? Pracujący do późnych godzin kucharze. I ci zaalarmowali wyżej postawionych. A ci wyżej postawieni gonili nieszczęsnego Henryka. Kuchnia to też idealny sposób na opowiadanie historii, bo jedzenie jest demokratyczne i dotyczy każdego. No i wreszcie kuchnia jest dowodem na to, że choćbyśmy się upierali, że tak nie jest, to mamy w naszych garnkach nieustanny festiwal wielokulturowości.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz: O celach



MIELIŚMY MIEĆ W WARSZAWIE BUDAPEST, ale mamy w Krakowie – mówiąc ogólnie – Teheran. Oto mniemamy, że policja będzie teraz pilnować, przesłuchiwać i rozbierać po szpitalach nie tylko pacjentki, ale też pacjentów, Polska bowiem jest od dawna krajem nadmiaru i niejasnych celów. Na pilnowaniu, przeszukiwaniu i przesłuchiwaniu kobiet nie można poprzestać. Trzeba działać, nie można odpuszczać, trzeba być twardym, męskim, zdecydowanym i konkretnym, nie można pobyłać ani zatrzymywać się w pół drogi. Drogi dokąd? Tego nikt w Polsce nie wie.

Co jest dziś polskim celem i jaka doń wiedzie droga? Czy ktoś umie odpowiedzieć na to pytanie? Nie. Dla przykładu: parę dni temu J. Kaczyński ogłosił, że Polska powinna przestać być „krajem prowincjonalnym”. Cel jak cel, ale co dla J. Kaczyńskiego znaczy „prowincjonalny”? W sytuacji, gdy on sam – tzn. J. Kaczyński – jest emanacją i patronem prowincjonalności w każdym sensie i wymiarze, od języka, poprzez obyczaj, po uprawianie polityki? Czy w ramach przedstawiania kraju J. Kaczyński ma zamiar także popracować nad sobą? To żarcik oczywiście, żeby tekst był nieco śmieszniejszy, niż jest.

Oto przeszłe cele polskie – zanim zacniemy wymyślać przyszłe – są do wymienienia bez trudu. Weźmy takie: wyjście z komunizmu, niepodległość, wstąpienie do NATO i Unii Europejskiej i – dodajmy – zlikwidowanie gigantycznego zadłużenia Polski. Gdy się to wszystko w stosunkowo krótkim czasie udało, nie bez, rzecz jasna, kłopotów i mozołów, kraj – od zimnego źródła Wisły po ciepłe i mętne jej ujście – utracił jakby kontakt z rzeczywistością. Co dalej? Jak? Którędy? Z kim? Po co? Nie ma pomysłu. Cisza.

To znaczy owa cisza na tak postawione pytania trwała tylko czas jakiś, gdyż jednak znaleźli się ludzie, a jest ich i nie-

mało i jakby coraz więcej, którzy znajdują klarowne odpowiedzi. Brzmiały one logicznie, oczywiście w logice czysto polskiej. Skoro celem było – dajmy na to – wstąpienie do Unii Europejskiej i skoro się to spektakularnie udało, skoro ciężką pracą przystosowano zdemolowany kraj do plus minus normalnego i cywilizowanego funkcjonowania, to teraz spektakularnie z Unii Europejskiej wystąpmy. Dużo pracy przed nami, ale przecież musi się udać. Polak potrafi. Na pewno. Skoro udało się wstąpić, musi się dać wystąpić. To logiczne. Idźmyż dalej, bo dobrze nam idzie. Trzeba by wystąpić koniecznie jeszcze skądś. Z NATO? Z NATO! Jeśli i to się uda, przyszłe pokolenia będą się o nas uczyć z przyszłych podręczników autorstwa p. Roszkowskiego, przetłumaczonych siłą rzeczy na rosyjski.

Pomyśmy, co dalej. Jakiś cel dla Polski, dla Polek i Polaków oraz osób polskich – prócz znakomicie zorganizowanych wystąpień z UE i NATO – jeszcze by się przydał. Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Może by wystąpić z ONZ? Jest to organizacja skompromitowana po wielokroć, a Polska nie może legitymizować tego typu firm. Nasz międzynarodowy autorytet jest nadwyreżany. Cel więc jest jasny: wystąpić! Oczywiście, co nam zresztą wydaje się pomysłem najlepszym, Polska powinna też demonstracyjnie zrezygnować z mieszkania na kuli ziemskiej i demonstracyjnie odlecieć. Na Marsa. Zostawiając po sobie tzw. niezabliżnioną ranę na mapie Europy. Gdzieś powinniśmy wstąpić? Może do ZBiR-u? Skrót jest frapujący, mocny, męski, a i towarzystwo także. Może by się udało, wiele już przecież zrobiliśmy, co powinno być docenione przez tamtejsze plenum.

Pójdźmy dalej. Życie bez celu to egzystencja. Można by – z braku laku, tzn. z braku innych celów – przywrócić kraj do jakiejś odmiany totalitaryzmu. Lepiej przystającego do tu-tejszej natury niż rozlaży komunizm. Cóż by tu wybrać? Jest nieco modeli, pośród których można by szperać i wyszperać. Patrząc oczywiście przez pryzmat przeszłości. To nasza specjalność w projektowaniu przyszłości. Patrzenie przez tzw. pryzmat, co zupełnie oczywiste z powodów elementarnych, daje obraz załamany podwójnie. Taka jest dola dziedziny zwanej polską optyką, także jest tutejsze celowanie. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



BARBIE i KEN

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy **S-NET Data Center**

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszą generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**

Rok Chavy Rosenfarb w Łodzi



ROK
**CHAVY
ROSENFARB**
ŁÓDŹ 2023

Chava Rosenfarb, urodzona w Łodzi sto lat temu pisarka tworząca w języku jidysz, jest patronką roku 2023 w rodzinnym mieście. Łodzi poświęciła ponad trzy tysiące stron, jej wielotomowe dzieło prezentuje historię społeczności żydowskiej na przestrzeni kilku dziesięcioleci.

Rodzice pisarki – Abraham i Sima Rosenfarb – przybyli do Łodzi z Końskich, pracowali w fabrykach włókienniczych i zaangażowali się w działalność socjalistycznej partii Bund. Ich córki – Chava wraz z młodszą o trzy lata siostrą Henią – dorastały w środowisku, gdzie królowała kultura jidysz, a z rodziną i przyjaciółmi rozmawiało się wyłącznie po żydowsku. W czasie wojny Rosenfarbowie zostali przesiedleni do łódzkiego getta, gdzie Chava zrobiła maturę. W getcie zaczęła pisać wiersze. W sierpniu 1944 roku Niemcy wywieźli całą rodzinę wraz z tysiącami łódzkich Żydów – do Auschwitz-Birkenau. Abraham nie przeżył wojny. Chava wraz z matką i siostrą w kwietniu 1945 zostały wyzwolone w Bergen-Belsen. Zamieszkały w Belgii, a potem w Kanadzie. Chava obiecała sobie, że kiedyś opíše getto i wszystko, czego doświadczył jej naród. W 1947 roku wydała pierwszy zbiór wierszy *Di ballade fun nechtkn wald* (Ballada o niegdysiejszym lesie). Ale jeszcze w Brukseli zaczęła tworzyć w języku jidysz powieść o łódzkim getcie i jego mieszkańcach.

„Przez 13 lat prowadziłam podwójne życie. Żyłam ze swoją rodziną w Kanadzie, w dzielnicy imigrantów, zajmowałam się dziećmi, opiekowałam się chorą matką, pracowałam w fabryce [...] i jednocześnie żyłam w łódzkim getcie. Moi bohaterowie nieraz ingerowali w moje życie” – wspominała pisarka po latach. Powieść *Der bojm fun lebn* (Drzewo życia), ukazała się w języku żydowskim w 1972 roku i została przez prasę jidyszową okrzyknięta arcydziełem. Pisarka zebrała wiele nagród na całym świecie, m.in. w Argentynie, Australii, Meksyku, Kanadzie. W 1979 roku otrzymała Nagrodę im. Icyka Mangera, najbardziej prestiżową nagrodę literatury żydowskiej wręczaną w Izraelu. Autorkę uznano za jednego z ostatnich wielkich pisarzy literatury jidysz i najwybitniejszą kobietę piszącą w tym języku.

Biblioteka Centrum Dialogu od 2015 roku wydaje powieści Chavy Rosenfarb w języku polskim w przekładzie najlepszych tłumaczy języka jidysz.

W stulecie urodzin pisarki uchwałą Rady Miejskiej w Łodzi Chava Rosenfarb została jedną z patronek Roku 2023. Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w Łodzi wraz z partnerami przygotowało całoroczny program obchodów. Poza licznymi warsztatami, spacerami, odczytami, akcjami artystycznymi, powstaje koncert inspirowany poezją pisarki, a w październiku konferencja naukowa organizowana przez Uniwersytet Łódzki poświęcona twórczości Chavy Rosenfarb uświetniona udziałem rodziny.

Więcej na: www.centrumdialogu.com/rok-chavy-rosenfarb



Chava Rosenfarb 1923-2011



CENTRUM DIALOGU
im. Marka Edelmana w Łodzi



BIBLIOTEKA
CENTRUM
DIALOGU



UNIWERSYTET
ŁÓDZKI



ŁÓDZKI
SZLAK
Kobiet



ARCHIWUM PAŃSTWOWE
W ŁÓDZI



600
LAT
ŁÓDŹ